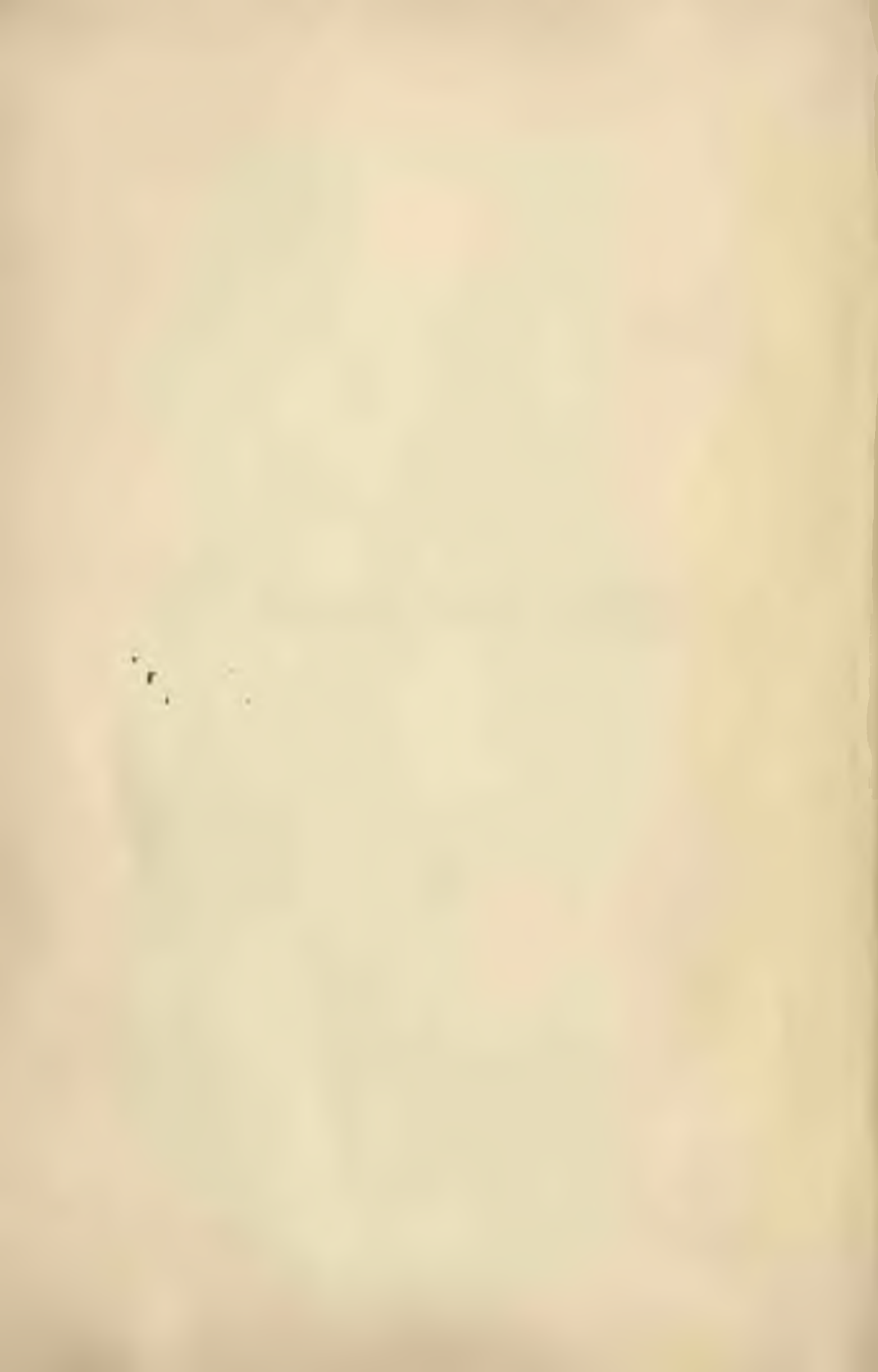






GODZINA PRZED JUTRZNIĄ



EMIL ZEGADŁOWICZ

GODZINA PRZED JUTRZNIĄ

ŻYWOT

MIKOŁAJA SREBREMPISANEGO



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

AKC. K. 1283/73



75

0995

309-81000

102895



9988

0995
MS

21.162.1-3:0995 H12 - 0941046

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”

5 84

Prolog

I NIC MI JUŻ NIE OPOWIESZ...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Z KTÓREGO DOWIADUJEMY SIĘ, JAK TO MIKOŁAJ
SREBREMPIŚANY DREPTAŁ PEWNEGO POPOŁUDNIA
MAJOWEGO OBOK WUJA DROGĄ Z WOŁKOWIC DO
PORĘBY MUROWANEJ.*

G ościńcem z miasteczka Wołkowice (wolnego i królewskiego) do Poręby Murowanej było wiorst cztery. Na bliższe drogi, przez las, a potem naprzelaj przez łąkę paździorową (że to Antek Paździora na niej gazdował) znacznie krócej; półgodziny żwawym krokiem i stało się już przed czterema kolumnami ganku dworskiego, nad którym jak szumna zielona chorągiew — modrzew pysznił się wyniośle.

Mikołaj Srebrempisany, uczeń pierwszej klasy gimnazjum w Wołkowicach, kroczył obok swego wuja tą drogą właśnie naprzelaj.

Wuj, chłop setny, ongi długoletni „wojskowy”, stawiał kroki duże i raptowne.

Sporą, gładką, jasną laskę zakończoną z jednej strony żelaznem ostrzem, a z drugiej sękatym guzem, którą niewiedomo dlaczego nazywał „bałabajką”, trzymał na ramieniu jak karabin.

Maszerował srogo, a choć szedł w milczeniu i usta zasunął, tak jak się okna zasuwają stora,

zwieszonym, sumiastym wąsem — słyhać było wyraźnie przyśpiew marszowy kroków. Zwłaszcza cień przy lewej nodze uwiązany kurczył się i wydłużał w takt słów:

— pan do piwnicy skoczył

wina pani utoczył —

— ha, ha!

Mikołaj słyszał dokładnie ten śpiew — milknący ile razy chłopiec nań zpodobła i znagła zerknął — powiedzmy otwarcie: nieżyczliwie; „nań“, bo cień i śpiew były w istocie swej tem samem: śpiew był szaro-liljowy na popielatej zakurzonej drodze, cień miał tempo marszowe: raz, dwa, raz, dwa, lewa, prawa, lewa, prawa.

Śpiew śpiewem, cień cieniem. Mikołaj ledwo mógł nadażyć dorosłym nogom prawie tak wysokim jak on cały. Zdjął czapkę (twardą, wysoką, ze skórzanym daszkiem — nad nim w wieńcu srebrnym srebrne G), rozpiął pod szyją mundurek (kołnierz sztywny, stojący, z srebrnym paskiem, jednym — klasa pierwsza); otarł nagrzaną, czerwona ręką czoło zarośnięte nisko po chłopczyńskiemu miękkim, puszystym jasnym włosem.

— Chodźmy, chodźmy — przynagłał wuj — spojrzał na zegarek: o czwartej mam być w biurze, już pół do trzeciej.

Jak tu przyśpieszyć kroku? Nogi już tak bolą; chyba dreptać truchcikiem.

Weszli w las.

U wejścia, na odrazu stromo wznoszącą się drogę leśną, stała wysoka topola; kiedyś tam dwa

konary miała bliźniacze, strzeliste — jeden obcięty — więc tą drugą, samotną, wyciągniętą ręką przysięga wierność ziemi, niebu i corocznemu zzielenieniu.

Tak stoi wytrwale na straży z przyrosłą jak hubka kapliczką, w której wśród kwiatów świeżych, jaskrów żółtych i różowych kukulek zaplecionych w wieniec sosnowy, szarfami papierowemi szumiący na wietrze — medytował żałośnie Chrystus frasobliwy.

Zna Go dobrze Mikołaj, spojrzeniem przyjaznem wita.

Bogu dzięki! — połowa drogi.

Tutaj, gdy to jeszcze do szkoły ludowej do Wołkowic chadzał, przysiadł pod tą topolą na odpoczynek krótki.

Obejrzał się — już topoli nie widać; poprzez gęste świerkowe gałęzie słysząc suchy furkot wstęg papierowych; chojary łapami ciemnozielonemi chwieją powoli w górę, wdół — tak temu szeleszczącemu gadulstwu powiadają — cicho!

Droga górzysta wznosi się jak drabina — jej szczeblami cienie kładące się od wysokich rudych pni sosnowych, poza którymi żarzy się wiosenne słońce.

W lesie chłód zielony, wonny żywicą.

Coraz stromiej.

Nie, zwalniają kroku; oddychają szybko i głośno; nogi bolą w kolanach; nabiegłe krwią ręce ciężkie są jakby opuchłe.

Maj to dopiero wprawdzie; w Beskidzie bywają takie dni wiosenne z nagłą i niespodziewanie skwarne jak w lipcu — sen maja o lecie.

Weszli na polanę odsłoniętą, stromo wdół spadającą; po przeciwnej stronie gęsta ściana lasu.

Przerwa — światłość oślepiająca, przestrzeń otwarta, wyrąb zeszłoroczny.

Złocą się smolne placki obrzezanych pni w czuprynie zielsk bujnych.

Gorąco aż bucha z ziemi, zda się od spodu nagrzaney; toż tam wre w tym kotle, kipi zieleńią i blekotem zapachów odurzających, pieni się kwiatami, paruje odwarem ziół, żywicy i zastałej wody w wybojach gliniastych i połyskliwych wielobarwnie.

Przelatują wilgi złote i rozśpiewane — drzewo odrzuca drzewu pierzastą, dzwoniącą piłkę.

— Deszcz będzie — burza pewna — zamachnął wuj dobrodziej bałabajką; ześlizgnęło się po lasce w tym ruchu słońce jak błyskawica; dziw, że grzmotu niema na wysokiem niebie; skądżeby! tak niebiesko modrością nieskażoną; — bezmierne, dziecięce, niezmrużone spojrzenie dnia pogodnego.

Jeszcze kilka kroków — a to już szczyt drogi.

Stąd wdół spadziście i nagle; same nogi niosą.

Kilkaset kroków, czy kilka tysięcy — wszystko jedno — bo już tam widać kępę gęstą drzew i bielące się pośród nich ściany porębianńskiego domu.

Mikołaj nogi szeroko stawia, kroki są dłuższe niż zamierzenie, a to z powodu tej nagłości spadu. Prędziutko się przypomina: z górki na pazurki — a potem już ochoczo: lewa, prawa, domek, dworek, domek, dworek.

Serce bije prędko: wali głośno pod szyją.

Nagle — jakby je kto w garść chwycił i ścisnął!

Omal nie krzyknął z bólu!

Pocóż to tak idą? — Pocóż się tak śpieszą?

Żeby zdążyć — byle prędzej.

Popuściła zła garść; zatrzepotało się serce; przeminał ból; przewiała się myśl — zapadła głęboko świadomość; ukrywa się; nie pozwala zapomnieć o sobie; sama milczy.

Jeszcze łączka i strumyk, który trzeba przeskoczyć, wyszukawszy sobie dogodny kamień — dobrze wpierw nogą wypróbuj zanim nogę weszprzesz, czy mocny, czy nie chwiejny — inaczej plusk! — noga w wodzie; — kilkadziesiąt kroków drogą gminną wzdłuż kamiennego muru; brama!

ROZDZIAŁ DRUGI

O MURZE OSOBLIWYM ZAROSŁYM PERZEM I ZAKWITAJĄCYM KWIECIEM ROZMAITEM, O BRAMIE, KASZTANIE I LIPIE. WESZLI NA PODWÓRZE.

Ten mur! Stawiony z brył kamiennych prawie nieobrobionych, na glinie — zamykał od zachodu po wschód północny brzeg ogrodu warzywnego, podwórza i parku. W równych odstępach przegradzały monotonię piaskowej płaszczyzny, słupy z cegieł i kamieni naprzemian lepione, nakryte płytami kamiennymi.

Po stronie wschodniej wyrósł jeden z tych słupów nakształt baszty kamiennej, pokrytej spiczastym dachem blaszanym, zakończonym ruchomą, też blaszaną chorągiewką z wybitą na niej datą 1888; był to rok urodzenia Mikołaja Srebrempisanego.

Ostatni słup od zachodu stał już nad młynówką-przekopem kunsztownym z XVI-go wieku; nad tą, przez lud zwaną, przykopą lub krzykopą — na kilkunastowiorstowej rozciągłości osiadł y od dawien dawna młyny wodne. Pracowita, hucząca, podudniająca młynówka nastawiała pilnie uszu na leśne echa pohuków młynarskich.

W pośrodku muru, z wyłomem właśnie na podwórze, ściana kamienna wskrzydłała się po-

dwójnym łukiem w bramę obszerną, łącno przepuszczającą wóz żniwny wyładowany wysoczysto kształtem brogu żyta lub pszenicy, owsa lub jęczmienia; miały konie co ciągnąć! Skrzypiały chomąta aż strach! A koło zataczaj duże, bys wozem o kamień nie zawadził! W porach odpowiednich mogła być i koniczyna wonna lub jeszcze wonniejsze siano z polan śródleśnych.

Wzdłuż muru wiodła droga w górę wsi — to ta gminna właśnie; od tej drogi wyboistej trójkąt niezajeżdżonego trawnika mierzył w otwór bramy ostrym końcem jak zielona strzała — tu!

Podstawa trójkąta opierała się o koleiny.

I jeszcze jedno, a najosobliwsze!

Mur ten, celem ochronienia go przed klęskami niepogód (głina, glina!) pokrywano rok rocznie perzem zgarnianym obficie z bronowisk.

Perz ze znaną sprawnością zapuszczał bieliste korzonki w ił śródkamienny, więc też wiosną cała krawędź muru zieleniła się pięknie i bujnie; rozmaicie też zakwitała, nie obeszło się bowiem bez tego, by z korzennym kołtunem nie zawieruszył się zarodek tego i owego kwiatu polnego zwłaszcza podbiału, żywokostu, kąkolu i głuchej pokrzywy.

Mur zakwitał.

Tu i tam pośród tej zielono-kwiaciastej dachówki wyrastały Bóg wie jakim cudem zaplemnione brzoźki, bziaki i topólki.

Taki to był ten mur, poza którym przeczuwało się wyraziście i nieodwołalnie klasztorność i odosobnienie rozmyślne lub narzucone.

Nad bramą zwisały olbrzymie konary — z jednej strony kasztana powykręcane, świecznikowe — z drugiej lipy proste, sute, pióropuszwowe.

Stąd już widac było ciemną, prawie czarną, północną ścianę budynku, ponurą, nagą, mroczną, z jednym oknem głuchem i ślepem, pod którym drzwi, jakoby nigdy nie otwierane, zastygłe, bezużyteczne wiodły dwoma schodami w zapadłe wnętrze; co tam mogło być za temi drzwiami? Mikołaj niby wiedział, lecz nie wiedział napewno; właściwie nic nie wiedział, nigdy się nie dowiedział. Tajemnice drzwi są nieodgadnione. Te zaś (drzwi i tajemnice) były nabijane ćwiekami o dużych płaskich głowach. Sprawa wielce zażyła.

Weszli na podwórze obszerne.

Idą.

Po lewej ręce płot drewniany ujęty w filary białe, murowane (przerzucają się gałęzie jabłoni i grusz) aż po wozownię rozsiadła szeroko i krzywo; wypust załamane go dachu ocienia w tem miejscu przejście bardzo mroczne; przerwa; brama pierwsza do parku; znów płot i słupy białe; przerwa druga; bramka mała tuż koło ściany domu; przed tą płotu dalszą połącią zagajnik gęsty bzu i tak zwanej róży jerychonskiej; liljowia się i bielą i różowia kwietne kity, a największe, najgęstsze, najsutsze to te bzu tureckiego.

Po prawej stronie, kasztanowej (lewa była lipowa, chociaż tu i tam kasztan sobie rósł obok jesiona i kolczastej „chrystusowej” akacji — lecz

wiadomo: lipa nadaje naczelny bieg myślom) — więc po prawej stronie znowu kawał płotu obra-
miałającego ogród warzywny; przerwa pusta, bez
bramy na oborę; drewniana ściana budynku-szopy
wrastającego żywym ciałem w stajnię, co tak
uparcie i podejrzliwie w podwórze patrzy dwoma
podłużnymi okienkami z pod ściągniętych w ostry
łuk brwi spadzistego dachu.

Przed stajnią stawek dla drobiu; woda czarna
jak smoła; wokoło kępy dzikich róż, jaśminów
i trzmielin.

Za stawkiem podwórze rozszerza się znacznie
i w górę mozolnie wstępuje — już tam ku polom
wolnym zmierza — już jest na wylocie — lecz
zagrodzono drogę — hola! murem kamiennym!
Więc śle zaniepokojone i spłoszone bluszcze, ko-
pytniki i paprocie na zwiady — na ten mur for-
teczny! Jaskółcze ziele poszło na ochotnika —
wspięło się też pierwsze, najwyżej! już wystawiło
triumfalnie żółty sztandarek: stróżuję!

Za murem kilka śliw zdziczałych, dwie wyso-
kie, nagie akacie, klon i kasztan różowy.

Dalej to już będą stodoły, sad, lasek świerkowy
ze źródelkiem zimnem i czystem, i dzikie, nie-
zależne pola — jedno za drugim pcha się gra-
pami pod górę, dziwacznie wysoko, podniebnie,
stromo, prostopadle, przytłaczająco.

ROZDZIAŁ TRZECI

O WRÓBLIM WIECU, KURZE, ZAPACHU JAŚMINU,
PŁYTACH KAMIENNYCH I STARYM PSIE.

Na podworzu cicho i bezludnie.
Jeno roztrzepotane krótkimi podlotami szpaki
nawołują się w sadzie.

Stado wróbli i sikor zerwało się z furkotem
z przed wozowni i rozpierzchnęło w skrętach i za-
cieniach konarów kasztanowych; tam pod opieką
szerokich, obwisłych liści poczęły wielki i nagły
wiec; pisk, szczebiot, krzyk; nikt nikogo nie mógł
zrozumieć w tym harmiderze jarmarcznym.

Zniechęceni mówcy opuszczali jeden po dru-
gim cichcem trybunę zieloną; wymykali się
z pod baldachimu liści najwytrwalsi krzykacze.
Nacóż zdadzą się najszczytniejsze hasła brater-
stwa — a o to właśnie chodziło — gdy brater-
stwo zrywa sobie gardło wrzaskiem nieprzytom-
nym? Wiec wygasł nagle, jak nagle powstał.

Ze stajni dochodzi głuche, tępe uderzanie ko-
pyt w dyle.

— Konie pewno nienapojone — pomyślał Mi-
kołaj — gdzieżby — w taki dzień.

I znów ten łaskotliwy ból w sercu.

A dzień był zewszecmiar cudny!

Taki, jaki bywa tylko w maju i tylko w górach. Sam w sobie zasłuchany, zatrzymany w przelocie, zapatrzony modro i zielono w niepojęty cud odrodzonych sił, rozkwitły do zapamiętania się, zachłyśnięty zalewną powodzią woni i barw, obezwładniony nadmiarem pracowitości wiecznej, utajonej, zwycięskiej.

Przed wejściem do parku przystanęli.

Chłopiec oparł się plecami o mur wozowni i chustką ścierał pot z twarzy; pełne światło słoneczne z poza sadu naukos świecące, przesiane przez liście przezroczyste — ciepłą wonejącą falą ogarnęło tę biedotę człowieczą, stojącą na tle białej ściany w ponurej czerni przepisowego, ohydneho stroju.

Mikołaj Srebrempisany ma lat dziesięć z okładem, a wygląda na ośmioletnie, szczupłe, zabiedzone dziecko. Mała blada twarzyczka, w tej chwili w rumieńcach już pierzchających; sine żyłki na skroniach; włosy jasne, wątłe, zaczesane na czoło i równo przycięte; oczy piwne, głęboko osadzone; brwi cieniem zaledwie naznaczone; usta wąskie w ukos narysowane.

Spozierał z uczuciem niechętnego opuszczenia przed siebie — obco, bezosobiście, daleko.

Wuj zdjął czapkę, przejechał ręką prędko po gładko przyległych włosach — sparł rękę na lasce; sapał.

— Zmęczyłeś się?

— Zmęczyłem trochę — gorąco.

Sucho w gardle; głos obcy.

— Gdzie może być Antonina o tej porze?

— Może w stajni.

— Antonino! Antonino!

Nikt się nie odzywa.

Z pod stajni wybiegła wystraszona kura z wielkiem gdakaniem, z narzekaniem gwałtownem.

Z krzykiem przeleciała nad płotem — poniosła w sad swe zafrasowane skargi.

— Antonino!

Cisza. Nikt.

Chodźmy; chciałem się dowiedzieć od niej..
lichu wie gdzie poszła — a może przy ojcu.

Nagłym bólem zakołatało chłopięce serce.

— Chodźmy.

A po chwili najniepotrzebniej:

— Profesor bardzo chory — bardzo.

Owionął ich ckliwy, słodki zapach.

Cała aleja aż do balkonu wysadzona była wysokimi krzewami jaśminowemi.

Przymdlałe, gęste, białe kwiaty topiły się w słońcu. Ociężałe gałęzie zwisały nisko, jakby w omdleniu nad ścieżką.

Długa droga parkowa, wysypana żwirem; miedziana w słońcu, granatowa w cieniach; wzdłuż niej kule akacji, stożki tui; róże pienne, róże niskie, miesięczne; żółte różyczki japońskie; cydonje czerwone i różowe; rabaty białych narcyzów o oczach pomarańczowych; w trawnikach bujnych orliki białe, liljowe, niebieskie, wisniowe; w głębi kępy bżów.

Droga niesie się zielenią i kwiatami daleko w głąb — w rozedrganą modrość lasu liściastego.

Już i słupy balkonu; cztery, grube, ciężkie czworogranne, wysokie aż pod dach; na nich na szczycie cztery terakotowe wazy: gniazda wiatrów. Dudnią kroki na płytach kamiennych wzdłuż frontu dworu szeroczysto rozłożonych niesymetryczne, powygryzane słotą i pogodą — z kępkami traw wyrastających pośród ladajakich spojeń: jeden żółty wilczomlec na tej podłodze kamiennej.

Każda płyta dobrze znana; jedna w drugą każde wklęśnięcie, wybój każdy i wzniesienie, o które tak łatwo zaplątują się małe nóżki strasznie pośpieszne i niecierpliwe — w dzieciństwie dochodzi się mimo przeszkód zawsze tam, gdzie się chce; w najgorszym razie można zmienić zamiar.

Pod sufitem balkonu chłód.

Echo kroków jest jak dzwoniący powiew wilgotny.

U progu kamiennego leży kudłaty strzęp, czarny kołacz futrzany.

— Toruś!

Coś się tam na zawołanie w tym strzępie żywego podziało, pewno ogon się podniósł i opadł; przychylny ogon. A — jest i ciuka osędziała i oczy kaprawe!

Dźwiga się porzucony kozuch — na łapach się prostuje; jedna czarna, druga — może i była kiedyś biała; to możliwe.

— Toruś!

Ale się też już więcej nie ruszył; ani kroku; poco? — musi wam to wystarczyć: owo merdnięcie i to spojrzenie — takie poprawdzie przedostatnie i wczorajsze — ej stary!

Przypadł Mikołaj do tej istoty, chłodu jeszcze szukającej na tym chłodzie dogorywania. Głaskał i głowę przytulał w przykłęknieniu do sierści skudłonej.

Zaskomlało cicho pod grdyką — a raz jeden tylko. Wystarczy!

I tak już wszystko wiadomo! Tak jak w tej naiwnej piosence, co to jedno pójdzie górą, a drugie doliną.

Zalśniły ledwo dostrzegalną radością zezowate, załzawione psie oczy pod wylenioną brwią, z której sterczą dwa śmieszne, twarde włosy,

ROZDZIAŁ CZWARTY

OWIANY ZAPACHEM KWIATÓW I LEKARSTW PO-
ZNAJEMY PANA MICHAŁA, FELIKSA SREBREMPI-
SANEGO.

Wuj zaglądał przez okno otwarte — aż czoło przytknął do zimnych krat.

Przyzwyczyły się oczy do śródściennego mroku — już widać: stół na środku pokoju, a za stołem na fotelu skórzanym człowiek-nieczłowiek-zjawa! Kto odchodzi, tego już niema.

Łysa głowa zwisała na piersi — z ciężkim oddechem podnosi się i opada.

Na tle żółtej czaszki płonie czerwony kwiat pigwy naukos w szklance sterczący.

— Żle ze starym; — nikt tego nie słyszał, nawet wargi.

Brzęczy osa przed oknem; ręka ją gwałtownie i naoslep płoszy.

A za tym ruchem podgarnia się decyzja: — trzeba iść, o czwartej biuro, Chryste Panie, tak mało czasu.

Mówi do chłopca:

— Zostań tutaj — zawołam cię za chwilę.

— Ja pójdę.

— Zaczekaj!

Powstał pies, przednimi łapami oparł się o próg — patrzy w sień ciemną i wilgotną.

Sień sklepiona, duża, naprzestrzał; wykładana kamiennymi kwadratami, równymi pod rząd. Ciche kroki — mimowoli obcas nie dotyka kamieni — ciche kroki, a echo głośnie stąpa po powale — echo idzie w głąb ku klatce schodowej, a kroki ku drzwiom do tej komnaty na lewo.

Boże! Boże!

Mikołaj sparł się ręką na karku psim — tak tam w tę sień patrzą.

Skrzypnęły drzwi.

Zadygotały w zawiasach.

Mdły zapach lekarstw i niepokój ostatecznego znękania wypełniał komnatę po brzegi. Zresztą, zresztą wszystko było na swoim miejscu — i łóżko nieużywane oddawna, obszerne z wieńcem rzeźbionych róż w głowach, z pospolitym dywanikiem na ścianie (lew wypłwiała wśród palm i roślin podzwrotnikowych; oczy zwierzęcia są czerwone i mają białą, rozprysniętą źrenicę). Kanapa wkleśła od wieloletniej pracy sprężyn, sekretarzyk jesionowy z czarnym zegarem kuran-towym, na którym rycerz brązowy zasępił się na wieki nad pobożowiskiem zarzuconem kulami, armatką, zdruzgotanym płotem; na swoim też miejscu stała szafa ukrywająca niewiadomo co, a dźwigająca sterty pism ogrodniczych, cenników, zwitków łyka.

Stół — zwyczajnie — na środku pokoju, przy nim dwa krzesła i ten fotel śmiertelny.

W nim to dogorywał ten, którego zwano profesorem — ojciec Mikołaja, Michał Feliks Srebrmipisany.

Chrapliwy oddech rzeził w piersiach i krtani. W kątach sinych, nieomkniętych warg pieniała się ślina.

Nogi przykryte pledem; na kolanach splecione ręce, ciemne, potwornie sfiociałe, prawie czarne. Oczy zapadłe, przymknięte popielatemi powiekami.

— Śpi — pomyślał wchodzący.

Snać jednak skrzyp drzwi ocucił konającego; dźwignęła się ręka z kolan, z trudem wielkim podniosła się ku twarzy, zachybotała niedołężnie przy ustach, zatrzepotała nieposłusznie, zatoczyła się i opadła.

— Czy to ty, Antonino? — zapytał chory głosem pustym i rozbitym lecz wyraźnym.

— Nie, profesorze — to ja; przyszedłem Jasiek dał znać, że... przyszedłem więc.

Podniosły się powieki o milimetr.

— A, to ty, Wacławie.

Wuj Wacław przysiadł się blisko.

— Może profesorowi czego potrzeba — to ja.

— Nic nie potrzeba, nic.

Głowa opadła niżej.

Ręce wydzierały się z opłotu palcy skostniałych.

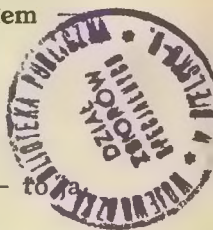
Po chwili:

— Co z Zofją? — nie przyszła?

— Chora.

— Chora — nie mogła przyjść.

Godzina przed Jutrznia



Po chwili:

— A Mikołaj?

— Przyszedł ze mną.

— Jest — jakby fałda nikła niedostrzegalnego uśmiechu zadrgała pod oczami.

— Zawołać go?

— Zaczekaj chwilkę; Wacławie podaj mi rękę — zbliż się.

Zmartwiała ręka, przyzwyczajona do posłuszeństwa myślom, wykonała ruch nieporadny. Dosunęła się szybko dłoń zdrowa Wacławowa ku tej martwicy zimnej i już zgoła podziemnej.

— Pamiętaj, Wacławie o Zofji, — gorzej niż sama dziś — wiesz — i o chłopcu pamiętaj — nie ma nikogo — Zofja chora — ty...

Reszta zagubiła się w myśli i w głosie.

Głowa na chwilę wzniesiona skłoniła się na spracowane rżące piersi.

Na szybie okiennej brzęczała mucha uderzając raz po raz głową i ciałem o przeszkodę przezroczystą — uparcie, monotonnie, gniewnie.

Zegar wybił dźwięcząco, przeciągle pół do czwartej.

— Spóźnię się na pewno — przebiegło przez myśl; pan Wacław chciał już powstać.

Lecz oto znów strzęp świadomości zatlił się bladym płomykiem pod żółtą czaszką, niczem ten błędnik na moczarach.

— Zawołaj Mikołaja.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O OSTATNIEJ ROZMOWIE I UDERZENIU PIĘŚCIĄ W STÓŁ.

Od chwili już ciche skomlenie i drapanie w drzwi dopraszało się: pozwólcie wejść!

Naciśnięcie klamki — powoli otwierają się drzwi — skrzypią, jak niebacznie potrącona struna skrzypcową.

Zajrzał pies — wyciągnął szyję — cofnął się.

Mikołaj stanął w drzwiach; błądy z wyrazistą, rozwidloną żyłą na skroni; ręce opuszczone, zda się, podtrzymują bluzinę, która przecież nie może spaść z ramion.

— Podejdz, — ojciec cię woła.

...Tydzień temu — nie! Pięć dni zaledwie — przecież w niedzielę był tutaj z matką — dzisiaj piątek — stał ojciec, stał oparty swoim zwyczajem o stół — leży tam jeszcze wąska poduszka podłużna, pod łokcie — zblakły, zatłuszczony haft — jakieś kwiaty bez barwy, bez kształtu, bez nazwy — nawet już nie wspomnienia kwiatów.

Pięć dni!

A dziś?

A jeszcze mówił, mówił, dopytywał się o lekcje, o szkołę — jak tam łacina? — a geografia? —

a rachunki? — A potem: „już cię za tydzień nie zapytam — będzie to pierwsza twoja niedziela beze mnie — i nic mi już nie opowiesz — więc mów.

Matka protestowała... „przecież lekarz...”
A ojciec: „Zofjo droga, moja Zofjo — tak będzie — tak — samotność mnie i wam”.

Zapłakała matka, rękami skronie ścisnęła — łka. Ojciec mówi: „nie trzeba, nie — cóż — w sobie dziś pokrzepienia szukajmy — poza tem cóż? Ciężko mnie i wam bardzo — dom kochajcie, na ogród baczcie — tyle lat pracy i kochania dla ciebie, dla was — więc szkoda, szkoda — gdyby Mikołaj był nieco starszy — no już tak to będzie jak mówię — cóż — nie płaczcie — Mikołaja naucz uczciwie pracować. Bogu dzięki słoneczna niedziela dziś — jak to dobrze — byle tych kilka ostatnich dni pogodnych.”

Przypadł wtedy do rąk ojcowych, a ręce były sine i zimne i już zamierające — o ręce ojcowskie, najdroższe na świecie ręce.

Zaledwie usłyszał cichy szept ojca.

Podszedł w wynaglonym raptownie lęku.

Przeraził się i tej niemocy głosowej i tych rąk umarłych przed skonem.

Drgnął.

Drzwi skrzypnęły.

Wszedł pies z głową wysuniętą, z podwiniętym ogonem — powoli idzie ku nogom, którym przez tyle lat wiernie służył — ułożył się przy nich; przywarował ostatkiem posłuszeństwa; to już i koniec

wszystkiego prócz mej wierności, której nie masz końca.

— Chodź — bliżej — zamamlała nieporadnie przestrzeń, która kiedyś a może jeszcze wczoraj nazywała się wargami.

Przystanął Mikołaj u ojcowych kolan.

Z chwili na chwilę wzmacza się chłód pod sercem i obmierzłe łaskotanie w krtani.

Zatrzepotały urywane dźwięki, ostatnie resztki słów, wydmuchowisko myśli.

— Wszystko pamiętaj... wszystko pamiętaj... te nasze lata... niech ci to będzie pomocą... ucz się... w Bogu pomoc jedyna... kochaj... Bóg ci dopomoże... kochaj ziemię... niebo... i tak zawsze... zawsze... mnie wspominać... przyzywaj w ciężkości... podźwignę... zratuję... poza ludźmi... poza rzeczami... daleko... długie będą twe dni... życie walką i miłością... miłością wypełnij... długie twe dni... moje się króć... to to samo... to samo... jedno... żegnaj... zostań z Bogiem... synku... synku jedyny...

Podniosły się ciężkie, a przezroczyście jak błona powieki.

Szklane, żółte oczy szły przez mgłę walki dusznej opornie i chwiejnie ku oczom synowskim. Oczy te już nieczłowiecze, same sobie i sobą żyjące; nie narzędzia widzenia, organizmy osobliwe — samo widzenie! dojrzenie własne! Zawirowały dni, miesiące i lata narastające dzie-

cięcem doświadczeniem, jak karby w drzewnem ciełe.

A oto w jednej chwili zeschły się lata, miesiące i dni jak liście nagłym mrozem zwarzone; powiał wiatr — rozniósł liście — rozbił — roztrwonil — zakotłowała wirem ściola w szeleście listopadowym.

Wszystko znikło — rozwiało się widzenie — ostała próżnia chłodna, wielka bez granic, bez myśli, bez uczucia, a w niej te żółte, żywe, straszne, doganiające, stęsknione obłądnie oczy — umiłowane w tej chwili nad wszystko; przeminie to i tamto, lata złe, lata dobre — oczy te zostaną, one drogę życiu wykreślą — mądre, wszystko-widzące, kochające nad miarę kochania, nieomyłne, jedyne na ziemi całej — konające oczy ojcowe, nie mające we wszechświecie nic sobie równego, nic większego, nic piękniejszego, nic lepszego, nic!

I oto już klęczy u tych kolan skostniałych, twardych chudych.

Ręce zlodowaciałe całuje, a płacz nim wstrząsa jak halny wiatr jałowcem i kładnie go wpoprzek kolan: zda się — łyzy gorące marzną na czarnej skórze lodowatych rąk, które były.

— Tato, tato!

I nic więcej: ani słowa, ani myśli, ani czucia; jakby w tem wołaniu zamknął się świat i to życie dziesięcioletnie dopiero, a tak doświadczone w tej chwili bólem, skargą, rozpaczą.

A ręce starca trwały nieruchomie.

Już nie było w wszechświecie woli czynnej, któraby je poruszyć chciała — skryła się pod powiekami, które oddzieliły nieuchronnie i nieodwołalnie wzrok od widzenia i zagarnęły pod siebie ten ostatni obraz ziemi: chłopięce, synowskie łkanie przyklękłe. Wreszcie już zatraciła się zupełnie pewność dla kogo i czyj ten płacz — syna czy jego samego... Ziemia, ziemia płacze...

Wuj Waław trze czuprynę raz po raz; powiada tępo: — idziemy — spóźnię się napewno.

— Zostanę — wprasza się głos cichy nieśmiało, błagalnie.

— Nie, nie — nie możesz tu zostać, przyślemy kogoś — musimy już iść.

Powstał wuj Waław — nachylił się nad konającym, jakby chciał coś koniecznie powiedzieć — zaświeciło już słowo na wargach bladym płomykiem — cofnęło się — zgasło. Począł iść ku drzwiom — twarzą zwrócony do umierającego.

W rozterce dusznej idzie i w nachwianiu jakby się niezgrabnie, nierozsądnie zgola kłaniał.

Ręka za siebie wyciągnięta namacała klamkę. Skrzypnęły drzwi.

— Chodź już.

Dźwiga się Mikołaj; — zabołały kolana w wyprostowaniu — głowa schylona jak przy podniesieniu, gdy w ścisku współkolegów przyklęknąć nie można. Nogi niosą ku drzwiom — same idą — reszta ciała opóźnia się, ociąga, nie dogania, przystaje prawie w tem czekaniu na myśl, która wyjść nie chce z komnaty i okrąża ten stół, ten fotel

tego człowieka opuszczającego świat i opuszczanego przez bliźnich.

W tej chwili za rozwartem oknem zagwizdała wilga, prędko, przeciągle a donośnie wedle zwyczaju swego. Głośny, triumfalny hejnał złocistego przeletu był w tej ciszy zalękłej czemś tak niespodzianem i natarczywem, że chłopiec raptownie spojrzał za siebie — i oto przez okamgnienie zdało mu się, że ręka umierającego niedostrzegalnym ruchem wyznacza takt temu ptasiemu przyśpiwowi.

Wilga zagwizdała po raz drugi tuż przy oknie. Odleciała.

Gałąz brzoskwini zaglądająca do pokoju i podsłuchująca zdarzeń podwiniętemi w szyby wparłemi liśćmi, zachybotwała się gwałtownie.

Wyszli — raczej wymknęli się wpółotwartemi drzwiami.

Psu nie podobała się ta niepewność przyczajona ruchów —; — zawarczał.

Już byli w sieni.

Prawie na palcach zmierzają ku wyjściu.

Cicho...

Wtem usłyszeli z pokoju wynaglony, mocny, twardy stuk; a po nim pobrzęk szklany.

Jakby ktoś z całej siły pięścią w stół uderzył.

— Co to — ? —

Odpowiedzią był lęk nagły, podobny raczej do bólu — nieuzasadniony, przeciągły.

Tak! — co to — ? —

Po siennem sklepieniu przebiegło echo jak ślepa błyskawica — załopotało po stopniach — przepadło w klatce schodowej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O ŚWIETLISTOŚCI ZEWNĘTRZNEJ I MROKU WEWNĘTRZNYM. POZNAJEMY JAŚKA I ANTONINĘ

Stali przed domem.

Piersi mimowoli zaciągnęły się powietrzem wonnem i zielonem.

Może nigdy pamięć o obojętnej pracy korzeni, pni, liści i kwiatów — obojętnej na wszystko, co nie było nią, tą pracą właśnie — nie utrwaliła się w głowie Mikołajowej tak stanowczo jak w tym momencie przeddomnym po wyjściu z komnaty śmiertelnej. I to i wiele innych spraw miało ostać w nim na życie całe.

Chwile nie dające się streścić w słowach, a mające i barwę swoistą i melodję osobliwą i woń poddawczą — zapadały na dno sásieka, w który zmiatały się doznania, doświadczenia, przekonania, radości i bóle. Zapadały w ten świat plew óscistych i ziarn gładkich — nieodwołalnie.

Pobok huczy i trajkocze i puszy się wieczyście czynny kierat.

Z chwil zgarniętych na kupę wysnuwają się nici, wstęgi i taśmy — wmotują się w zębate koła czarne i zimne i przygniła oliwą cuchnące — zasuplają się o mądrość bezimiennej, nienazwanej

roboty wykonywanej dniem i nocą — zawsze jawne, obecne, przypominające.

Cudność dnia była zniewalająca.

Rozrósł się ogród światłem i cieniem, wywieżył, wykopulił, wypełnił i wyprzestrzenił salami, kolumnami, korytarzami i wnękami.

Zabudowały go tak drzewa rosnące na wzgórzu za domem i te od południa i te od północy. Za młynówką wzdłuż gościńca i rzeki srebrzyły się kule wierzb podszewką liści, wołały osłonecznione wykrzykniki topól rzucone na tło błękitnej i granatowej góry, wyrastającej nagle z nadbrzeżnej płaskości szumiącej rzeką prądzistą i ustawicznie wiatrem wodnistym mierzwioną wikliną.

Ku tej to górze biegły zwięzające się coraz gwałtowniej równe składy przezielonych ozimin, miedziane orzyska, zagony spokładane i rudofioletowe bronowizny.

Wpoprzek, wprost i naprzelaj rysowane miedze kreśliły się jak nieznane kształty znaków pisarskich i kładły się te hieroglificzne zjawy pismem dziwaczem porożsądnej przestrzeni pól, aż ku przeciwnemu podgórzu — przerzucały się dwudrożem ku niebu blademu na skłonie, a modrzejacemu stopniowo aż po ważny błękit zenitu.

Pan Wacław szedł z głową schyloną; ręce założone na plecach; chojda się bałabajka w niezgodnym z krokami rytmie.

— Chodź — chodź.

Przynaglał.

Mikołaj obie te sprawy istotne: świetlistości zewnętrznej i mroku wewnętrznego widział jak przez taflę wody — połamane w konturach, zygzakowate w liniach, zamglone w barwach. Niezawodnie ktoś tę nieistniejącą pono wodę zmacił.

Szedł.

Milczeli.

O czem tu było mówić?

Na podwórzu spotkali starego parobka Jaśka. Wychodził z putniami ze stajni.

— Gdzież Antonina?

— Jes w krówskej stajni, prose pana, w stajni, jes i takie.

— Zawołajcież ją.

— Antonino! Poćcie haw gospodyni — pon wołajom, no, no poćcie haw i takie.

Staęła w drzwiach stajennych.

Mały, do ziemi przygięty pokurcz góralski; babina siwa; bez chustki; rozkudlona, rozmamana, zpodełba patrząca; zapaska na niej brudna, zacio-rana, podarta; kaftanik barchanowy bezbarwny, spodniczyna perkalowa; na nogach gołych buciary niezasnurowane, gnoiste.

— Z panem kiepsko, Antonino.

— No dy wiadomo — odburknęła.

Jasiek przytaknął:

— No, no kiepsko cołkowicie kiepsko i takie.

— Uważajcie tu na wszystko — i znać dajcie; tak czy owak niech Jasiek przyjedzie późnym wieczorem po mnie; to już i tak z godziny na godzinę.

— No dy ta — pochrypia Antonina — śmierć ta nie popuści jak sie uweźnie; tela roków zek tu przeżyła; wszyśko sie końcy.

— Ja miboże — przyjękuje Jasiek — końcy, końcy i takie.

— Uważajcie, na was to zdaję; o wszystkim pamiętać; bądźcie zdrowi; a gdyby co — dom cały zamknąć; nikogo nie puszczać; zostaćie z Bogiem.

— Z Panem Jezusem.

Odchodzą.

Uśmiecha się Mikołaj do Antoniny i Jaśka; widzi ich jak przez mgłę, wyobconych, innych — tak jakoś dziwnie spoglądają na niego.

A przecież...

Już są przy bramie.

Ktoś tam biegnie za nimi; Antonina; dognała ich przy kasztanie.

— Niek wielemozny pon wybocą — a kto haw będzie gospodarzył jak stary pon zemrą?

— To się tam już jakoś ułoży — zostaniecie, zostaniecie.

— Bóg zapłać za dobre słowo — bok ta tele roków...

— Ano wiem.

Wraca Antonina ku stajni i tak sobie marmrocze:

— Boże, Boże — a dy ta może jako będzie — zmiłuj się nademnom grzysną.

Lecz Jasiek był innego nieco zdania (gdy już Antonina z pod bramy wróciła):

— To ta nowy rząd będzie całkowicie inaksy, turbacyjo ino i takie.

A po chwili:

— Bedzie tes tarasu, bedzie.

Lecz już to mówił do przestrzeni, w której przed chwilą Antonina stała.

Z głębi stajni dolatywały strzępy jęków i szlochu nieporadnego przerywanego brzękiem łańcucha. Kwiatuli, ukochanej krowie spowiadała się Antonina ze smutków i żalów serdecznych.

Spostrzegł się Jasiek, dosłyszał, pojął, machnął ręką: baba ta i takie.

Poszedł ku swoim koniom z jakąś bardzo pilną sprawą.

Bo to już trzeba rzec, że to niby w gospodarstwie, jak w gospodarstwie — robota zwyčajnym trybem szła — lecz bardzo nijako, bardzo opacznie i bardzo niemrawo — a to już zwłaszcza od tej niedzieli, w którą pan Michał pożegnał się ze wszystkim cicho, spokojnie i po dobremu, że to powiada — drugiej nie doczekam. —

Grzęźli też porębiańscy domownicy w gęstym smutku tych dni, jak muchy w mazi.

Przed stajnią stały poniechane putnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O POWROCIE, PRZEDMIEŚCIU, KLASACH, PLIKU,
GARBATYM MĘDR CZYKU, SPRZĘCIE I PRACY POWRO-
ŻNIKA ORAZ O SŁOWIE STRASZLIWEM.

Za bramą znów droga wzdłuż muru; naprzela-
j przez paździorowy klinik, przez las i go-
ścińiec.

Tak samo.

Jeno, zda się, Chrystus Frasobliwy zafraso-
wany bardziej niż kiedykolwiek medytuje na swej
topoli przysięgającej ziemi, zaprzysiężonej niebu.

Chłopiec ledwie mógł nadążyć wielkim kro-
kom wuja.

Dokuczał mu ból z odparzenia pod szorstkim,
grubym mundurkiem i męczyła przebrzydła a nie-
znana pijaność myśli.

Raz kiedyś tam w gorączce tak się podobnie
mgliło pomyślenie bujne i zrastało z rzeczywi-
stością opaczną, niczem głowa ludzka na pajęczych
nogach; koszmar. Wtedy ponoć, mówili, śmierć
w prześcieradle białem pukała do okna.

Okna naturalnie nie otworzono; całe szczęście!

Ani razu, ani razu myśl spłoszona nie orzekła
jasno i wyraźnie — ani razu, ani półgębkiem, ani
szepem; ojciec umiera.

Tylko w ciele całem od głowiny gorącej po stopki znużone słabość i opuszczenie i osamotnienie bezgraniczne: ciemny, niemy pokój bez drzwi i okien.

Byli już na przedmieściu, gdy wuj przyspieszył kroku i rzucił poza siebie bardzo już w dniu dzisiejszym zużyte w spółgłoskach, a w samogłoskach przetarte słowa:

— Późno już — spóźnię się na pewno.

I dodał:

— Idź do domu sam.

Nic więcej, przez całą drogę ani słowa o tem.

Szedł tedy Mikołaj powoli już teraz rozgrzaną, zapyloną szosą — ulicą wzdłuż małych parterowych domów krytych przeważnie gontami i „papą“.

Minął biały mur smętarny: kurcz i suchość w gardle, coś wyraźnie mówi obmierzłe wyraźnie: to tu. to tu.

Zapłatały się nogi w własnym cieniu.

Na ulicy gwar, krzyki, piski, zwoływania.

Po obu stronach na chodnikach i środkiem w kłębach popielatego pyłu biegały i bawiły się dzieci.

Przeważnie żydowskie.

Blade, wychudzone mizeroty kędzierzawe o dużych wilgotnych oczach.

Poubierane ladajako, obdarte, brudne, obszarpane. Rude, piegowate dziewczynki bawiły się piłkami w „klasy“.

Rzut zwyczajny o ścianę — schwycenie — pierwsza klasa.

Rzut — klaśnięcie w dłonie — druga klasa.

Dwukrotne klaśnięcie — trzecia klasa.

Klaśnięcie przed sobą, za sobą, obrót — i tak dalej — i znów na nowo — niestrudzenie.

Zielony balonik — pac — o mur — odskakuje i wpada łukiem w nadstawione uważnie dłonie.

Czasem minie palczaste naczynie — wtedy podskakuje na kamiennych płytach — coraz niżej, krócej, szybciej — aż stacza się w rynsztok — chwyty i dosięgany na wypródki przez wiele chciwych rąk nasilonych: kto prędzej.

Chłopcy grali w plika.

Wystająca płyta kamienna, rowek poprzeczny (zazwyczaj przy wylocie rynny) musi zastąpić przepisowy „dołek“.

Z poza tej płyty czy też tego rowka sterczy plik przygotowany do wzlotu.

Palestrą wierzbową, okorowaną — krótka i gruba najzdolniejsza — mierzy mały gracz w plika — rozważnie — wreszcie: ciach! — uderzył; wypadł plik z dołka, zafurkotał w żwawym podskoku — dosięgła go bystra palestra — w tem cała sztuka! i wyrzuciła daleko; leci wysoko! Opada; stara się go schwycić wiele wyciągniętych rąk — nie dał się! Upadł na ziemię; ogłaszają: dwanaście!

Teraz palestra leży wpoprzek dołka.

Z gromady przeciwników występuje najzręczniejszy gracz, wysuwa nogę, lewą, — mierzy

plikiem w palestrę; jeśli w nią trafi — wygrana!

Skuty? nieskuty? — jak będzie? — Mierzy, mierzy — rzucił! — Krok za palestrą, — nieskuty! dalej! —

Biegną dwa człowiecze koniki sznurkiem przez piersi związane, a poganiacz z batogiem za niemi; wykrzykuje z powagą i przekonaniem: wio! hetta! prrr!

Skaczą konie narowiste, kłusują, rżą, galopują, kwiczą, brykają; czasem posłuszne, częściej nie; jak trzeba.

W dużej bramie płacz!

Jakaś kobieta rozjędzona dopadła nicponia, na którego już czatowała cierpliwie za murkiem.

Coś tam widać przeszkrobał; a może i nie? Kto to wie; starszym się różnie wydaje; rzadko sprawiedliwie; często z ambicji, że to starsi wiedzą wszystko najlepiej; najczęściej poprostu ze złości i z tego gniewu, który tak łatwo wyrzucić na dziecku, łatwiej niż na psie. A już na przedmieściu, gdzie brud, nędza i poniewierka powszednia i pijaństwo niedzielne niweczy czystość myśli i serca skamienia — ktoby się tam o naród dziecięcy troskał, o sprawiedliwość! Fanaberje!

Więc i w tej chwili jednej z wielu wali baba dzieciaka twardą, spracowaną ręką, pierze nadlew, gdzie trafi — w plecy, w głowę, w nogi — a w ręce ochraniające chude ciało — najczęściej; poco się niemi zasłaniasz hyclu pieroński.

Pod drewnianą, pochyloną ścianą obłożoną i mokrą od dołu, z wielgaśnym od góry napisem:

SKŁAT DŻEWA I WĄGLI
CH. BALAMUTH

stoi mały, śmieszny żydek garbaty, w długim, czarnym, świecącym chałatku; jarmułka aksamitna na dużej głowie; długie, kręcone icki; tak tam strożuje od wczesnego rana po zmierzch wieczorny — pochylony, wsparty na kosturku — nie śmieje się, z dziećmi nie bawi — jeno patrzy; stoi a patrzy.

Zna go dobrze Mikołaj, któż-bo go nie zna? garbatego mędrczyka, kalekiego syna sławnego na cały powiat talmudysty.

Cały garbusek, poprawdzie, to ten wąty słupek chałatowy, koślawy — pod jarmułką troszka bladych jak spłowiały papier lic, nikła smuga wąskich, zaciętych warg — a reszta to już tylko oczy olbrzymie, podłużne, czarne, pod wygiętymi rzęsami błyszczące — obojętne, posępne oczy.

Wzdłuż domów odrapanych, zaliszajonych odrypanym tynkiem, kiedyś tam żółtych, białych i zielonych — powroźnik rozstawił swój warsztat. Stoi na środku chodnika, po stronie cienieści, duży kołowrot, umocniony kamieniami.

Pomocnik-terminator kręci wytrwale korbą — duże koło obraca się wartko, a wraz z niem, z hurkotem i szczękiem czworokątna tarcza drewniana z przymocowanymi do niej hakami żelaznymi; na każdej wędzie zawężlony warkocz

konopiany wydłuża się pokrętnie, zasilany bez przerwy kudłami pakuł, których spora naręcz spoczywa w worku-zapasce kroczącego miarowo wstecz majstra powroźnika. A ten majster ręką prawą okutaną w szmatę osłania skręcony powróżek; dzierży mocno. Lewicą podsyca dzieło swe pakułami konopianemi z tego wora-brzuchacza wydętego; sznur żarłocznie pożera garście strawy w mig.

Cofa się rytmicznie powroźnik — dziesięć kroków — dwadzieścia — dwadzieścia pięć — ile potrzeba.

Stój! Holt!

Ustaje rechot kołowrotu

Sznur zdjęty — jeden — drugi — trzeci — czwarty. A potem, jeśli wola, skręca się je razem w powróż gruby, wytrzymały; może być lina pawązowa, studzienna, okrętowa — przydatność wszelka; kupca w świecie znajdzie.

Wśród tego rozgwaru rozbieżnego idzie Mikołaj zmęczony bardzo, wystraszony w sobie czemś, co już nie jest ani drogą przebytą, ani myślą zrozumianą — może raczej niewidzeniem drogi powrotnej — tam, gdzie już nie czeka ten człowiek jeden i jedyny, bliski i kochający tak bardzo i do ostatka, że cóż mu można wzamian dać?: siebie jeno i równe kochanie.

Przystanął.

Myśl nagła, jak trzaśnięcie zapalki w ciemnym pokoju: wrócić!

Wrócić tam raz jeden jeszcze — powiedzieć —
usłyszeć — spojrzeć — bo potem już nigdy,
nigdy. —

Nigdy!

To najstraszliwsza mądrość tego przeraźliwego
dnia — poczętego przecież w słońcu, umajonego
kwiatami, kwiatami wonnego, pobielonego chmu-
rami rozbieganemi samopas, wiotkimi jak mgła,
zasypiającymi cichym bławatem na nieboskłonie
dalekim.

Nigdy!

Więc i tamto wszystko przypadnie? Z miłości
bezgranicznej wyrosłe — modre dni serca? Opatrz-
ność i wonna wiedza? Co teraz?

Nigdy!

Powlókł się dalej ku miastu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O KROPIELNICY DLA DOROSŁYCH, O SZNURZE KORALI, MODLITWIE, NIEWCZESNEM SPOTKANIU I ZROZUMIENIU OSTATECZNEM.

Tak przeszedł niewiedno i w zagubieniu otępie-
łem tę ulicę — i drugą wybrukowaną, stromą.
Kościół!

Biała wysoka ściana; drzwi boczne, nad niemi
duży drewniany krzyż i zegar słoneczny z napisem:
CZAS UCIEKA WIECZNOŚĆ CZEKA. Wokoło
napisu zeschły, pożółkły, łoński wieniec jodłowy.

Zsypuje się umarłe igliwo — sporo go na ka-
mieniach przed drzwiami.

Wszedł.

Chłód przejmujący.

Jak w lesie.

Rzeczywiście jak w lesie, bo to i tu i tam ży-
wicą wonieje i cieniem się mroczy.

Pusto w kościele i tak bardzo daleko do głów-
nego ołtarza.

Staął na palcach, rękę wyciąga — krypta
kamienna tak wysoko — dla dorosłych tylko; do-
tknął palcami — zimna jak lód; — lecz poza okraj
nie sięgnie, za krótka ręka.

Przyklęknął; przeżegnał się.

Idzie po posadzce ułożonej w kwadratowe desenie i gwiazdy — — podobne układał z kostek drewnianych; — kiedyż to? — Wszystko dziś takie dawne! — gdzie one są — te kostki? — Czy t a m zostały? — Nie przywiózł ich ze sobą; przepadły.

Tak już i uklęknął na stopniu ołtarzowym.

W kościele nikoguteńko.

Milczenie wielkie.

Srebrzy się niemy dzwonek.

Srebrzą się wota liczne przy obrazie Matki Boskiej.

Ma Pani nasza koralí sznur troisty na szyi.

A to: Wiara, Nadzieja i Miłość.

Pobłyskuje wieczna lampka — przeto ołtarz jest żywy cieniami.

Mówi chłopiec mechanicznie Ojcze nasz, Zdrowaś Marjo, Wierzę w Boga Ojca.

Bez treści, bez zrozumienia wargi mówią.

Czoło oparł o balustradę.

I raz jeszcze od początku: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — —

Pod Twoją obronę —

Ma Pani nasza koralí sznur troisty na szyi.

A to: Wiara, Nadzieja i Miłość.

Ale od wszelkich złych przygód racz nas zawsze wybawić.

Dziwne ukojenie spływa na serce w tym naszepcie półprzytomnym.

Łzy dwie, gęste płyną po twarzy — padają u kolan na posadzkę.

Załkał spazmatycznie, nagle, wybuchowo.

Trzęsie się jak w febrze.

Myśli poza powtarzaną modlitwą wołają głośno:

— Tato! — Tatusiu — cóż ja pocznę bez ciebie — co — ? — a niedziela, ten jedyny dzień — nie będzie już radością wyjazdu do ciebie — nigdy! — nigdy — ! — Czemu odchodzisz — ? — czemu mnie opuszczasz — ? —

— Cóż to, płaczesz?...

Obejrzał się; przy nim stał chłopiec, kolega szkolny; w mundurku z koronkową kryzą na kołnierzu; tak go matka, jedynaka, lalczyła; — rumiany, puciołowaty; małe, wybałuszone oczka.

— Cóż to, płaczesz — ? —

Ktoś tam z wnętrza nieznanego, dalekiego odpowiedział za Mikołaja, odpowiedział zimno, poważnie, z odcieniem wyższości stwierdzał ważne zdarzenie —:

— Ojciec mi umarł —

— Ojciec ci umarł — ? — To ty jutro nie przyjdiesz do szkoły — ? —

Była w tem pytaniu jakoby zazdrość nieuświadomiona, bezmyślna.

A w wnętrzu Mikołajowem ten ktoś niemiły bardzo powtórzył kilkakrotnie —: umarł, umarł, umarł —.

Teraz dopiero usłyszał wyraźnie ten odgłos w pokoju ojcowym, ten głuchy, twardy stuk, jakby ktoś pięścią w stół uderzył — — zadźwięczała szklanka — —

Zrozumiał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O KUCHNI I TRZECH POKOJACH, O SARENKACH NA
KŁOSZU LAMPY, WĄTĘYM STOLIKU,
FOTOGRAFJACH i t. p.

Z kościoła poszedł Mikołaj do domu.
Mieszkał u wujostwa.

Wuj Wacław był urzędnikiem starostwa wołkowickiego. Żona jego pani Wilhelmina pulchniutka brunetka, rumiana, zdrowa i pospolita wodziła rej w domu.

Mieszkali w domku małym (ale własnym — mawiała pani Wilhelmina): trzy pokoje, przedpokój, kuchnia i ganek drewniany od strony podwórza.

Podworko, pożal się Boże, miejskie, ściśnięte: płot, drewnutnia, chlewik.

Ogród dość spory nie kwiatowy, rozumie się, lecz warzywny z alejką porzeczkową i agrestową, z kilku szeregami grusz, śliw i jabłoni schodzących aż do smrodliwego przekopu granicznego.

Za przekopem pełnym nigdy nie wysychającej mazi zlewiskowo-fabrycznej ułożyły się wpodłuż płaskie, chude składy poletek należących już do zarządu dworca kolejowego, którego czerwone zabudowania widać było z ogrodu dokładnie.

Ustawiczne gwizdy pociągów, syki niekończące się wypuszczanej pary, chrapliwe dudnienia kół — była to bardzo właściwa tych miejsc melodia; świadoma swej tutaj rodzimej przynależności przeska-kiwała zwinnie i odniechcenia cuchnący przekop i wałęsała się dniami i nocami po przyległych ogródkach i podwórkach bliźniaczo do siebie podobnych.

Dom wujostwa Wacławów to typowy urzędniczo-małomieszczański dom wołkowicki.

Takie też i urządzenie.

Kuchnia jak kuchnia; — mały kaflowy piec z żelazną poręczą zakończoną błyszczącą, metalową kulką; półki sosnowe z talerzami, garnkami, rondlami, sitkami; na ścianie stolnica, pobok wałki, tłuczki, tasaki i t. d. — przedmioty łatwe i niezbyt wymowne, bardzo posłuszne, w chwilach potrzebnych pracowite — poczem odpoczywające w tę-
pym bezwładzie.

Pokój jadalny (tuż obok kuchni): — stół obszerny na środku pokoju, przykryty ceratową serwetą (jasno zielona w czerwone maki), stołki gięte t. zw. wiedeńskie — w kącie łóżko metalowe — właśnie Mikołaja legowisko; więc i półeczka z książkami i zeszytami, stolik z przypiętą „pluskiewkami” czerwoną bibułą nielitościwie obszarpaną i zaplamioną, kałamarz, obsadka, kilka zarzewiałych stalówek, ekierka, ołówki, guma — Pod oknem maszyna do szycia — Singera — nie inaczej!

Pokój sypialny: dwa łóżka orzechowe obok siebie dwoma kołami oparć zestawione, na-

łkryte kapami białemi szydełkowej roboty (to ręczne, proszę pani, niech pani popatrzy), nocne stoliki z pretensjonalnemi „nagłówkami“, szafy dwie rozpierające się przy ścianach, zarozumiałe, wypięte, głupie i pakowne — otomana nakryta pluszową zasłoną zieloną o odcieniu „zgniłym“ — no i lampa t. zw. nocna, wisząca u powały, z różową umbrą, na której przy świetle widać matowym konturem odrysowane sarenki dwie i sarniaka wiodącego one w gaik brzozowy. — Nad łózkami dywan fabryczny — znowuż zielony w blade różyczki — na nim w czarnych ramach z wyłączaną „drogą cygańską“ Chrystus wawelski w nieistniejących barwach reprodukowany.

Pokój trzeci: salon — ; — stały tam zielone(!) mebelki owego typu „materjałowego“ bez drzewnych obramień: kanapka przysadzista, odparta, z nogami w dość bezczelny sposób wysuniętemi, matka czterech kubek w kubek podobnych do siebie foteli; cała rodzina suto obszyta frendzlami i zwisającymi z boków gęstemi kutasami; — przed tem towarzystwem, a raczej w pośrodku tegoż, rozpierał się stół o nogach zaplecionych bezpotrzebnie a pomysłowo. Nieco z boku już pod ścianą mizdrzył się stolik mały, bardzo w sobie niepewny, bez zasad, wzdrygający się przed jakimkolwiek dźwiganiem, choćby wiotkiego przedmiotu; nie znosił tego; poprostu drżał na samą myśl, iż mógłby stać się kiedykolwiek, choćby fikcyjnie, użytecznym; — a może mu nawet myśl taka nigdy w głowie nie powstała — ? — Może drżał z tej

wątlności od urodzenia swego? — A może z anemji, chłodu wiecznego? — Może! — Tyle przecież było w nim dziurek i szpar i ażurowych esów-floresów — miejsca na przewiew aż nadto! — Trząsł się też i dygotał zębami i całym sobą ilekroć otwierano drzwi (często), lub okna (rzadko).

O nim to zwykła była pani Wilhelmina mawiać do gości:

— Sam mój mąż go zrobił, proszę ja państwa, w Nowym Targu, gdyśmy tam byli przeniesieni; mąż mój wogóle śliczne rzeczy wycinał laubzegą; szkoda że jakoś tak zarzucił tę pracę, to bardzo miła rozrywka i pożyteczna. —

Istotnie wisiało w salonie sporo fotografii w ramkach onychże „laubzegowych”; były to wizerunki rodziców, wujów, stryjów, ciotek, szwagrów, kuzynek i kuzynów — a przewodziła chwalenie tej retrospekcji powinowactwa i krewniactwa śliczna, lśniąca, duża fotografia pani Wacławowej w stroju styryjskim (obok studni, bok domu, okno otwarte, kanarek w klatce, czy klatka z kanarkiem), i druga powieszona jako „pendant” — wuj Wacława w mundurze sierżanta austriackiego (wąż wypomadkowany, scieniony na końcach niczem sztyld, czapka, owa śliczna tak niezrównanie charakter tego miłego b. państwa symbolizująca — z „bączkiem” figlarnym F. J. I); fotografia była pełna powagi i niezależności niedzielnej (czyż w dzień powszedni mógł się sierżant vel feldfebel uwieczniać — ? — nie!).

Reszta rodziny, prócz tych właśnie kilkunastu najbliższych, ułożona była na bardziej wieczny spoczynek w dwu albumach zdobiących okazaśnie stół salonowy — ; — jedno w czerwony, wytłaczany plusz oprawne miało blaszaną pustą tarczę herbową na wierzchniej okładce, drugie z imitacji skóry sporządzone, czarne, nabijane było dużymi gwoździami „srebrnymi” po czterech rogach ku ozdobie wdzięcznej. Kształt fryzur, kaprysy dziwnie hodowanych zarostów, kroje ubrań, sukien, strojów w tych albumach wyimaginowanych osób były nieprawdopodobne, niespotykane i fantastyczne.

Brzegi albumów były oczywiście złocone.

Największą atrakcją tego przybytku, nie tyle gościnnego ile dla gości przeznaczonego, była wisząca nad kanapą filigranowa półeczka bambusowa z podstawkami niesymetrycznie wzdłuż palików rozmieszczonemi; wisiała na tle zielonego(!) sukna z wyhaftowaną na niem równianką polnych kwiatów o kolorach pomyłonych i zagmatwanych; były więc buraczkowe bławatki pośród seledynowych maków, żółte niezapominajki obok białych kitek traw; zdawał zlatywał ku tym powabom zielony trzmiel o oczach z paciorków czarnych. Było to piękne.

Na rzeczonych podstawkach pieczołowita, czystość i porządek miłująca, dłoń ustawiła flakoniki szklane, filiżaneczki dziwnie, bardzo dziwnie karbowane i zdobne, figurki porcelanowe, gnomy, dziewczynki, baletniczki, pałacyki z oknami z masy

perłowej pod szklanemi kloszami, naczynka niewiadomego użytku, ptaszki, świnki, kotki i pieski oraz kilka wazoników chińskich, tym razem, nie wiedzieć jakim cudem, rzeczywiście „prawdziwych”. To bywa.

Na przeciwległej ścianie stała „toaletka” (nie pomieściła się w sypialni podobnie jak i umywalnia, którą wyforowano do kuchni) orzechowa z płytą marmurową i lustrem w tych to bezstylowych, a pretensjonalnych ramach z słupkami, galeryjkami i drewnianemi toczonemi czapeczkami w kształcie, pozał się Boże, waz czy urn maleńkich.

Wszystkie te sprzęty i przedmioty znał Mikołaj, mieszkający tu od września, napamięć z drobiazgową ścisłością.

Łączyły go z niemi liczne porozumienia i nieśnaski. Rozróżniał dokładnie krzesła wiedeńskie, które przecież były bliźniętami wielokrotnemi; rozpoznawał je po jakichś jemu tylko znanych różnicach czy pomyłkach deseni; — ba! — nawet w jednostajnie powtarzających się „kwiatkach” glinkowego, patronowego malowidła ściennego — pomijając już, że wiedział, ile tych deseni jest — znał różnice, niedokładności i niedociągnięcia.

A oto już i stoi przed drzwiami wchodowemi.

Pociągnął za zwisający drążek — odezwał się kilkakrotnie dzwonek na ganku obok kuchni.

Czekał sporą chwilę.

Wreszcie tupot bosych nóg na ganku, w przedpokoju — ; — zapytanie:

— Kto tam?

— Ja —

— Aha, Mikołaj —

Zgrzyt klucza.

Służąca Różia otworzyła drzwi.

— Pani czekała do czwartej na ciebie, a potem wyszła na miasto; podwieczorek jest, weź se go — jest w kuchni w górnej rurze, a bułki są na stole, masła wcale nima, — muszę lecieć do ogrodu — okopuję fasol. —

— Dobrze, Róziu.

Wszedł.

Zamknęła drzwi na klucz i pobiegła do ogrodu w podskokach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O ZAPUSZCZONYCH STORACH, ROZKWITŁEJ POWNONNIE CYDONJI, WUJENCE I PŁACZU.

Mikołaj wszedł do jadalni i usiadł na łóżku. Zmęczony był bardzo.

Wypoczywa w bezmyślności zupełnej, w upartych, jałowych liczeniach deseni na ścianie — z kąta, od środka, nawspak, nakrzyż.

Płaczą się liczby, cofają, przeskakują — ciągleby trzeba od początku zaczynać.

Głowa boli w skroniach.

Oczy bolą, jakby ktoś piasku nasuł pod powieki.

Przykra, dokuczna jasność.

Zmrużył oczy.

To od okna ból kroczy szeroką jaskrawą drogą! — dlaczego?

Podszedł i zapuścił story.

Uczyliło się mroczno.

Ułga.

Obszedł stół raz, drugi, trzeci.

Przysiadł na krześle i wparł głowę w dłonie.

Policzki podsunęły się ku oczom skośnym w tej chwili.

Zdwoiło się widzenie przez to podniesienie kątów ocznych.

Zadrgały kontury przedmiotów, zamgliły się
i zamazały.

Błada tęczowość powlokła obrazy.

Z dygocącego brzegu stołu wylśniła się szklanka
urznięta w kanty płynne i barwne — zamajaczyło
w niej obcięcie trójkątne gałązki... gałązka... li-
ście... kwiat czerwony... rozkwitła cydonja...

Rozdwoiło się to wyraźne już widzenie.

Dwie już są szklanki — dwa kwiaty...

Jednakie... nie! — Jeden obraz się kurczy,
zmniejsza, podnosi i chwieje nad tamtym więk-
szym — — to bliżej, to dalej — to niżej, to wy-
żej.

Oczy czynią się coraz bardziej skośne i uparte
w dopatrywaniu się tej złudnej rzeczywistości.

Gdzież to ta szklanka — ? —

Gdzież to ten kwiat — ? —

Kiedy — ? — Gdzie — ? —

Z trudem rodzi się przypomnienie.

Ach! — to — *tam!* — na stole — prawda —
prawda. — —

Na tle żółtej czaszki płonie czerwony kwiat pi-
gwy naukos w szklance sterczący.

Boże!

Zatrąkotał dzwonek. Nagle. Przeraźliwie.

Znikła jedna szklanka z gałązką.

Kwiat przez chwilę unosi się jak motyl.

Zgaś.

Dzwonek — po raz drugi. Krótko. Gwałto-
wnie.

Druga szklanka odpłynęła ku łóżku, zachwiała się przy ścianie — zbladła i wsiąkla w deseń malowidła.

Dzwonek — po raz trzeci. Długo. Niecierpliwie.

Załopotały bosc nogi na ganku; mignął cień na storze.

Otwieranie.

W przedsionku głos wujenki:

— Cóż to nie otwieracie — ? — czekam tu już dobre pół godziny. —

(Zawsze tak mówiła; gdzie tam pół godziny! — pięć minut i to nie!)

— Pana nie było — ? —

— Nie. —

— A Mikołaj?

— Jest. —

— Czemuż nie otworzył? — Przecież wiedział, że robisz w ogrodzie? —

— Nie wiem, proszę pani.

— No, do roboty! Szkoda czasu.

Za chwilę weszła do jadalni —: w silnych rumieńcach; duży kapelusz ze strusiem piórem zwisającym aż na ramię; kostjum t. zw. angielski (proszę pani, taki zawsze modny i zawsze porządnie wygląda); wysznurowana mocno; biust wydatny, wysoki — na nim właśnie dwie kieszonki zapinane na lśniące, czarne guziki; materja brązowa w poprzeczne paski popielate.

— Cóż ty tu robisz — śpisz? — a cóż to? — story zapuszczone? — czemuż? — cóż ty mi tu

kaplicę z jadalni robisz? — zwarzowałeś do reszty? —

Chciał się jakoś usprawiedliwić.

Ale co powiedzieć — co? —

Ten jeden argument — tylko ten jeden!

Czuł, że to nie jest wytłumaczenie, że to nie przekona — skądże!

Lecz powiedział:

— Tatuś umiera. —

— No to cóż? — wiem! — Story z tego powodu zapuszczasz? głuptaku! — cóż — młody może, stary musi, to trudno! — ojciec twój jest stary. —

Zdjęła kapelusz, położyła na łóżku.

Odpina rękawiczki —:

— Jakżeż tam, byliście z wujem — no i co?

Nie odpowiedział.

Po raz trzeci dnia tego ból bezlitosny uderzył w piersi, w serce, w gardło, w głowę.

Tchu złapać nie mógł.

Zbladł.

Schwycił powietrze i rozplakał się wielkim, długim, rozpaczliwym płaczem.

Popatrzyła na niego zdumiona wujenka —

— Przeczulony dzieciak. —

Wyszła do kuchni; trzasnęła drzwiami, nie chcący zresztą, miała bowiem ruchy i gesty samowolne, liczące się tylko z sobą.

W krzątliwej gospodarce, czy aby w kuchni porządek jest należny (nie była przecież od dwu go-

dzin w domu) — zauważyła nietknięty podwieczorek Mikołajowy; — zatroskała się —:

— Podwieczorku nie jadł — kawa na nic się wyziębi.

Zdjęła gruby, ustany kożuch z filizanki.

Pani Wilhelmina miała dobre serce.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

*O PRZEBUDZENIU I NOCNEJ KRZĄTANINIE, O KRAI-
NIE W KTÓREJ NIEMA ŁEZ, O RĘCE ZJAWIONEJ
I UKOJENIU.*

Mikołaja Srebrempisanego zbudziły krzątania głośnie w przyległym pokoju.

Noc czarna, tylko od sypialni wujostwa kładzie się na podłogę jaskrawa pręga światła.

Usłyszał głosy szybkie, przyciszone, głuszone postukiem pchniętych mebli.

Rozróżniał słowa: już — — trzeba jechać — późno.

Jasiek przyjechał. — —

Przez chwilę nie rozumiał nic — wie tylko, że w pokoju ciemno, że leży w łóżku — i tę pręgę światła widzi. — —

Dosłyszał (głos wujenki):

— A czym Jasiek przyjechał — ? —

Więc jest Jasiek! — właśnie mówi:

— Brycką — obyczajnie brycką i takie. —

— Czemu nie powozem, tłuc się nocą na bryczce — też rozum.

Głos wuja:

— Przecież to niedaleko, kochanie.

Głos wujenki:

— Ach, ta wieczna rezygnacja ze wszystkiego, cóż to — musi być niewygodą? — dość tego!

Perswazja:

— Ależ Minko, cicho.

Replika:

— Zawsze tylko cicho! Ty tylko: cicho! — To umiesz — ! — właśnie, że będę głośno jak zechcę, głośno! — rozumiesz?!

Głos Jaśka (którego to nic nie obchodzi):

— No i takie. —

Odwrócenie uwagi, manewr dyplomatyczny (głos naturalnie wuja):

— Pozamykaliście wy dobrze?

— No, no ponamykali (Jasiek nie wymawiał litery zet — lecz o tem później) —

— A któż jest we dworze?

— Dy Antonina, prose pięknie, Antonina jes i takie. —

Głos wujenki:

— Sama —

— Dy tak — sama — sama jes —

— I nie boi się?

— Cego? — nima cego — i takie —

— Umarłabym ze strachu, prości ludzie nerwów nie mają — (rozdzieliła ludzi subtelnie na prostych i — nieprostych, znaczy się: krzywych, złozonych, inteligentnych — prości są nieinteligentni oczywiście skutkiem czego nie należą właśnie do inteligencji).

Poczyna się zamykanie jednych drzwi, otwieranie innych.

Ktoś zmierza do pokoju Mikołajowego.

Przyłożył prędko głowę do poduszki; przy-
mknął oczy; śpi niby. —

Wchodzi wujenka z świecą.

Przez szparki ledwo, ledwo niedomkniętych po-
wiek widać, że ubrana już „do drogi”; w płaszczu
i kapeluszu nakrytym gazowym szalem związanym
pod szyją w dużego motyla.

Przystaje nad łóżkiem.

Postoi chwilę; świecę wysoko trzyma; odchodzi
i mówi, a już za drzwiami —

— Mikołaj śpi.

Wuj:

— Nie budź chłopca.

— Pewnie, że nie! żeby się znów rozbeczał, ani
mi się śni; — no, chodźmy już, jak mamy iść. —

Znowuż zamykanie drzwi.

Ktoś jeszcze wraca — dmuchnięcie, — gasi
lampę.

Pręga światła u drzwi znika.

Zgrzyt klucza.

Kroki już w przedpokoju — na ganku — przed
kuchnią.

Stłumione: — Róziu! — Róziu!

Stuknięcie; skrzyp łóżka; pacanie bosych nóg.

— Co?

— Otwórz. —

Szepty prędkie; dyspozycje, przestrogi, „nakła-
danie w uszy”.

— Dobranoc. —

— Dobranoc. —

I jeszcze, a już głośniej:

— Uważaj tu na wszystko, pamiętaj! Rano pewnie wrócimy, pan i tak do biura musi, zresztą cóżbyśmy tam robili.

Kroki powrotne; przy którymś stąpieniu zadźwięczała szklanka na stole.

Zatrzaśnięcie bramy wchodowej.

Chwila niema.

Tupot nóg końskich.

Turkot bryczki po bruku — coraz dalszy — cichszy — już nic nie słysząc.

Cisza, wielka, czarna cisza.

Opuszczenie bezgraniczne, na które już żaden płacz nie pomoże.

Straszna kraina w której niema łez.

Bezmiłosna samotność w pustyni bez końca.

Zaciskają się ręce bezsilne, nieporadne w tej żalości mrocznej i bezsłownej.

Obolałe myśli zawisają w próżni i chwieją się jak wahadło z nocy w noc.

W salonie skrzypnęła podłoga.

Wyraźnie — ktoś stąpił!

Szelest kroków stłumionych w sypialni.

Przestrach!

Serce bije gwałtownie.

Zziębły dorazu nogi i ręce.

W pokoju szmer, jakby się papier zsunął ze stołu.

Nie! — To ktoś po ścianie dłonią suwa — idzie poomacku — coraz bliżej — —

Z nocy — niewidoma i jak noc ciemna — wysuwa się — — widzi chłopiec sobą, bezocznem dojrzeniem, — czuje wyraźnie — — wysuwa się kształt jakiś, jak zgęszczony na okamgnienie mrok — — — ręka!! — Coraz bliżej — bliżej — bliżej — — a! — dotyka go — — krzyk stłumiony! —

Ręka musnęła go po twarzy i po włosach — delikatnie, pieszcząco, ojcowsko — — — rozplynęła się w przestrzeni.

I dziw! — Nic się już nie boi — nic —

Już jeno spokój wielki — ; — ukojenie i słodcz nagła, dobra, poważna, potrzebna.

Wargom przyśnił się uśmiech —

Oczy otwarte szeroko —

Niema już mroku — już niema nocy — jasność świetlana i dobroć wszelka —

Wszystko się wraz przeinacza — odmienia —

Znika dokuczna duszność, obcość i niechęć zacięta —

Znika niewola tego obcego domu tak strasznie obojętnego

. dzień ciepły, słoneczny, pachnący...
.

I jeszcze jeden napór niechętnych mroków.

Zaraz... zaraz...

Noc się ku jutrzni wpiera, świetlistość jutrzni zwycięża.

Noc się rozprasza, przepada.

Niebiosa złote, niebiosa modre, niebiosa kwit-
nące spłyńcie rosą kojącą —

na stroskane serce spłyńcie rosą kojącą.

Rorate coeli

. dzień ciepły, słoneczny, pachnący...

WYDZWANIA SIĘ GODZINA PRZED JUTRZNIĄ.

KSIĘGA PIERWSZA
ZAPACH JABŁEK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O PIERWSZEJ WYPRAWIE, KOGUCIE, MOTYLACH-BIELINKACH I RYBKACH, O KONICZYNIE KWITNĄCEJ NA ZIEMI I NA GWIAZDACH, O SŁOŃCU-SŁONECZNIKU I POŻEGNANIU SIE Z WIELOMA MIKOŁAJAMI.

Dzień ciepły, słoneczny, pachnący.

Wzdłuż muru, wzdłuż muru idzie Mikołaj sam, sam, sam — — wie, że sam i tak mamroce krokom malutkim na przynętę i trochę też w takt, odrobinę zaplątany w zieloną gałąź kasztanu, pod którą trzeba przejść — a tam w tym poddrzewnym cieńcu jest trawa także niby to zielona, ale inna, głębsza na pewno i powoli pływająca.

— Sam — sam — sam —

Żaby (powiedzmy wyraźnie: żaby) kumkają w stawku, który jest bardzo daleko, o bardzo! — za murem i za łąką — wogóle trudno dojść do niego i nawet poprawdzie nie wolno.

Najpierw przeszedł podwórze — chyłkiem i z szpiegowskim wypatrywaniem — a wszystkiemu winien kogut (powiedzmy wyraźnie: kogut) czubaty — ten kogut! — Ile razy go zobaczy, niby Mikołaja, biegnie rozstawiając szeroko nogi i szurując skrzydłami po ziemi — i prosto na pierś

hups! — dzióbem pac, pac — a oczy złe aż się iskrzą, a czupryna się mierzwi i sroży — — Co robić? co robić? — gdyby tak w buzię dziobnął albo, nie daj Boże, w oko — ! — Obroni się to czteroletnie dziecko, choćby i chłopczyk? — przecież się nie obroni! — A może jeszcze nie ma nawet czterech lat — czasem słyszy jak mówią: czwarty — czy to to samo? —

Niewiadomo.

No! — Jakoś się przebrnęło przez ten cienisty kawałek trawnika — głębiej nie było, ale zimniej.

Już jest za bramą.

Pierwszy raz sam.

Jak tu dużo pola!

Wszędzie tak daleko — —

Most — ! — prawda — most!

Na młynówce jest most drewniany darnią przykryty — dwie barjery po bokach — a stamtąd już droga opada ku polom — a na tych polach robota, robota, robota —

Antonina z kimś tam jeszcze od rana jest w polu.

W domu niema nikogo.

Ojciec pojechał do miasta, więc rozumie się, Jasiu też, bo jakże —.

Toruś leży pod gankiem, ale mu ani nie mów o spacerze! Ani głośkaniem, ani cmokaniem nie trafisz do niego — odburknie: nie! — W złym jest humorze — może go brzuszek boli? — może być, któż to wie. —

Więc idzie Mikołajek sam i tak sobie też ciągle, a ciągle pospiewuje — sam — sam — sam —

Małe stopki idą po swojemu i osobno, po swojemu idą kolanka i też osobno, osobno brzuszki, główka też osobno — a niby wszystko razem — ale i osobno (upiera się) — na pewno!

Boże, jak to daleko!

Zaraz za bramą przeleciał przez mur motyl biały, a potem zaraz za nim drugi; prędko przebiegają skrzydełkami; lecą ukosem raz niżej, raz wyżej — wysoko, wysoko — nagle opadają — już nad ziemią niziutko fruwią.

Podskoczył ku nim Mikołaj raz i drugi — ale gdzie tam! — Znowu tak wysoko lecą — jeden za drugim; trącają się skrzydełkami, dolatują do siebie, rozbiegają się, raz jeden wyżej, to znów drugi; a oba coraz wyżej — ponad drzewa — — — Możeby ich nawet tatuś nie schwycił — e! cóż znowu!

Tatuś! Tatuśby na pewno schwycił! Cóż tam tatuś!

Tatuś wszystko może! Tatuś sam jeździ do miasta!

Tatuś sadi takie małe ziarneczka i rosna z tego kwiaty — ba! nawet drzewa! — — Próbował i Mikołaj sadić, a jakże; zasadził było w piasku koło wozowni groch; codziennie odkopywał i zaglądał — żeby choć ździebełko — nic!

Tak dawno tatuś pojechał — niema go i niema — — a troszkę się już jeść chce i pić — pić — tak bardzo, naprawdę.

Most!

Woda czyściutka, przeźroczysta.

Przechyla się chłoptaś, a ręce trzymają się mocno barjery, tak mocno, że aż końce palców bieleją. Widać dno doskonale.

Kamyczki, piasek, żwir i takie małe, tycie rybeczki, troszkę większe od owsa.

A teraz większa nadpływa; jak mały palec; i — aż dech w piersi wstrzymał — dwie! Dwie sterują powoli, rozważnie, wybierają sobie, widać, lepsze przejścia w wodzie, mniej wyboiste; ale te dwie to już takie duże, jak dwa małe paluszki razem — więcej! — dużo, dużo więcej — trzy palce, a możeby jeszcze nie starczyło — dwanaście może? —; jeden, dwa, trzy, sześć, osiem, dwanaście, dziewięć — przypomina sobie to „porachuj“.

A tymczasem rybki płyną i ogonkiem to w tę, to w tę stronę — majt, majt — ; — a na grzbiecie mają też taki ogonek i przy głowie, z każdej strony po jednym, niby uszy, a jest toto różowe, a one są srebrne, na pewno srebrne.

Popłynęły między gromadę małych rybek; aż się zarumienił tak uważa; co to z tego będzie? — — plusk; — mig! — i wszystko gdzieś się pochowało, pokryło, znikło — tylko z dna piaszczystego wyrósł jakby dymek maleńki; — a to kamyczek z pod nóżki pacnął do wody — rybki się przelękły — i już — —

Króciutka chwila żalu.

A tu od tego mostu to na wszystkie strony bardzo daleko.

Co to tam widać — ? — Takie jakieś malutkie postacie — może to Antonina? — i ktoś jeszcze

przy niej; — schylone — kopią; pobłyskują raz po raz w słońcu kopaczki.

Ach! żeby tak do nich dojść!

Nóżki już bolą i pić się bardzo chce.

Zeszedł z mostu.

Zeszedł i idzie.

A tu po lewej (a może po prawej) żyto już takie duże, wysokie jak Mikołaj; i to krajem tylko. bo dalej w głębi łąnu o wiele, wiele większe.

A tu po prawej (a może po lewej) konieczyna kwitnąca!

Konieczyna —

Ileż tu główek — prostych i pochylonych, nabakier — a wszystkie puszyste, duże, liljowe czy jakieś.

Jakże to było — ? — Z kimże to szedł też tak koło tych łebków takich — i zerwał ten ktoś kwiat konieczyny — daje mu i powiada: spróbuj to słodkie — tak, tak —

Zbacza Mikołaj z drogi do konieczyny.

Konieczyna po kolana.

Poniekćora to i po pas.

Łodygi takie chłodne! Takie przyjemne!

A pachnie!

Brodzenie rzeźwe.

Kąpiel kwiatowa.

A z kwiatu na kwiat przemigują się pszczoły bzzzz — i trzmiele czarne i żółte w grubym, kosmatym futrze buuuu —

Siadają na główkach konieczynowych, aż się kwiat nachwiewa i przygina do ziemi; — a owad

przebiega nóżkami, rozsuwa kieliszeczki i ssie —
więc musi, że to prawda z tem słodkiem.

A już i nogi na dobre bolą.

A górą tak gorąco, a dołem chłodno.

Przystanął.

Zerwał kwiatowy łebek całą piąstką, palcami
wrywa płateczki, do ust niesie, próbuje —: słod-
kie! jak miód!

Usiadł.

Jeno głowa wystaje z łąnu zielonego, z łąnu
liljowego.

Taka też ona, jak i ta konicz, tylko bardzo, bar-
dzo duża — i inna: bo to i oczka ma mrużące i bu-
zię paplącą i włoski zwiewne.

Zrywa Mikołaj kwiaty i wysysa miód.

Tak przyjemnie!

Tak chłodno!

Zanurza głowę w tę żywą paszę, nurkuje, za-
garnia ramionami ile tylko zdoła i główkę pakuje
i wwierca w to naręcze zielone, w to naręcze li-
ljowe, w to pachnące, słodkie naręcze.

Słońko przygrzewa.

Pszczoły brzęczą i trzmiele.

Nagle z poza łąnu żytniego, co się tak na gra-
nicy koniczowego świata płotem wygrodził — wy-
leciał jak kamień rzucony, okrętnie furkoczący —
ptaszek szary.

Wyfrunął trzepotliwie.

Wysoko leci — coraz wyżej i wyżej — i śpie-
wa tak na tym locie, jakby skrzydła śpiewały. Za-
patrzył się Mikołaj (a tę naręcz mocno ściska)

w niebo i w to coraz mniejsze, coraz bledsze i ni-
klejsze ziarno śpiewające.

Zapatrzył się, a kwiatów nic a nic nie popusz-
cza — trzyma się tej kwitnącej ziemi — patrzy
i słucha.

A ptaszka już nie widać.

Jeno to dzwonięcie niebieskie i pogodne.

A może to naprawdę niebo tak śpiewa.

O, na pewno!

Niebo tak ślicznie podzwania i świergoli i pach-
nie i kwitnie — i zniża się — zniża — coraz bliższe.

Chce, by go chłopięce uszy słyszały, by zapa-
miętały na wieki tę błękitną melodję, tę mowę
upojną pogodnego dnia.

I już jest tak blisko, że jeno rękę wyciągnąc
i dotknąć twej dźwięcznej szklaności modrej do
ostatka.

Lecz tak się tej ręce nie chce podnieść.

Kwiaty za ciężkie.

A niebo jest bliżutętko.

Poco ręką dotykać?

Ku oczom się naniżyło, na rzęsach wsparło.

A choć tą błękitnością mętne nieco — widać
wyraźnie przez tę nieba taflę światy gwiazdziste.

Nie większe od gwiazd iskierki, ale tak dokład-
nie, tak bardzo dokładnie.

I dana jest tym oczom dziecięcym wielka moc,
iż mogą widzieć krzatanie się ludzi na gwiazdach
nieba.

Ruchliwą, bezprzerwną pracę, w niebieskim
wszechświecie.

Są tam góry zielone i rzeki wielkie, wsie żniwne i miasta rojne, przestrzenie pustynne i morza bezbrzeżne.

A jeno się dobrze wpatrzeć — to i widać u stóp gór łąn koniczyny rozkwitłej, a w niej przyległe chłopczątko — ; — a widać nie raz, nie dwa nie trzy, nie dziesięć — lecz wszędzie, gdzie spojrzeć ten obraz żrenicom się nastrocza jak w wielu, w wielu równoległych lustrach.

Więc i bliżej, i dalej, i głębiej, i niżej, i wyżej, we wszystkich kierunkach, to większy, to mniejszy ten obraz się jawi — a zawsze wyraźny, jednako grający i pachnący cudnie.

We wszechświecie na wszystkich gwiazdach leży Mikołaj w koniczynie.

Poza tem bezmierna, bez początku i końca przestrzeń jest zupełnie niebieska, niebieska, niebieska a na tym niebieskim bezmiarze kwitnie słońce jak duży słonecznik.

Uśmiecha się do Mikołaja.

O już wiadomo teraz!

Wiadomo!

To słońce tak wydzwania z siebie ten śpiew przecudny — a gwiazdy klaskają i tańczą — — a słońce — słonecznik — granie — uśmiecha się do Mikołaja.

Więc i on się uśmiecha serdecznie, radośnie, pogodnie — — — — —

— Przystanijno, Jasiu, przystanij, tam ktoś w koniczynie śpi.

— Widzi mi chłopok jakiś, będzie jakisik chłopok i takie.

— Zobaczno, Jasiu, zobacz.

— Cy tys to warto stawać? — nie warto.

— Zajdźże, Jasiu, zejdź.

— No, no — dy ta pode jak to takie pilne, dy ta póde i takie; — prrr malućkie, ho-o, stój.

Gramoli się Jasiek z wysokiej taradaiki.

Idzie i pomrukuje:

— Próznioki ni majom ka spac to w konicynie; widziane rzeczy, kumedjanctwo, a ty zleś z bryczki lo próznioka i takie.

Stąpa buciarami po łebkach kwiatowych, mnie i tarasi nielitościwie; jak w zielonym śniegu tropy wielkie, rozstawione wytłacza

A to go jeszcze więcej źli:

— Skoranie Boskie i tyle, ale jo ci wymosce, ckoj jesceś nie słysoł chłopskiego kunierowania, skoranie Boskie i takie, no, no.

Przysięga się w sobie, że złym basem będzie toto budził.

Aż tu patrzy:

— Matko Najświętszo, dy to Mikołoj, nas chłopok hawoj przyleg.

A z wózka starszy pan się dziwi dobrotliwie:

— Mikołaj? — a to huncfot! — Budźże go, Jasiu, budź, bo to i niezdrowo w koniczu.

— Święto prowda; łebu z tego bolenie bywo, prowda święto i takie; — wstawojze, wstawoj, tatuś jadom, do domu jadom.

Całkiem zapomniał, że to basem miał się srożyć.
Ha! ha!

Sto śmiechów wielkich warte!

Toć ten słonecznik tak mówi całkiem jak Jasiek! Słowa końcowe powtarza; nawet dokładnie dodaje „i takie“!

Śmieszny ten słonecznik i to słońce i ten Jasiek.

A tu coraz głośniej:

— Wsta-woj, wsta-woj! — Śpi kumentnie i takie. — Dość już tego wołania!

Podnosi się niebo do góry, a gwiazdy znikają; kto je też, te gwiazdy, zdmuchuje? — im dalsze tem pierwszej nikną; ostają bliższe jeno, aż już i wreszcie najbliższe.

Jeszcze się tu i tam po dalekich lądach konicz liljowi.

Mikołaje — te nieliczne niedobitki — podnoszą główki, ślepkami mrugają, patrzą, wokoło zdziwione — — a prędziutko jadą do góry — maleją — znikają — — aż ostatni jeszcze widoczny rączką macha na pożegnanie — pa-pa-pa!

— Jej, jej, jak to posnył, nijak niekce przebudzić, niekce nijak, tak posnył i takie.

— Głośniej Jasiu powiedz, głośniej.

— Wstawaa-aać.

A tu Mikołajek pośpiesznie temu drugiemu znikającemu, ostatniemu Mikołajowi gwiezdnemu — pa! — mówi i grzecznie ręką odmachuje — pa-pa-pa!

Przeciera oczy.

Zamilkł.

Patrzy.

— Co to? gdzie to?

Stoi nad nim Jasek.

Rozglądają się oczy zniebieszczone: konie, taradajka — koniczyna! aha!

Aż się tu i głos niesie:

— Ty smyku! — To tu mi śpisz w koniczynie?!

A oczy żółte pod krępą słomianego kapelusza śmieją się promieniami rozstrzelonych zmarszczek biegnących aż ku skroniom; wtórują im wydłużone wargi — przez co się dwa półkola tworzą od nozdrzy po brodę, a policzki pęcznieją i błyszczą w słońcu napiętą skórą.

— Tatuś!

Skoczył!

Biegnie!

Już przy wózku! — Stopnia się chwytą!

— Tatusiu!

Pomaga mu Jasek, podnosi, na siedzisko sadza.

Gramoli się Mikołaj, ku oparciu wkręca.

Śmieje się ojciec.

Obejmuje go, żeby, niby, nie spadł.

Mikołaj strasznie lubi jechać, ale boi się trochę — tak wysoko to i trzęsie i przechyla się na wybojach i kamieniach.

Przytula się do ojca — zdyszany biegiem — snem zgrzany.

Ojciec ma już jakieś słowo na wargach, lecz one śmieją się jeszcze ponad głową syna.

Jasiek mówi ni w pięć ni w dziesięć „i takie”
uśmiecha się też pod sumiastym wąsem.

Konie pewno też się śmieją.

— Wjo, małućkie, wjo, hetta.

Wjeżdżają na most, nieco pod górę, więc się
bryczka wtył przechyla, Mikołajek też, aż po
oparcie się ześlizguje, układają się nogi poziomo
na głębokiem, skórzanem siedzisku.

Mikołaj oblizał wargi — w myślach powtórzył
„wjo, małućkie” i zaczyna:

— Bo to tatusiu.....

ROZDZIAŁ DRUGI

O POKOJU MIKOŁAJOWYM. O KWIATACH, O ZAPACHU ZIEMI WILGOTNEJ. ŻÓLTEJ RZECIE I O PANTOFLU, KTÓRY OMAL NIE SPADŁ Z NOGI.

Rankiem było zawsze bardzo dziwnie.

W pokoju, w którym spał Mikołaj, a spał sam — sąsiedni pokój był sypialnią ojca — stały naprzeciw dużego okna długie schodowo ustawione jakoby półki, a na nich doniczki z kwiatami, mniejsze i większe i bardzo duże.

Najniżej, już na podłodze, rozpierały się szafliki z palmami, oleandrami i cytryną.

Zajmowało to, ni mniej ni więcej — połowę izby.

Lecz pokój był spory, tak, że tam w tej reszcie, powiedzmy, bezleśnej, mieściło się i łóżko mikołajowe i kanapa i dwa fotele i stół okrągły z zydłami i mały stolik z krzeselkiem na wzrost chłopięcy.

Kwiaty były przeróżne.

Mniejsza o nazwy.

Ciekawy był kształt liści i kwiatów barwa i woń. Więc były takie, których duże liście wyrastały wprost z ziemi i opuszczały się poza obręb doniczki, jak warkocze zielone — ; — aż tu

któregoś dnia, tak sobie to widać umyśliły korzenie z liśćmi w zgodnym spisku — wystrzela z pośrodku wstążek liściastych łodyga, najpierw krótka i gruba — codziennie dłuższa i szczuplejsza.

Rośnie! — na pół łokcia i wyżej! — Rozwija się na szczycie zgoła dziwacznie — aż ukaże się pośród pąku czerwona plamka jak mały języczek — a potem z tego wykwiła już szybko wspaniały kielich kwiatu: dzwon bezgłośny, a woniejący.

Więc inne o małych zębatych listkach symetrycznie otaczających łodygę — tu kwiaty z pachwin wyrastały po trzy i cztery obok siebie. Towarzyskie.

Inne o liściach wachlarzowatych i wysokiej, nagiej łodydze; te rozkwiwały samotną zwisającą koroną wykrojoną kunsztownie a mądrze.

Do dziś dnia niema wśród ludzi głowy dla tej korony — i może nie będzie.

W majowych przyśnieniach zdobią królowę kwiatów i serc: Matkę dobrą i błogosławioną.

Można te wszystkie kwiaty wyliczyć?

Czy potrzeba?

Czy przez to zdoła się oddać ich mowę krótką i długą, prostą i zawiłą —?— mowę cichą i głośną —?— Które mówią po polsku, które — gwarą, które obco i niezrozumiale — z temi to nawet na migi trudno się porozumieć.

Owo — dużo tego!

Kwiaty martwe i żywe, śmiertelne i weselne; liście wonne i głuche, szorstkie, miękkie, włochate, twarde, blade z żyłkami bezkrwistymi i soczyste,

najedzone, zadowolone; olbrzymie i małe, zdrowe i wiecznie chorowite; zmartwione, smutne i rozśmiane — — a razem, w gromadzie: odurzające i — przede wszystkim — pachnące ziemią wilgotną i ciepłą.

Oto najpierwotniejsza, przecudowna mowa głęby niepowstrzymanie twórczej, na wieczność natchnionej globową pracą.

Zresztą co tu dużo mówić! — Wszystko jest dziwne, niepojęte, tajemnicze.

Boć i na onej kanapie i dwu fotelach o objętości przepastnej, mogącej snadnie pomieścić dzieściu Mikołajów okutanych w zimowe grube futra — obicie zcudaczono do imentu.

Czego tam niema?

Pawilony, parasole, kościoły, ołtarze, ludkowie o skośnych oczach, z warkoczem spadającym jak wąż czarny na grzbiet, w czapeczkach z guzikiem świecącym na wysokim czubie.

A pośród tych dziwów płynie wstążeczka rzeki żółtej.

Nad jej brzegiem różowym stoi człowieczek niebieski; chce przejść przez rzekę; brodu wypatruje; nijak nie może; martwi się i krzywi.

A po drugiej stronie na brzegu liljowym rośnie altana biała obrosła liśćmi czerwonymi i zielonemi kwiatami.

W tej altanie jest duża ława granatowa; nogi ma powykęcane, koralowe; jest gościnna ale i obłudna. Wiadomo już, że ten człowieczek niebieski na różowym brzegu żółtej rzeki nie przej-

dzie nigdy, nie wejdzie do białej altany obrosłej liśćmi czerwonymi i zielonemi kwiatami, nie usiądzie na dużej, bardzo wygodnej ławie — nigdy! Trudno i darmo!

Mikołaj nieraz mu już pomagał i kładkę na rzece budował z zapalek i trwalszą i pewniejszą kładkę atramentem uczynił! Tygodnie i miesiące mijały — i nic! — Człowieczek niebieski stał nad tym mostkiem, medytował i dziwił się bardzo — tylko stał, medytował i dziwił się.

Raz tylko jeden o zmierzchu wczesnym zimowego dnia — postawił po długim, wieloletnim namyśle nóżkę strojną w pantofel czarny o grubej białej podeszwie — na kładkę; cóż z tego! Opuściła go odwaga w najpotrzebniejszym momencie — prędko się cofnął — omal pantofel z nogi nie spadł: nakiwał przytem głową zaprzeczająco, że to niby nie chce, nie może, nie potrzebuje. — Nie to nie!

ROZDZIAŁ TRZECI

*O OKNIE, KRATACH, A ZWŁASZCZA O PIECU, PRZY-
CZEM KRÓTKA A POUCAJĄCA HISTORJA PIECÓW
WOGÓLE, O ICH SPOSOBIE ŻYCIA, O ICH OPĘTANIU
I JAKIE TEGO SĄ SKUTKI.*

W pokoju mikołajowym są dwa okna — jedno na sad patrzy, drugie na ogród.

Oba zielone.

Jest też dwoje drzwi — jedno do ojcowej komnaty wiodą, drugie do sieni.

Tu i tam klamki uparcie pilą: rosnać! rosnać! Są bowiem wysoko umieszczone i nie zniżają się nigdy; wymagają wzrostu na swoją miarę. Wolno im.

W oknach są kraty żelazne; nibyto gęste lecz przejść przez nie można; nie we wszystkich miejscach rozumie się: lecz są takie trzy w odstępach przydatne, że to głowa się mieści pomiędzy kratami, a reszta ciała bokiem powoli — też — bez wielkiego nawet trudu; — tylko trzeba uważać, żeby nie wypaść za okno! baczność! — gdy się już po kolana „na drugą stronę“ wypskniesz, trzeba się zwinąć krat schwyć! Wymaga to niejakiej zręczności i wprawy; potem już łatwo; wprawa grunt!

A jest i piec w tym pokoju.

Różne są piece.

Wyraz ich oblicza jest zazwyczaj poważny.

Chociaż bywają i weselsze, a nawet całkiem wesole. Lecz to bywa rzadko.

Zazwyczaj piece są jednak poważne i — jakby to rzec — rozdziawione, wiecznie głodne, wiecznie wyczekujące.

Niewymawiając są to żarłoki.

Ten, o którym mowa, był procederem kamyczkowym na glinie lepiący, potem tynkowany i obiełony; trochę podobny do szafy, a trochę do kapliczki przydrożnej.

Przy drzwiczkach (głównych, bo są inne: tajemne) był zawsze osmolony i zamorusany jak buzia powidłami. Piec nie myje się nigdy; nie jest kotem; bielą go wprowadzie ludzie od czasu do czasu, lecz całkiem zabielić tych miejsc zapowidlonych to on sobie nie da.

Coś w tem, widać, ma.

Taka już jego natura.

Poza tem wszystko w piecowym porządku jak się patrzy.

Jest popielnik, palenisko, blacha i dach: zwyczajny, przysiadły, chałupowy dach.

Blacha jest ciemna, prawie czarna; wtedy można na niej rękę położyć, a nawet sięść.

Lecz bywa i czerwona, a wtedy jest gorąca strasznie; i niewiadomo, czy to ona się topi czy miał węglowy rozżarzonemi kroplami opada — dość, że w otwartym popielniku jest wtedy deszcz dużych iskier (przypominają się gwiazdy spadające).

Są to chwile i godziny, w których piec rozmawia. Wogóle nie można powiedzieć, żeby piec był bardzo rozmowny.

Wcale nie.

Nawet w momentach największej gadatliwości — jest to rozmowa raczej z sobą, niż z kimkolwiek innym —: mamrotanie wewnętrzne, popiskiwanie, pojękiwanie niesamowite i do niczego niepodobne.

W palenisku ten hurkot, skwir i podudnianie można jeszcze jako tako wyrozumieć — choć z biedą wielką.

Lecz to co sobie taki piec w głowie basuje, szumi i huczy, tego już ludzkim rozumem pojąć nie można.

Łatwiej się domyślić treści kłótni i wyzwisk, jakie wiatr z piecem wie dzie, gdy naprzekór i naumyślnie przez komin do serca piecowego się wświstuje. Wiadomo przecież, że trzeba natręta i przeciwnika wypłoszyć, wystraszyć i wygnać na sto wiatrów! — Do wiatru idź, kieś som wiatr!

Ten deszcz iskrzaty i gadulstwo samosobne pieca datuje się naturalnie dopiero od dżdżystej jesieni i trwa przez zimę.

To pora właściwa! Piękna co się zowie!

Wtedy piec jest ważną osobą.

Poniekąd zastępuje słońce.

Czy o tem wie?

Jak to sprawdzić?!

Zresztą nie o samowiedzę chodzi jeno o fakt, o czyn; — a czyn ogrzewania i promieniowania,

ta cała ważna sprawa darzenia ciepłem jest czynem bezsprzecznie znacznym i odpowiedzialnym.

W każdym innem społeczeństwie, czy to stołków, czy podłóg, czy ścian, czy nawet szaf, które są z natury rzeczy zarozumiałe, a często bezczelne, a zawsze egoistyczne — zasłużyłby sobie piec na wysokie odznaczenia i do znacznych ba, komandorskich doszedłby godności.

Ludzie wolą go, idąc za swym instynktem wrodzonym, wykorzystać, niż uczcić należycie i uhonorować.

Ludzie są bardziej zarozumiali niż szafy.

To jest przykre.

Lecz rady na to, przynajmniej narazie, niema żadnej.

Może się to kiedyś zmieni — wtedy ludzkość będzie mądra, a więc szczęśliwa.

Kiedy? — Kto tego doczeka?

Koty już dawno mądrość tę zgłębiły i ustosunkowały się do niej po swojemu; koty to fetyszyści. Więc... ale to już inny rozdział dziejów ziemskich.

W lecie piec śpi i nic nie robi

Poprostu s t o i z założonemi rękami.

Piec bowiem nie kładzie się nigdy — i nie chodzi.

Nie jest to pewnik tylko domniemanie.

Czyż można wszystko wiedzieć? — nie!

Czy można wszystkiego dopilnować? — nie!

Każdy piec kamyczkowy ma w swoim życiu momenty straszne.

Są to momenty opętania, w których czarny djabeł stara się do dusz ich dostać tą samą drogą co i wiatr — przez komin.

Djabeł jest duży, więc wejść do niego nie może — przeto żelaznemi szczotkami, skrobaczami okrutnemi, miotłami osadzonemi na ciężkich kulach stalowych — nęka go i morduje straszliwie.

Tortury te są przeraźliwe.

Zsypuje się wtedy w piecu gruz i kamienie z hurkotem wielkim i wrzawą piekielną — a piec cały drży jak w febrze, broni się, walczy rozpaczliwie.

Opętanie zdarza się kilka razy na rok.

W domu silne poruszenie! rwetes! gwałt!

Mikołaj kryje się po kątach, popłakuje, modli się „aniele stróżu“ i żegna po wiele, wiele razy.

Na szczęście opętanie nie trwa długo.

Przenosi się do innego pieca.

Opętanie jest zaraźliwe jak każda inna choroba.

W dniu tym przechodzą ją wszystkie piece.

I niewiadomo na czemby się to skończyło — napewno skończyłoby się całkiem źle — gdyby djabeł nie był przekupny.

Po otrzymaniu niedużej kwoty wypłaconej mu gotówką przez ojca, ustępuje — a, że, jak każdy djabeł, jest przezorny — każe sobie to nawiedzenie niespokojne i okrutne pokwitować w czarnej, piekielnej książeczce.

Ojciec płaci i podpisuje (czy to dobrze?) chce się bowiem jak najprędzej pozbyć diabła z domu.

Któżby nie chciał?

Lecz nie na tem koniec.

(— problem przyczyn i skutków —).

Zaraz po wyjściu czarnej widminy przychodzi Jasiek z dużym garnkiem blaszanym, z workami i ze skrzydłem gęsiem nasadzonem, niczem kosa, nasztorc na drewnianym dzierzaku.

Workami nakrywa najbliższe obok pieca stojące sprzęty — poczem otwiera dziwaczne, małe drzwiczki, tajemnicze wielce, a umieszczone na bokach pieca w sposób dość niewidoczny.

Zaraz po otwarciu podstawia pod nie garnek i skrzydłem wymiata z głębi czeluści piecowych całe masy czarnego, lotnego pyłu.

Są to zmaterjalizowane, zakrzepłe oddechy płuc djabelskich — tak zwane sadze.

Cichym szelestem, zmęczonym szeptem zsypujących się śladów tak niedawnego impetu sił piekielnych — spowiada się piec z bólów swych, z udręk dusznych i lęków.

Jasiek wymiata, krztusi się, dmucha, prycha i przeklina:

— Psiasierść jedna, co to tego nabrało do łodmieńca, tego nabrało i takie.

Praca to niebezpieczna (ej, Jasiu, lepiej nie kłać), djabelska moc działa, choć już diabła niema — wnet też wąsy Jaśkowe, przed chwilą rude, są czarne; — Boże! żeby się to tylko zmyło!

Zazwyczaj wieczorem dnia tego, piec uwolniony ze szponów szatańskich — huczy wesoło.

Znać, że jest uradowany! — i grzeje mocniej niż kiedykolwiek.

Po zwalczeniu grzechu i odparciu djabła — stan łaski jest pełen żaru udzielającego się bliźnim.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O STOLIKU I JEGO NOGACH, O SZUFLADZIE, KRÓWKACH I NIEPEWNYM BYKU; NIEWIADOMO DLA KOGO OWOCUJE PLON DOŚWIADCZEŃ.

Stolik, przy którym Mikołaj siadał podczas pracowitych godzin niegdysiejszego żywota — był, rozumie się, niski.

Zwyczajnie — miał cztery nogi, z których jedna, najzwyczajniej była krótsza; ustawić stół tak, aby się nie chwiało było rzeczą do wykonania dla człowieka niemożliwą.

Kto inny możeby to i potrafił; może; lecz wiadomo: o nieczłowieka nie tak znów łatwo; gdzie go szukać? Czy się wogóle znaleźć zdoła?

Na stoliku tym leżały we wzorowym nieporządku papiery różnej wielkości, barwy i kształtu; pudełka, sznurki, gwoździe, klocki drewniane, strzępy płótna oraz nieprawdopodobne fragmenty niezbadanych i bliżej nieznanych przedmiotów i przyrządów.

Prócz nóg i na nich wspartej płyty pokierszowanej we wszystkich możliwych i niemożliwych kierunkach wedle potrzeb dni i zdarzeń wielu rozmaitych — miał ten stół kochany dużą szufladę — i ta była najciekawsza.

Pomimo, iż się to niby wiedziało dokładnie co w niej jest — to przecież nigdy nie można było być pewnym, czy się właśnie dzisiaj i właśnie w tej chwili nie odkryje w niej nieoczekiwanej, nieznanej lub dawno już zapomnianej sprzączki, haftki, stalówki, kredki lub ołówka.

Miała ona, ta szuflada, dwie długie przegrody wzdłuż biegnące i dwie krótkie, poprzeczne, kwadratowe.

Pomiędzy temi przegrodami istniała przestrzeń pustynna, obszarzysta — właśnie taka, co to hic habitant leones — w której pomieścić się mogło wszystko.

Wszystkiego wyliczyć nie można — można więc tylko zaznaczyć, że były tam i flaszeczki i korki, kawałki szkielec barwnych, czerepy lustera, skówek, łańcuszki, sprężyny umarłych zegarów, bibułki, szyszki, ziarna jabłek, cytryn i pomarańcz oraz wiele innych (poza właśnie wśzystkiem) przedmiotów koniecznych, w każdej chwili potrzebnych i zawsze użytecznych.

W przegrodach poniewierało się zazwyczaj dużo kolorowej fasoli, która wprawdzie mieszkała tu samopas i w wolnym kraju, którą jednak można było doić i — naturalnie — paść liśćmi i papierem ciętym na strzępy; zwyczajnie: krówki łacie, siwe, czarne, białe, rude, czerwone, nakrapiane — wszelijakiej wielkości i barwy.

Trud to niejaki i niemały, znać każdą po imieniu, wiedzieć, jakie ma zalety, przyzwyczajenia, pasje i narowy.

Mikołaj dawał sobie z tem rady skutecznie. Obora była wzorowa; darzyło się szczęśliwie.

W jednej z przegród kwadratowych żył przez długi czas duży, płaski, pomarszczony bób.

Chodził zawsze z pochylonym łbem wkoło zagrody krowiej.

Wzrok miał zły i ponury bardzo.

Był to byk.

Krowy stroniły od niego; bały się go. Przeto też mieszkał osobno, aby nie wprowadzać zamieszania w krowieńcu.

Później, znacznie później — bób oddawna już nie żył — okazało się, że cała ta historia polegała na wielkiej pomyłce, że zawdzięczała istnienie swoje wierze i dzięki niej tylko posiadała wogóle początek i koniec.

To nie był byk! Nie!!

Jak zwykle tak i w tym wypadku ojcem odkrycia był przypadek.

Lecz mniejsza z tem.

Fakt faktem, że był to hipopotam.

Dlatego miał tak pomarszczoną skórę (którą zresztą zdejmował, gdy nikt nie widział)!

Umarł z posuchy.

Zeszedł ze świata bezpotomnie.

Pomyśleć, że przez cały czas istnienia jego niewiedziało się z kim się ma do czynienia!

Minał, a nie widziano go.

Był, a jakoby go nie było.

Cóż robić! Wtedy, gdy sprawa ta wyszła na jaw — było już za późno na naprawienie błędu.

Często to tak bywa, że gdy spostrzeżemy pomyłkę — już jej naprawić nie można.

Z pomyłek rodzi się doświadczenie, które zresztą nigdy nie znachodzi zastosowania, — bo z dniem każdym zdarzenia i warunki zmieniają się do niepoznania — z czego rodzą się (znów) nowe pomyłki i nowe doświadczenia.

I tak wiecznie!

Idziemy do zwycięstw przez klęski.

Przed nami las przygód i niepewności — za nami karczowisko doświadczeń, na którym ktoś tam za nami idący posieje pszenicę.

Daj mu Boże czas dorodnych żniw!

Niewiadomo dla kogo owocuje plon doświadczeń.

Nie one jednak są zdobyczą ducha — to pewno! — wiara w zwycięstwo to dział istotny każdej terażniejszości.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O PODŁODZE I OWALACH CZARNYCH PLAM, O OSIEDLACH GRZYBOWYCH WIECZYŚCIE TRIUMFUJĄCYCH ORAZ KILKA SŁÓW O WSPÓLNEJ TAJEMNICY.

Lecz już najdziwniejszą sprawą w całym pokoju była podłoga.

Złożona poprzecznie z heblowanych, niemalowanych desek — pełna była małych wkłęśnień, w których tkwiły łebki gwoźdźdżiane.

Pomiędzy jedną deską a drugą dłużyły się ciemne szpary, w które bardzo ochotnie, a nawet skwapliwie wpadały igły, szpilki i gwoźdżiki.

Naco i komu tam w tych bezsłonecznych miejscach przedmioty te były potrzebne — to jest do dziś dnia kwestją sporną.

Nawet tym pewnikiem, że igła jest cienka i gładka, łatwo więc wyslizguje się z palców — istotnego wytłumaczenia znaleźć nie można. Nacisk należałoby tu położyć raczej na zagadnienie odnalezienia, które (odnalezienie właśnie) nie udawało się nigdy; w każdym razie bardzo rzadko — co kwalifikowało problem bezsprzecznie do szuflady przypadku czy wyjątku, który jest zaprzeczeniem reguły.

Z chwilą, gdy ci się igła wympsknęła z palców mogłeś z całą pewnością rzec lub po-

myśleć: przepadło! — i rzeczywiście: przepadło.

Ale to wszystko jeszcze nic.

Dziw nad dziwy — myślisz, że to może słoje drzewne, które się pośrodku desek łuszczą jak gruby, kruchy, wyschnięty papier? — mylisz się! — dziw nad dziwy to była ta część podłogi, która leżała sobie, jakby nigdy nic, pod onemi schodkami dźwigającemi las roślin.

Śpiesznie zaznaczyć trzeba, że w tym wypadku słowo „leżała” jest źle użyte — podłoga raczej — gniła! Deski były tu znacznie ciemniejsze, a w miejscach przegwożdżonych czarne plamy miały kształt pięknie i równo zarysowanych owali.

Owale te elipsoidalne w dniach osobliwie pożywego karmienia roślin, lub w niepogody długotrwałe, pęczniały i rozpierały się, przekraczały swoje granice poza deskę, pomykały ku ścianie — a kto wie — może i dalej się wpychały w wytrwałym naprzód pochodzie); takaci przejawiały one moc, przyrodzoną odwiecznie każdemu stworzeniu żywemu i — niesłusznie tak zwanemu — martwemu (boć przecie nic martwego istnieć nie może), by sobą i tylko sobą wypełnić wszechświat.

Tutaj to, tutaj właśnie — słuchajcie! — rosły: grzyby!

Małe różowo-popielate grzybki: dziesięć, dwadzieścia, sto, może tysiąc.

Grzybów moc.

Na cienkich, wątych nóżkach dźwigały chwie-
rutne kapelusiki, których nie zdejmowały nigdy
— nie miały poprostu potrzeby kłaniania się
komukolwiek, a zwyczaj ich i obyczaj był tego
rodzaju, że w pokoju przebywały w kape-
luszach.

Twarzy, przynajmniej widocznej, nie miały.

Nikt się temu nie dziwił.

Wiedziano bowiem od dość dawna, że grzyby
nie mają twarzy ani głowy (w ścisłem słowa tego
znaczeniu), lecz tylko nóżkę i kapelusz.

Jest to trochę, na pierwszy rzut oka sprzeczne
z naturą — o ile coś samo będące naturą może
być z nią sprzeczne.

Więc może nie to!

Grzyby wyzbyły się, a może nie zdołały na-
być jeszcze przesądu, iż głowa, a co zatem idzie
— twarz (skupisko kilku zmysłów) jest potrzebna:
— prawdopodobnie miały natomiast tysiąc innych
przesądów, wmówień i przyzwyczajęń.

Rosły więc sobie po swojemu te osiedla grzy-
bowe. Mikołajowi to nic a nic nie przeszkadzało
— przeciwnie — znachodził nawet przyjemność
w tem współżyciu z narodem coprawda obcym,
lecz właśnie przez to osobliwym i godnym
uwagi.

Obywatele tego żywotnego narodu byli jeden
w drugiego poważni i skąpi w słowach — wyma-
gali również poważnego traktowania.

Nie znosili gadulstwa, poufałości i zbyt rażą-
cych zbliżeń.

Mimo to lubił ich Mikołaj, a nawet był skłonny uważać ich za zdobywców i władców podkwietnej krainy.

Inaczej na tę sprawę zapatrywał się ojciec.

Walczył z najeźdźcami (jakżeż inaczej osądził ich niż Mikołaj!) — i zwyciężał ich.

Lecz jak wiele zwycięstw i to było chwilowe i złudne. Już, zdawało się, zniszczył cały naród, już niema w świecie tego pokoju ani jednego grzyba — zdeptane wszystkie!

Zgniecione na miazgę!

Rozniesione na bohaterskiej podeszwie trzewika po wszystkiej krainie obu pokoi! — Już koniec! Nareszcie!

Gdzież tam! — Przedwczesna radości, tem niebezpieczniejsza, iż usypiasz uwagę.

Już popołudniu — a przed wieczorem tego dnia bitwy i pyrhusowego zwycięstwa — zawsze: tam jeden, ówdzie drugi, trzeci i dziesiąty — wyrastają grzyby młode i hoże, harde, pewne siebie, zacięte, zwycięskie.

Niszczył ich gniew, odradzała żądza życia.

Gnębiło bezprawie, karmiło prawo niezłomne.

Deptał ich egoizm, prostowała wola gatunku.

I tak też wstawały nowe zastępy, a stare, ukryte przed przemocą wracały na pozycję.

Grzyby żyją!

Grzyby rosną!

Grzyby triumfuja!!!

I tak za każdym razem — tygodniami — miesiącami. — Wytrwałość godna zaiste pochwały i uznania.

Jedynie w zimie zaprzestawały tych harców, odżywać i palingenez.

Wtedy to ojciec mawiał:

— Pokryły się bestje pod podłogą.

Tak też to być musiało.

Nieinaczej.

I jeno niewiadomo, a tak dobrze byłoby to wiedzieć, czy tam po drugiej stronie — miały taką samą nóżkę i kapelusz, czy istnienie głową nadół, bo tylko taki tam nadółgłówny żywot wieść mogły — wpływało i w jakim stopniu na zmianę ich zwyczajów i obyczajów doczesnych, a raczej nadeskowych.

Tajemnic tych spraw dziejących się po drugiej stronie podłogi — dotychczas nikt rozumem nie ogarnął.

Kto wie, kto wie — może i dałoby się to zbadać, odkryć, wyjaśnić — lecz tymczasem zgniły deski; sprawa została tajemnicą.

Byłyż tam grzybami? — czy tylko widmami grzybów?

O narodzie grzybi! Tajemnice twe równe są w swej grozie tajemnicom ludzkim — są proste i niezbadane.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

*O ŁÓŻKU, KOŁDRZE, DESENIACH, O PODUSZCE
I JAŚKU, O ZAŻYŁOŚCI, PRZYJAŹNI I PODRÓŻACH
DALEKICH ORAZ O POTRZEBIE KOCHANIA*

Leżał więc Mikołaj w swoim łóżeczku metalowem, schwytanem w siatkę z zielonego sznura. srodze podartą.

Z dwu stron podstępnie osaczono łóżko — łóżko silniejsze — wykaraskało się.

Trzyma się tam jeszcze jakoś ten niewodzik przegrody (dwa haczykowate zagięcia po końcach jak u pogrzebacza) kurczowo się trzyma dwoma supłami i jednym zmiłowaniem Bożem.

Spał Mikołaj pod kołderką sukienną w desenie-smugi poprzeczne, tak misternie wyimaginowane, że np. kwadracik znachodził w najbliższym sąsiedztwie prostokąta z wyciętym trójkątem na jotę pasującym wymiarami i rozdziawieniem z połową rzeczonego kwadratu. I tak wciąż przez całą kołdrę wzdłuż i wszerz, wpoprzek i naprzelaj mozoliły się te dopełnienia. Pokusa niezwalczona ogarniała umysł ludzki, aby tak jakos zrobić, żeby się te dopełniające figury geometryczne zeszły; lecz to, pomimo licznie powta-

rzanych prób, pomimo popychania i namowy, okazywało się niemożliwością zupełną.

Figury nie mogły się żadną miarą zejść.

Nie zeszyły się też ani wtedy, ani nigdy potem — odgrozione od siebie tą nikłą przestrzenią tła.

Tak bliskie, a tak sobie dalekie.

Jaki później sprawy obrót wzięły, gdy kołderka już istnieć przestała jako taka, czy w wymiarach wspomnienia i materialnego istnienia już tylko przestrzeni, którą zajmowała ongiś — spotkały się z sobą owe desenie — niewiadomo! To pewna, że był to pierwszy napotkany przez Mikołaja i zauważony obraz tęsknoty i marzenia, obraz jawny, istniejący, malowany deszeniami obraz.

Prócz kołdry, ważną częścią legowiska była poduszka i jasek.

Poduszka ten osobliwy, mało w piśmiennictwie (vide Łukasz Gołębiowski: „Domy i Dwory” str. 138, „Łóżka i pościele”) znany przedmiot służący do wsparcia — podczas leżenia — głowy, szyi i ramię — budził w dziecku specjalne zainteresowanie. Zainteresowanie to wzmoгло się od dnia, w którym czerwone wnętrze ukrywające się pod lnianą powłoką, a widoczne, jeno w kształcie ostrokończastych elips z pośród zapieć — rozpruło się w ściegu i wyłoniło z siebie małe, puszyste piórko; — białe piórko, które za podmuchem podleciało wysoko aż pod sufit — a opadając chwiejnie i leniwie — za każdym choćby najlżejszym powiewem zmieniało kierunek i wzbięło się ponownie w górę.

Mikołaj zauważył, że nigdy nie można było dość sprytnie i przewidująco stwierdzić, w którym miejscu opadnie.

Więc t a m jest pierze?

Więc stąd ta miękkość falista?

Paluszkciem rozważnie rozszerzył rozprucie i ujrzał tych piór zbitych, stłoczonych, zduszonych bardzo wiele — ponadmożność czyjegokolwiek zliczenia.

Odtąd poduszka stała się czemś tak bliskiem jego sercu jak oswojony ptak.

Stała się czemś żywym, do czego można było przemawiać i odpowiadać sobie lotnie w imię tego puchu ptasiego.

Pod on czas przedsięwziął wiele dalekich podróży na poduszcze-ptaku — podróży napowietrznych, wysoko ponad górami i lasami, daleko poza ogród i rzekę.

Poduszka ziszczała marzenia nieomylnie w sposób prosty i bezinteresowny.

Tak ukształtowały się tym razem sprawy życiowe.

O ile w dniach onych zażyłość użyteczna do poduszki wzrastała, o tyle rozwijała się równocześnie rzetelna przyjaźń z jaśkiem.

Jasiek był mniejszy, więc już samą siłą faktu bliższy i kochańszy.

Poduszka mówiła powoli i głosem dorosłym. Jasiek szybko i szczebiotliwie.

Poduszka zносиła, z pogodną zresztą wyrozumiałością, współzycie z Mikołajem.

Jasiek dzielił smutki i radości.

W miarę rozwijania się tego uczucia (aż za-zdrośliwego) Jasiiek przestał istnieć, a zaczął współistnieć.

Jasiek leżał obok głowy Mikołajowej na poduszce — druga biała, kwadratowa głowa.

Jasiek w czas chłodniejszy nagrzewał się pod kołdrą.

Jasiek podczas licznych podróży leciał sobie obok poduszki, jak pisklę przy matce.

Jasiek był samodzielny, żywy własnem życiem — miał osobowość, własne myśli, własną wolę, własne przekonania nie zawsze zgodne ze zdaniem chłopca.

Często trzeba było długich perswazyj i nalegań i tłumaczeń i zapewnień przyjemności, które czekają, korzyści, które niezawodnie się zdarzą, zanim się uparciucha zdołało skłonić do czynu, do którego nie miał zgoła lub chwilowo ochoty

Długie (zwłaszcza!!) dysputy poprzedzały wyprawę i podróż każdorazową.

Czasem, bywały takie dni — ani mu nie mów o tem! — nie i nie.

Kiedy indziej znów nie chciał lecieć za rzekę — tylko właśnie do lasu go rwało.

— Mój drogi, mój jedyny — za rzekę, za rzekę!

— Hm!

— Jasiu, Jasiu, proszę cię, jedźmy za rzekę!

— Jedźmy! — (wydymał wargi).

— No to lećmy!

— Do lasu!

— Nie, nie, nie.

— Albo do lasu, albo nigdzie; poprawdzie wolę nigdzie — tam spokojniej.

— Przecież nigdzie jest nigdzie — ?! —

— Ano właśnie.

Mój drogi, mój jedyny — za rzekę! za rzekę!

— Hm! —

Jasiek był rzeczywiście bardzo uparty. Już też to trzeba powiedzieć — dużo z nim było kłopotu, a zmartwień ile!

Przedmioty bywają też niewdzięcznikami jak nieprzymierzając ludzie; tylko rzadziej.

Często też przychodziło do gniewów, a nawet scysyj poważnych (pomińmy kłótnie).

— Kto się lubi ten się czubi — mawiała poduszka.

I dodawała:

— Za twoje dobro, hop ciebie w ziobro.

Gdy była gniewniejsza, zrządziła:

— Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

A po dobroci karciła ponownie:

— Ty na niego chlebem, on na ciebie kamieniem. — Wtedy trwało długie, przykre milczenie i cisza złowroga.

I trzeba było tak wielkiej, tak serdecznej, tak głębokiej przyjaźni, jaką żywił Mikołaj do przyjaciela, aby się przeprosić i zacząć mówić z sobą. — Jasiek lubiał przybierać ton wyższości, a to przecież zraza najbardziej.

— Jasiu —

(Jasiek nic.)

— Jasiu, jasińku —

(Jasiek nic.)

— Mój Jasiu kochany —

Po dobrej chwili odburknięcie półgębkiem, prawie że przez zęby):

— Cóż tam nowego?

— Nowego? Ano nowego: kochajmy się.

— A no to kochaj; daj mi spokój.

— Ale ty mnie!

— Ja? — cóż tam ja (a puszy się w tej obłej skromności).

— Ty, ty — tylko ty!

— Ho, ho! —, a poduszka?

— To całkiem co innego.

— Ja także jestem poduszka, poduszcza.

— Nie, nie, nie — tyś jasiek, jasiemek.

Któżby się nie wzruszył? — Stałość przekonnywa, pierze nie może mieć serca z kamienia.

Więc mówi ten jasiek:

— Hm! — lećmy w las — chcesz? —

— Lećmy, lećmy.

Mikołaj klaska w ręce, a wraz z nim klaskają już ciemne łąpska starych sosen i świerków i małe zielone łapięta niedorośliwych świerczków i jodełek.

Na poduszcze leci się prędko.

A las w tych wypadkach jest tak bliźniutko jak księżyc lub gwiazdy; tuż.

Jak widzimy, pierwszy krok ku tej wielkiej zgodzie stawiał chłopiec.

Charakter miał lepszy i serce cieplejsze.

Pierze bardziej grzeje niż kocha.

Wszystko to zresztą odnosi się wyłącznie do jaśka Mikołajowego; inne zapewne są inne — zwyczajnie jak ludzie, ten taki, tamten owaki. Czy można znac wszystkie jaśki?

Nie można

Po prawdzie jasiek Mikołajowy nie zasługiwał na taką przyjaźń serdeczną, jaką go chłopiec obdarzał — lecz wiemy z doświadczenia (które ani nam pomaga, ani nas chroni), że przedmiot uczuć nie zawsze odpowiada ich sile.

Przeto przedmiot nie powinien nas wiele obchodzić, tylko uczucie.

Nie wiesz o tem, przeto pytasz: czyżbysmy więc kochali czasem bezpotrzebnie? — Nie! — potrzebna jest wszelka miłość — wszelka bowiem miłość uszczęśliwia.

A cóż jest potrzebniejsze, jak szczęście, o którym nic nie wiemy krom tego, że jest tęsknotą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

*O RÓŻNYCH RODZAJACH SNÓW, O SNACH STUKOT-
KACH I O TRATWIE NAJPIERW UMNIEJSZAJĄCEJ
SIĘ A POTEM PRZYBIERAJĄCEJ,*

Taki to był pokój i takie jego warunki topograficzne, w których poczęła się podróż pod banderą świadomości.

Otóż leżał Mikołajek w łóżeczku, które się zwinnie umknęło siatce, leżał nakryty po brodę kołdrą.

Spał smacznie.

Głowa na poduszce, która przez to wkłknięcie przyglówne wyrosła i spiętrzyła się walnie; — obok śpi jasek.

Przeróżne sny obsiadły łóżko, stołki, fotele, kanapę i stoły — ba! — sporo ich siedziało na liściach, niektóre pod liśćmi jak chrabąszcze, inne na parapecie okna — te paluszkami cienkimi dzwoniły w szyby.

Sny różowe zakwitały z kwiatami.

Tak samo sny żółte.

Sny opieszale i lekkomyślne przerywały pracę w połowie i śniły się ciągiem dalszym, bez wstępów, streszczeń i komentarzy, kapeluszą grzybowym.

Sny-stukotki jawiły się w postaci młoteczków ponad łebkami gwoździ.

Raz wraz uderzały w nie sprawnie i prędziutko.

Zegarowy, szklany stukot, wraz z dzwonieniem szyb; zakwitaniem melodyjnym kwiatów i rytmicznym nachwiewaniem się grzybów (za ciężkie były sny na ich wątłe nóżki) dawało w sumie śpiewność rozkoszną i o tyle tylko ziemską, o ile rzesze lotnych snów raczyły nawiedzić ziemskie dziecko.

Gdy śpiewność niebiańska nacicha, jedzie Mikołaj tratwę po młynówce.

Tratwa jak tratwa — zbita z bierwion i okraglaków pokryta surową podłogą.

Jedzie szparko.

Nurt zwawy.

Którejś chwili nachodzi chłopca nieprzemózona senność.

Na szczęście jest na tratwie posłanie z świeżo ususzonego siana bardzo zielonego, bardzo wonnego. A że się spać chce — nic dziwnego — od początku tej jazdy panuje na całym świecie mrok miedziany. — Kładzie się więc Mikołaj na sianie wonnem i zasypia.

Śpi.

Śpi i śni mu się, że jedzie tratwą po młynówce; młynówka jakoby nieco mniejsza, tratwa również, wobec czego i on, niby Mikołaj, też jest odpowiednio mniejszy.

Mrok miedziany.

Spać się bardzo chce, oczy się kleją.
 Jest wonne siano, ach, jak to dobrze!
 Kładzie się więc i zasypia.

Zasypia prędko i również prędko nawiedza go sen: jedzie tratwą, znacznie już mniejszą, po młynówce, która jest wąską strugą.

On sam też taki jakiś mały jak dziecko w kołysce, ale myśli, ale rozum ma swój, chłopięcy.

Mrok miedziany.

Spać się chce.

Zasypia.

W tej chwili śni mu się — — wciąż to samo, to samo, to samo — — z męczącą jednostajnością. W którymś śnie, dwudziestym może, w śnie już bardzo dalekim — tratwa jest taka maleńka jak pudełko zapalczane, młynówka linją wody, a on mniejszy od chrząszcza.

I jeszcze dalej — jest małości komara, robaczka, pyłku — —

Najmniejsza myśl jest za duża na ten wzrost. Rzeka staje się struną grającą; nie widać końca tego grania.

A po tej strunie pomyka iskierka lśniąca dźwięku. Struna-rzeka podnosi się powoli zagonionym w mroku miedzianym końcem ku górze — jest już promieniem drgającym.

A po tym promieniu pomyka płomyk światła. Wreszcie zmienia się promień w smugę błękitną, prawie niedostrzegalną.

A po tej smudze pomyka atom w o n i.

Tu zaczyna się nieskończoność, w której stają się sprawy bez nazwy.

Bo jakże nazwać, nie uczucie dotyku więc nie dotyk — lecz to: bycie dotykiem — ? — Drobina dotyku bożego na wszystkich rzeczach, na wszystkich myślach, na wszystkich uczuciach, które były, które są i które będą.

Dla dotyku niema różnic między tem co było, a tem co będzie.

I to jest wieczność.

Zbudzić się! Zbudzić! Zbudzić!

Już czas koniecznie — już czas!

I oto poczynają się trudzące, ach, tak bezmiernie trudzące odśnienia od końca snu poprzez woń, światło i dźwięk we wzroście wymiarów, w powolnem odrodzeniu aż do snu ostatecznego.

Wreszcie!

Wreszcie jest już tratwa taka jak być powinna, i młynówka zwyczajna i on już ten sam!

Budzi się z wysiłkiem wielkim.

Głowa bardzo boli.

Całe ciało obolałe

Sny skrzydłami dzwonią w szyby — odlatują.

Pamięć lęku odtwarza ten sen w mroku przedzarannym.

Strach podsuwa głośnym, spłoszonym myślom słowa:

— Proszę cię, Boziu, żeby mi się tratwa nie śniła. —

ROZDZIAŁ ÓSMY

O SNACH UMYKAJĄCYCH, CHRZCIE KWIATÓW I SŁOWACH WITAJĄCYCH DZIEŃ I DARZĄCYCH ZAPACHEM JABŁEK.

Świt zaledwie rozjaśniał widnokrąg. Poza drzewami w wykrojach śródlistnych lśnił blady seledyn jak krążki wody w świetle miesięcznem.

Jeszcze daleko było do owych rozjaśnień złotych i różowych, które stroją już zbudzoną jutrznię.

Nad górą po nad wierzchołami jesionów stała złota gwiazda.

A tam w pokoju ojcowym ruch cichy się wszczywał.

Człapanie i mamrotanie.

Po chwili brzęk talerza, gdy to nieostrożnie nóż zmylił kierunek.

Wszystko to nie budziło chłopca, który zasnął po onej dalekiej podróży tratwą.

Spał.

Sny jeno, które co poniektóre były wróciły — z cichszem niż przesmyk myszy umykaniem smyrnęły w najciemniejszy kąt pokoju — i tam

przycupły obok siebie gromadą wtuloną; uszy po sobie; jakby nigdy nic.

Jeden — opóźniony — wydłużoną zagnęła rękę wsunął pod kołdrę i załechtał Mikołaja w piętę. Chłopiec cofnął szybko nogę — i tak z podniesionym kolanem spał dalej.

Nie warto się budzić — uciecha tylko dla psotnika.

Sen pokazał mu język mały, różowy i szorstki jak u kotka.

Mikołaj zacisnął pięstkę: poczekaj!

Sen pomknął jak niepyszny ku gromadzie braci.

A oto właśnie wszedł ojciec do pokoju syna — jak codziennie — ; — jak codziennie — z miską blaszaną pełną wody i z kropidłem z poskręcanych śrubowato wiórek, jakiego używa ksiądz w kościele i jakie za obrazami tkwią w niektórych domach.

Kropidłami takimi święci się jadło w Wielką Sobotę, nowe pokoje, aby w nich dobre zamieszkały duchy i obrazy święte, aby skutecznie chroniły przed złem.

Szedł tedy ojciec jak ksiądz błogosławiący — ku kwiatom pieczy swej powierzonym.

Przystawał, zanurzał kropidło w wodzie i opryskiwał nią kwiaty; rozważnie, dokumentnie, jeden po drugim.

Nie opuścił żadnego.

Nigdy!

Tak je tam darzył o przedswitanu ożywczą rosą.

A gdy je już poobchodził dookoła, gdy rzetelnie kwiaty ochrzcił — tu i tam po drodze liść zeschnięty uszczknąwszy, ówdzie ziemię palcem zbadawszy, czy aby dość wilgotna, gdzie indziej zaś wypenetrowawszy z uciechą wielką załazek kwiatowy wczesny i niespodziewany — wtedy nie przepomniął jeszcze o jednym kwiecie różowym tej chwili dobrego, przedporannego snu — — i nabierając kropidłem delikatnie kilka kropel wody — pryskał niemi na główkę syna — zdaleka, by krople były jak najmniejsze, jak najrzadsze.

Raz — mrugnięcie i pocieszny kurcz brwi i zmarszczenie czoła bardzo serjo.

Drugi raz — niepokoją się ręce i ku twarzy podnoszą.

Trzeci raz — rozwierają się ślepka.

— Dzieńdobry ci, dzieńdobry —

— Dzieńdobry tatusiu — ; — a potem troszkę nasrożony jak tych włosów nieposłusznych rozburtana strzecha, kaprysi —: spać mi się chce. —

— Będiesz jeszcze spał, będziesz — lecz teraz zjedz jabłko.

— Aha! to już rano — pomyślało się Mikołajowi. A tu już ojciec przynosi ze swego pokoju przykrojone, przygotowane smacznie — białe i żółtawe jabłko.

— Zjedzże zjedz, kochany.

Siada Mikołajek, do talerza bielącego się kręgiem na kołdrze sięga i zajada soczyste owoce.

Ojciec o przynózek łóżka wsparty patrzy z ukontentowaniem i smakuje sobie w smaku chrupiących ząbków.

Dogaduje mu i otuchą krzepi;

— Zdrowo, bardzo zdrowo — potem pospisz sobie smacznie.

Tak to bywało, odkąd pamięcią sięgnie codziennie.

Nie pomni, soczyste jabłka łykając, czy się z początku przerażał tym deszczem budzącym, czy płaczem go witał? — Nie pamięta.

We wspomnieniu ostały dobre oczy ojcowe, lśniące liście zmoczonych kwiatów i zapach rozkoszny przekrajanych jabłek o srebrnym świetle.

KSIEGA DRUGA

W KRĘGU LAMPY NAFTOWEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O NOWYM ŚWIECIE, PRZEDMIOCIE DZIWNEGO
KSZTAŁTU, O DWUCH DUSZACH, O BUDOWANIU
DRÓG PRZEZ KRAJE BLISKIE I DALEKIE.

Zupełnie innym, wiecznie nowym światem, był pokój ojcowy.

Przedewszystkiem był znacznie większy.

Zgubić się w nim było sprawą zupełnie możliwą i prawdopodobną — zwłaszcza wieczorem, gdy cienie budowały nieistniejące za dnia ściany.

Trzy okna miał ten pokój — wszystkie zakratowane. W jednym z nich wisiał przyrząd długi i cudaczny, z którym ojciec rad rozmawiał: — po takich rozmowach zazwyczaj bywał deszcz, czasem burza. Nazwa tego przedmiotu była również groźna i zagadkowa jak i jego utajone siły — baromter (to wiele mówiące „o“ po „r“!!).

Stało więc tam w tym pokoju łóżko strasznie duże, rzeźbione w głowach w róż wieniec, obok łóżka szafa dębowa gładka, przy ścianie przeciwległej kanapa głęboka, jeszcze większa od łóżka, pomiędzy oknami bliźniaczemi sekretarzyk z trzema wnękami i z wielą szuflad, na nim czarny zegar kurantowy; stół na środku pokoju — znamy to zresztą...

I jeszcze jedna szafa była — w ścianie.

Tam stały flaszki rozmaitej barwy i różnora-
kiego kształtu.

Talerze, łyżki, widelce i noże miały też tutaj
swoje leże.

Najwięcej jednak było flaszek.

W jednej z nich wyższej, a węższej od kole-
zanek był napój różowy jak sok malinowy jeno
jaśniejszy i przezroczystszy — napój słodki i we-
soły! — już przy nalewaniu śmiało się coś we
flaszce, a kieliszek zataczał się lekko.

Ojciec mówił, że to „rozolis”.

A teraz rzecz ważna!! —: Za szafą, to zna-
czy pomiędzy szafą a łóżkiem — wisiał na zwy-
czajnym haczyku sprzęt dziwnego kształtu: ciem-
no wiśniowy, pękaty, z szyjką długą zakończoną
jakby domkiem ślimaczym.

W szyjce tej tkwiły kołeczki zakończone pła-
skimi główkami; na nich nawinięte były —
struny się nazywało — właśnie struny, które bie-
gły cienko i napięcie przez całą długość instru-
mentu, przeskakiwały przeszkodę sterczącą wy-
niośle i zarozumiale, poczem opadały nagle i krót-
ko ku przeciwnemu brzegowi, gdzie już kryły się
wstydliwie za kantem wierzchniej deseczki.

Strun tych było cztery.

Zazwyczaj spały obok siebie jak czworo dzie-
ci z podłożonemi pod główki dłońmi; sen miały
strasznie leciutki jak pyłek kwiatowy; spały
czujnie, niczem mysz na pudle; — bo to nietylko,

że najlżejszy dotyk je budził, — wystarczyło przy nich podskoczyć — ba! — dmuchnąć i to wcale nie mocno, a już dźwięczały dziwacznie, gderliwie i gniewnie. — Obok tych strun dziwaczały się w desce wycięte otwory — po obu stronach — wąskie, przegięte w pasie; przez nie to można było ponoć zobaczyć — duszę; — tak!

To była pierwsza Mikołajowa wiadomość o duszy.

O drugiej zasłyszal w kuchni od Antoniny przy prasowaniu; tkwiła w żelazku.

Dusze te były odmienne, bardzo od siebie różne. Jedna ciężka, twarda, czarna, a druga... drugą z trudem można tylko dojrzeć — była cienka, okrągła — poprostu patyczek (tak „na oko” przynajmniej).

Różne, widać, bywają dusze; no i prace ich też są różne.

Tam więc pomiędzy łóżkiem a szafą wisiały skrzypce.

Mówić o nich można tylko wieczorem.

W dzień były, a jakby ich nie było.

W dzień zresztą jest zajęć ciekawych dość.

Jednem z pierwszych i najważniejszych to budowanie wielkich i długich dróg z kopert, które ojciec składał na parapecie okna.

Z dniem każdym było ich coraz więcej.

Stawały się też drogi z dniem każdym coraz dalsze — tak zagłębiały się w kraje mało znane, obce, tajemnicze.

Budowanie dróg było pracą względnie dość łatwą; łatwe bowiem jest to, co się umie i to, co już zrobione; rezultat pracy stoi w prostym stosunku do ochoty i zapału, z jakim została poczęta i wykonana Serce wieńczy dzieło.

Więc tak: układało się koperty obok siebie jedną za drugą — na ile ich starczyło.

Tak powstawał szlak podróży.

Ważna jest sprawa doboru kopert.

Koperty bywają rozmaite.

Są koperty małe, białe, lśniące, koperty niebieskie większe i kwadratowe, podłużne, prostokątne, żółte, brązowe i zielone; te ostatnie są kształtem do siebie zbliżone.

Lecz bywają koperty osobliwe: długie lub niepowszednio szerokie (przydatne do budowy mostów), to znowuż z jakimiś znakami niewiarogodnie zawiłemi, z wyobrażeniami domów, fabryk, beczek i narzędzi rolniczych; — te były najcenniejsze — w nich bowiem znachodziło się kartki, listy zadrukowane różnobarwnie, a nawet książeczki z najbardziej osobliwemi ilustracjami.

Czego tam nie było!

Od kwiatów barwnych i lśniących po kurczęta, kury, koguty, noże, ptaki, meble, ubrania, wozy, wózki, sanie, zegarki, dywany, pierścionki — wszystko!

To były rzeczy arcyważne — ważniejsze niż same koperty — jakkolwiek szczerze przyznać należy, szczerze i otwarcie, że, gdyby nie koper-

ty, nie byłoby i tamtych cudzeńków, które przecież rodziły się w ich wnętrzu; — koperty to oczywiście matki.

Z kopert budowało się drogi, które równocześnie wyznaczały granice krajów.

Karteluszeki i książeczki zamieszkiwały owe państwa międzydrogowe jako miasta, wsi, osiedla.

Podłoga komnaty ojcowej to — ziemia.

W miarę zwiększania się ilości kopert — drogi przekraczały wzniesienie progu i zapuszczały zagony na drugą ziemię — już w pokoju Mikołajowym!

Mówimy: ziemię — poprawdnie była to już zupełnie inna planeta.

Po kilku tygodniach (od dnia zdecydowanego budowania dróg) — szedł już kopertami wymoszczony szlak od podkanapia, poprzez obszary objęte sekretarzem, pobok dwu okien, ku krajom pozostającym pod strażą szafy i protektorem drzwi — wzdłuż biurka w kierunku pieca, pod cieniste pobrzeża umywalni i dwu foteli, przez ukraińską płaską i obszerną wolną republikę podłogową, zamkniętą łańcuchem gór progowych — przekraczał przełęcze i szczyty i biegł podolem dzierżaw Mikołajowych, prosto, jak batem strzelił przez moczary, torfowiska, zagaje, bory i pola grzybowe w fantastyczny świat olbrzymich roślin.

ROZDZIAŁ DRUGI

O ROZPOCZĘCIU PRACOWITEGO DNIA, ŚNIADANIU,
POWADZE KAWY I JEJ SŁODYCZY ORAZ O DA-
CHÓWCE I GAŚSIORZE.

Pracą wszelką rozpoczyna się od wczesnego rana (kto rano wstaje temu Pan Bóg daje — mawiała poduszka).

Po spożyciu jabłek — krótki, wonny, świeży, mocny sen (zwłaszcza, że już w porze najwcześniejszego przedwiośnia okna w sypialni są otwarte, a co najmniej uchylone) — przebudzenie, a wraz pierwsza myśl: co to dzisiaj mam do roboty?

Cóż tam sprawa ubierania!

Śmiech i tyle.

Portczęta na szelkach — raz, dwa — kubraczek; palce zamaczane w miednicy, nos i policzki — plusk, plusk — twarz mocno wytrzeć do czerwoności — cóż to za mycie! — ani minuty to nie trwa.

I już — boso — cup, cup, cup.

I już jest przy ojcu; całuje w rękę:

— dzieńdobry.

A ojciec stale:

— Dzieńdobry, spałeś dobrze?

A Mikołaj stale:

— Dobrze.

I szedł ku oknu po koperty.

— Hola! — kawalerze, najpierw śniadanie.

Ojciec czekał i śniadanie czekało.

Sam na maszynie spirytusowej gotował sobie kawę, synowi mleko; na podstawce z wikli plecionej: bułki i chleb; na talerzykach: masło i ser

Codziennie Mikołaj prosił o kawę; słusznie; kawa jest poważniejsza i słodsza.

Codziennie ojciec odpowiadał:

— Nie można, nie.

Codziennie Mikołaj nic sobie z tego nie robił.

Codziennie bowiem ojciec dodawał:

— Ach! ty uprzykrzony nudziarzu.

I dolewał do mleka kilka kropel czarnego, aromatycznego płynu.

Napój nabierał barwy bladożółtej, co już upoważniało do słodzenia go; — a o to przecież chodziło!

Cóż tam kawa! — Cukier! O!

Więc tak: jedna kostka cukru zaraz.

Sam Mikołaj wrzucał; musiało „chlupnąć” — inaczej było nieważne.

Druga kostka dopiero wtedy wpadała do filiżanki, gdy już połowa była upita.

Ten wtóry kawałek cukru trwał „na spodzie” bez zamieszania (broń Boże!!) — i stawał się smaczkowitem „na deser”.

— Ależ zjedz ty kawałek bułki albo chleba.

O, z tem była sprawa najtrudniejsza!
 Nic a nic nie chciało mu się jeść na śniadanie.
 Podziobał, podziobał — akurat tyle „co kot
 napłacze”.

Szkoda mówić.

Ojciec maczał kawałeczki bułki w kawie i czytał gazetę.

Już to tam jakiś artykuł, widać, ważny, bo od dobrej chwili trzyma kasek w kawie, a do ust nie niesie.

Mikołaj wyłowił resztki cukrzanych wspaniałości, obtarł usta, wstał, szurgnął nogą:

— Dziękuję.

I już biegł do okna.

Cały warsztat, zasobność wszelką w kilkakrotnych zagarnięciach składa na podłodze.

Do roboty!

Poprzez długie okresy artykułu, poprzez cztery bite, szerokie stronice zadrukowanej płachty gazetarskiej budowały się drogi dalekie i szerokie: musiały przecież pomieścić w sobie wielki tabor wyobraźni niechętnie liczącej się z warunkami przestrzeni, Bogiem a prawdą, nie liczącej się wcale z niczem...

Codziennie nowe powstawały drogi i nowe państwa wynurzały się z odmętów podłogi i rodzącej fantazji.

W krajach najdalszych mieszkała czerwona dachówka napoprzek z gąsiorem.

Tutaj odpoczywały drogi i nabierały sił do dalszych podróży.

Wtedy wszystkiemi szlakami dochodził szelest składanej gazety i stuk okularów położonych na niej; odtąd okulary czytały same bez pomocy oczu

— No, a teraz chodźmy do ogrodu.

I szli.

Mikołaj z chęcią i ciekawością.

Drogi ogrodowe wysypane żwirem są bowiem również tajemnicze jak koperty i życie.

ROZDZIAŁ TRZECI

O ZWĘŻONYM ŚWIECIE. WYMIARZE ODLEGŁOŚCI
ROZMAITYCH, O DROMADERZE I PRZERZYNANIU
POLANA WESPÓŁ Z KOCUREM.

Lecz w zimie!
Dni krótkie.

W ogrodzie niema kwiatów, trawników, ścieżek
ani klombów; jest tylko śnieg.

Wieczor zapada szybko; zaraz po podwieczorku.

Najpierw zapala się niebo na wschodzie od za-
chodnich czerwonych zórz.

Przez chwilę płoną okna.

Lecz rychło pożar gaśnie.

Ślepną okna.

Mrok.

Antonina przynosi lampę. •

Poczyna się misterjum zaświecania — bardzo
ciekawe.

Dzwonowy brzęk umbry, szcęk piskliwy szkieł-
ka, podkręcanie knota, równanie, oczyszczanie (za-
pach nafty).

Trzask.

Zapałczany ogienek nieci światło duże, szero-
kie, spokojne.

Przy pierwszym brzasku lampy Mikołaj zawsze kichał, — a ojciec śmiał się zawsze i zawsze mówił: — zdrów! wiwat!

Mikołaj powtarzał: wiwat!

W pokoju ciepło; bardzo ciepło.

W piecu płonie ogień — parska, strzela, syczy, huczy — zwyczajnie jak dębina z sośniną.

Czerwona blacha błyszczy w półmroku.

Gdzieżby tam lampa naftowa cały pokój oświeciła — ani się śni!

Wogóle zwężył się bardzo świat.

Jakoś milej przebywać w bliskości lampy, a to niedużo tego kręgu świetlanego. — W pokoju trochę zamglona od co dopiero spalonych na blasze skórek jabłkowych.

Zapach słodki i niezapomniany!

A uciecha przy tem! — Bo to trzeba wiedzieć, że woń przedziwnym obyczajem najpierw w kąty pokoju włązi; więc tam zapachu najpierw szukać należy; — o, już! — to i tu? — i tu także! — a w pośrodku pokoju jeszcze bezwonnienie; — dopiero po chwili i tam także wonieje!

Cały pokój jest, jak obsypana owocami jabłoni w skwarze południa sierpniowego: zapach rumiany, brzegiem zielony.

Jako się rzekło — niedużo tego kręgu świetlanego — a poza nim? — tak jakoś cudacznie, jakby obco i nieznano.

Niebardzo wiadomo, czy można się tam zapuszczać. A jeśli się wspomni ową celową rozbieżność dróg i granic, krajów, państw i światów przed połu-

dniem budowanych — to wydaje się to takie dalekie, takie odległe, takie ogromne i wspaniałe zarazem, że rodzi się w sercu i myśli coś w rodzaju dumy, że jest się mieszkańcem niedojrzanych w mroku włości — i nie tylko mieszkańcem — budowniczym!!

Refleksem tych myśli jest następujący dialog:

— Tatusiu.

— No co?

— Czy to Wołkowice daleko?

— Ech cóż tam, daleko niedaleko — blisko.

— Jak blisko?

— Jakto, jak blisko? — Godzina drogi pieszo — i to nie, zależy kto idzie i jak idzie

— A ja?

— Ty? no godzina z okładem.

— A do Krakowa daleko?

— Daleko.

— Jak daleko?

— Trzeba jechać przeszło dwanaście godzin kołami.

— Dwanaście?

— Ano.

— A Lwów? (często słyszał o Lwowie).

— O! bardzo daleko.

— Za Wołkowicami?

— Za, za, dużo za!

— Dalej niż Kraków?

— Ho ho!

Stropił się.

Odległość do Krakowa niezbyt była łatwa do pojęcia, a już jeśli coś było „hoho” daleko, no to już bardzo, bardzo daleko; — możeby i za dzień nie zaszedł! Ani za dzień i noc całą, kto wie, może i drugi dzień i noc drugą; — aż się zmęczył!

— A Toruś zaszedłby za dzień? — pytał drogą okrężną.

— Dokąd?

— No do Lwowa.

— Do Lwowa? — Gdzież tam, ani za tydzień, ani za dwa.

Tydzień to jest dużo dni od niedzieli do niedzieli.

Strasznie daleko.

A Toruś umie „wrywać” — spróbujcie! — pewno, zając biegnie szybko, ale zając jest od tego; wiadomo! — Zresztą co do tego zająca to nawet... ale o tem potem.

— A ty, tatusiu, byłeś we Lwowie?

— Byłem; tyle razy już się mnie o to pytasz. Cóż z tego? — Takie historie muszą się powtarzać; raz usłyszeć — to jakby się nie słyszało.

Lecz już odstrycha się myśl od tego słusznego wniosku, bo oto wreszcie zbudził się kot.

Od podwieczorku, przy którym chlipnął ciepłego mleka, leżał zwinięty w kłębek na kanapie, wciśnięty pomiędzy poduszki.

Nikogo nie godzi się budzić bez gwałtownej potrzeby (chyba, że to o jabłka chodzi — ale to ważne!).

Mikołaj czekał cierpliwie.

Wreszcie raczył się Macek zbudzić.

Staął powoli na wyprostowanych łapkach — mimochodem, czy od niechcienia polizał się po pierśsiach i wygiął grzbiet w łuk niemożliwy — a wysoki!

Okropność!

Przez chwilę niewiadomo, czy to wogóle kot.

Ojciec patrzy z poza okularów; mówi z uśmiechem:

— A to dromader.

— Co to jest dromader?

— Takie zwierzę garbate, wielbłąd.

— A gdzie mieszka?

— Daleko.

— Za Lwowem?

— Hohoho!

Świat jest strasznie wielki.

Żeby zagłuszyć w sobie ten niepokój wyrosły z bezbrzeżnych oddali (czy to się wogóle kończy gdziekolwiek?) podrzucał Mackowi sznurek zakończony kokardką papierową.

Macek był to kocur duży, stary i poważny.

Futro miał upstrzone dziwacznie.

Zasadniczo to znaczy w przewodzie był on biały — i taki byłby w całości, gdyby nie duże, rude plamy rozmieszczone z niewiarogodną kapryśnością po całym ubraniu.

Najśmieszniej dawało się to we znaki na łbie, który był najoczywiściej z dwu części złożony; żółto-ruda plama zalała lewe ucho, pół czoła, oko,

nos i mordkę wskos ku szyi; — drugie ucho, połowa czoła i część policzka były białe.

Aż dziw, doprawdy dziw, że wytrwałem, częstem i długiem myciem nie zdołał zetrzeć przynajmniej tych frontowych plam z siebie — widać jest to trudne albo wręcz niemożliwe.

Całe prawie dni i noce spędzało kocisko w tym właśnie pokoju: na piecu, o ile się nie paliło (zresztą blacha mogła być ciepła — wtedy należy dokładnie rozważyć stopień ciepłoty i dotykalnie łapką sprawdzić), na łóżku, oknie, fotelu, kanapie — nawet na stole, jakkolwiek trzeba zaznaczyć, że na nim najrzadziej (chyba że dużo gazet leży) — znacznie milsze są dające się wygnieść przedmioty miękkie.

Umiejętność wygniatania ciepłych, przytulnych gniazd była specjalnością kocura.

Do zabawy był ociężały i długo trzeba go było ekscytować i naprzykrzeństwem wytrwałem skłaniać, zanim postanowił łaskawie łapką schwycić migający mu przed nosem papier na sznurku.

Wtedy to zdarzało się — a było to zdarzenie radosne i z okrzykiem: o! — witane, że pazurem... a miał też te pazury, miał! — wystarczyło w chwili dobrego usposobienia kociego nacisnąć dłoń ciemną i nagą łapki (lepiej przedniej), żeby się pięć ostrych kindżałów wysunęło z pochewek futrzanych..., że więc jednym z tych pazurów zaczął 0 sznurek.

Było to hasłem do nowej pracy!

Należało szybko i przytomnie, najszybciej i najprzytomniej podłożyć w pośrodek długości sznurka książkę lub pudełko — uchwycić szpagat u drugiego końca — no i poczynać się przecinanie niby piłą.

Zrezygnowany i uchem strzyżącym miarkujący leniwie, o co właśnie chodzi — kot pociągał łapką mechanicznie i poddawał ją przyciąganiu Mikołajowemu.

Tak to we dwóch przerzynali fikcyjnie, fikcyjne polano w skupieniu, z powagą.

W wieczory zimowe nie było miejsca dla spraw błahych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O SKRZYPKACH, ŁOWACH, KOZAKACH ZENCACH, KACZORZE, CZARNEJ SUKIENCIE, ZACHODZIE SŁOŃCA, ROZŚMIANYCH POKOJACH I WSPOMINKACH ZAPAMIĘTANYCH.

Tatusiu, zagraj, proszę cię, mój tatusiu!
Ach ty naprzykrzeńcze!

— Tatusiu, zagraj.

Cóż było robić?

Szedł tedy stary pan Michał po one skrzypeczki wiszące przy szafie.

I oto wszystko już układało się jak najlepiej.

Bo tak:

Najpierw dotyka ojciec palcami strun.

Zabrzękły ślicznie.

Te jedno na skrzypkach i te drugie napięte w sercu.

Aż się tak słodziście czyni.

Choć trochę i żałośnie — dlaczego?

Rozszerzają się ślepki jak przed widzeniem jasnym i cudownym.

Teraz smyk po raz pierwszy dotyka strun; coś tam nieskładnie zarzęziło — więc palce umiejętnie i świadome majstrują pilnie przy łebkach, u szyjki.

Przemierzył smyk tę sprawność dokonaną — zgrane!

Mikołaj stał łokciami na stole wsparty i aż dech zatrzymał z tej rozkoszy idącej w rozroście melodji.

A smyk — nibyto nic — taki ot kijek podwójny, z jednej strony z drzewa, z drugiej z włosia.

Chodzi sobie, chodzi po tej gładkiej drodze czterotorowej.

To wszystko się pręży, to schodzi nisko, nisko, niziuteńko, na sam krajuszek, że zda się spadnie z drogi.

To znów płynie poziomo jak rzeka przez gęsty las dźwięków.

A tam wzdłuż szyjki palce pracują wytrwale i mądrze: — to wszystkie przebiegają szybko z góry w dół, z dołu do góry — to jeden na strunie się opiera, zatrzymuje i drży jak w trwodze; — cztery czekają cierpliwie, kiedy ich ta konieczność zawoła; — przygięte, uważne czekają swojej kolei; — już tam drugiemu znać dają: baczność! — Zebrał się w sobie, na sukurs bieży — i trzeci do szeregu wbiega, dołącza się czwarty — piąty opóźnia się, lecz tak widać trzeba; — już i on w robocie! — społem żwawą gonitwę poczynają; — że się też nie zadyszą w tej bieganinie.

Wpiera się broda w instrument, aż się wiotki fałd skóry kładzie na rozśpiewaniu.

Przerwa.

Podnosi się głowa, a oczy szukają przyczajonych dźwięków na suficie.

Kota to wszystko nic a nic nie obchodzi; zwinął się mocniej w kłębek, pyszczek zanurzył w cie-

pły puch przybrzuszego futerka; mrugnął uchem na przelatującą zbyt nisko muchę; śpi.

Torek, a to huncfot! — Leżał spokojnie pod stołem — i dobrze! — Akurat teraz! Nie miał sposobniejszej pory! — Pchły z siebie otrząsa tylną łapą i tłucze nią w podłogę: łup, łup, łup.

— Cicho, Torek!

Opamiętał się acz z niechęcią; — ziewnął, aż mu się język wywinął ku górze, jak skrawek bibuły czerwonej na słońcu; — spojrzał z rezygnacją na grającego — poprostu widać było myśl jego podobną do machnięcia ręką: znowuż to głupstwo!

Wreszcie ułożył się po kilku wkoło obrotach (gest zapożyczony od prapsów-jaskiniarzy), mordkę wzdłuż przednich wyciągnął łap; — drzemie; — sen jego jest lichi i niezadowolony.

A tu muzyka idzie coraz walniejsza i szumniejsza. Zatoczyła się, zawirowała, omotała światła i cienie, uderzyła o ściany, odbiła się, uderzyła raz drugi, — rozwiały się jak mgła, — a melodia już z drzewami płąsa zielona od dołu i kwiecista, górą niebieska.

Cały świat w siebie wgarnia.

Myśli pochłonęła doszczętnie.

Ona jedna j e s t.

Krom niej niema niczego — bo to przecież nie skrzypce, nie — to świat bliski i daleki gra.

Ojciec zaszedł znienacka, jak słońce za widnokrąg zachodzi, poza ten opad gęsty mrzących dźwięków.

A Mikołajek jeno poczucie ma mętne poza
nieistniejącem, w pieśni rozproszonem ciałem —
istnienia żyjących o c z u, k t ó r e s ł u c h a j ą ; —
na myśl nie przychodzi (bo i tej myśli niema), że
to uszy słuchają, nie! — po stokroć nie! — Oczywiście!!

Ze strun zeskoczyła najpierw ta pierwsza me-
lodja, znana niewiadomo odkąd:

Krakowiaczek ci ja
w Krakowie się rodził,
pięć latek mi było
do szkołym już chodził.

Do tej śpiewki Mikołaj nie przywiązuje zbyt-
niej wagi.

Tak się tem zawsze granie zaczyna.

Zresztą trwa to krótko.

Pomieszały się dźwięki, połączyły w kilka, spo-
łem brzęknęły. a już tam cudaczy się i podzwania
hopkanie:

Ej, wy małe pędraki
wytinajcie hopaki,
ej nu nu, ej nu nu,
rozweselte rodzinu.

Tu obowiązkowo trzeba klaskać rytmicznie
w rączki, a jeszcze lepiej — wziąć się pod paszki
i całym sobą: ej nu nu, ej nu nu.

Pobudka!!

Na łów, na łów, na łowy!
Towarzyszu mój!



Komuś dostaje się soból, komuś panna; nigdy tego dobrze zapamiętać nie można; niebardzo nawet wiadomo, co zacz ten pan soból; należałoby właściwie kiedyś zapytać, lecz jakoś się zapomina.

Lecz cóż; nie martwi ta niewiedza ani na jeden odłam sekundy; cóż? — soból?! — niech go tam.

A teraz to się tak strasznie robi; jakaś żalosna przestroga, aż jagody bledną — nie chodź tam, chłopcze, nie chodź — straszne porwą cię czarownicy, niewieda dokąd — nie chodź, chłopcze, nie chodź.

Za jakimś nagłym zakrętem nacicha ta żalność.

Jeszcze cichutko echem podzwania.

Przestroga stokrotnie powtarza pośród niezliczonych pni boru żałosliwą skargę — milknie — gubi się jak suchy liść pośród wierzb przydrożnych i wiklin nadrzecznych.

Cicho!

Przejdźmy na palcach!

Ach! Wreszcie!

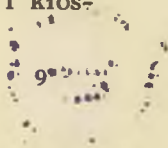
Minęliśmy ją, minęli!

Za zakrętem zupełnie inaczej.

Wznosi się wstęgami uprawnych, różnobarwnych składów zbocze rozległego wzgórze.

Poniżej długie łąny zbóż, łubinu i rzepaku.
Żniwa.

Już tu i tam stoją mendele nakryte kłobuchami: procesja rozłożystych duchów słomnych i kłos-
nych.



A niziną — wstęgą zapyłoną gościńca jadą na koniach wojacy — lecz nie szumnie, nie tłumnie i nie w rozgwarze.

Długi, wyciągnięty, zadumany komunik, jak i ta melodja, którą śpiewają.

Wataha w różnolitych strojach; kołpaki futrzane nabakier; lisiury wyleniałe ze zbroją naprzemian — niczem lisowczycy, o których wiadomo, że byli i jacy byli i że bardzo dawno temu.

Podzwignęli się żeńcy, zgarbione plecy prostują.

Pobłyskują kosy; krzyżują się grabie; naręcz zboża wsparta na sierpie drży ciężkimi kłosami.

Patrzą — słuchają — milczą.

A ci tam idą śpiewający — o Boże!

Hej! — tam na hori, tam żeńcy żnuł,
 hej! tam na hori, tam żeńcy żnuł,
 a popid horoju, doły, doły, dołynoju
 kozaki idut.

Przejechali.

Wiatr dźwięki nągania, to znosi — tak, że raz zdaje się są tuż, blisko — to znów jeno echo blade modrzy się jak niebo przy widnokręgu.

Ale już naprawdę przejechali.

Skryli się za sitowiem jeziora.

Zasłoniły ich oczerety.

Cicho i pusto.

Szumia trzciny.

Popluskują fale koliste.

Tam to z pośrodku jeziora, z lśniącej tafli nieruchomej wody, wychylają się regularne kręgi, je-

den, drugi, trzeci, dziesiąty — coraz dalsze, aż po
brzeg zarosły sitowiem; popluskuje senna fala;
drżą trzciny i szemrzą zrzędnie:

U kaczóra złote pióra,
u kaczuszki złote nóżki.
Postój kaczo dam ci cacko,
Nie postoję, bo się boję.

Sterczy złote, lśniące, zakrzywione piórko kac-
zorowi w ognie, dziób też złoty, ale zieleniejszy.

Plusk! dał nurka!

Zakotłowała się woda, aż się siwy koń zdumiał
u brzegu stojący; — pije wodę powoli przez ści-
śnięte wargi, siorpając: — a to jeden z onych
jeźdźców odbił się od gromady; ma coś ważnego
powiedzieć tej żniwiarce z makiem płomiennym
we włosach, co z naręczem żyta zasłuchiwała się bez-
miernie — aż to brzemie szeleszczące na ścierni-
sku złożyła i poszła bez słowa, cicha, jakby urze-
czona, cała miętą i macierzanką pachnąca.

Teraz z konwiami nad wodą stoi.

Poi żołnierzyk konia; ona wodę nabiera; za-
śpiewał o konia wsparty — ona schylona zapła-
kała.

Nie płacz — mówi piosenka — póki z tobą je-
stem, gdy pojedę w Ukrainę — dosyć będzie czasu
na łzy.

A tak tam wiele ciężkich słów mają na sercu —
więcej niż na wargach nieśmiały, — jak kamie-
nie te słowa.

Rzewność — rzewność niesłychana.

Drugi raz dziewczę powraca!

Powraca, a już zgoła inaczej.

Może to kto inny?

Może pieśń te dwie postacie jednako posmutniałe, kalinowe, jednoczy i spaja?

Tym razem do matki przemawia; tak jej to mówi, niewieście stroskanej, sama stroskana do ostatka, a po dziewczęcemu:

Schowaj matko suknie moje,

perły, wieńce róż,

drogie szaty, świetne stroje —

to nie dla mnie już.

Niegdyś jam perły, wieńce lubiła,

gdy nam nadziei zabłysnął źródł,

lecz gdy do grobu Polska wstąpiła

jeden mi tylko pozostał strój:

czarna sukienka.

I tak już w tej czarnej sukience chodziła lata.

Na ręce w stół wparte padają z rozszczerzonych ślepek chłopięcych łzy gorące.

Przez ich zalew drży, jak przez strugi deszczowe — i ten śpiew i skrzypce i ściany dziwnie i znagła zbliżone i okno z dalekością zieloną, a już mrocznie szarzącą.

Z wielkiej oddali jakby z pod lasu, z za rzeki słyhać przedostatnie pieśnienie:

zachodzi słońce poza las,

cień spływa na ogrody —

jedynie zorzy lśni się pas,
jak struga złotej wody —

i to ostatnie, smutne jak zgon samotny:

wniosłaś wiosenny ranek w mój dom,
zaśmiały się pokoje,
zaśmiał się stary, ponury dom,
jak cudne oczy twoje.

Z poza łez zdwaja się i ztraja starzec grający.

I tak się wydaje, tak się na pewno wydaje, jakoby i z tych starych, pożółkłych, jak bursztyn, oczu łzy spływały na skrzypce; — na pewno! — bo skądżeby ta srebrna kropla na klapie surduta — chwilę zatrzymana — już spływająca — wsia-
kająca — coraz mniejsza — ledwo, że znać ten ciemniejszy szlak, którydy przepłynęła.

Wysunęły się skrzypce z pod brody zaczerwienionej.

Smyk opadł na stół.

Zamarła melodja.

Skończona gra.

Po chwili skrzypce wiszą na swoim miejscu.
Wygarnął ojciec kota delikatnie pod oparcie fotela.

Usiadł.

Wszystko już jest, jak skrzypce, tam gdzie być powinno.

Zatrzymała się nagle huśtawka rozkołysana;
rzeka stanęła; wiatr ustał.

Aż tu tak w tę ciszę — ciszej jeszcze wionęło:

— Chodź tu, Mikołaju.

Idzie, a blady i spłakany; czemu?

Przygarnia się do kolan.

Obejmują go ramiona drżące i kochające; wargi musnęły włoski płowe.

Zatrzepotały słowa zapamiętane, a poza ich wyczuwaną żalością, niezrozumiałe, jak wiersz wyuczony w obcym, nieznanym języku.

— Tak to, synku... wygrywamy sobie tę naszą samotność... i opuszczenie nasze... Na moment byłem tobą... chłopcem małym... w dalekiej wsi... pod tym Lwowem, o który często pytasz... w Czajkowicach... ojciec coś tam z włodarzem gwarzy... dyspozycje wieczorne... z czeladni śpiewy słyszać kądzienne... a matka nad kołyską Marjana... najmłodszy... też już nie żyje... nikogo niema tu... tak się zbeczałem, synku, jak i ty... na tę samotność i życie przeminione... i młodość niewracającą... i już ty, któryś mi i życiem i wiarą i kochaniem... pamiętaj, synu, o ojcu... nie zapominaj... i to: sam jest człowiek i miłowanie jego... i to: smutek, ból osobista to własność człowieka... i to: radość i czyn jest wszystkich własnością... i to: bliźnich, ojczyznę kochaj... może kiedyś... może przecież nienadaremno...

(Kalendarz wskazywał wtedy rok 1892-gi.)

ROZDZIAŁ PIĄTY

O CIEPLE I ZIMNIE UKRYTEM W KRĘGU ŚWIATŁA LAMPY NAFTOWEJ.

Jeszcze daleko do nocy.

Spać się nie chce nic a nic.

Mikołajek tedy przymilnie pochyła główkę na prawe ramię, a oczyma przed się patrzy; udobru-chliwie, aby zniszczyć w zarodku zaprzeczenie zawsze przecież możliwe, powiada:

— Zabawmy się w chowane.

— W chowane?

— Tak!

— Koniecznie?

— Koniecznie!

— Ano, niechże ci będzie w chowane.

Polegała zaś ta gra na tem, że się przedmiot umówiony — był nim dość spory czarny guzik — kryło gdziekolwiek, możliwie jak najskuteczniej „na całkiem”, a zbliżenie się doń lub oddalenie ogłaszało skrupulatnie terminami: ciepło, gorąco, chłodno, zimno.

Któż zacznie?

Bierze ojciec guzik, przekłada z ręki do ręki, a tak, żeby się trudno było spostrzec.

ogłaszało skrupulatnie terminami: ciepło, gorąco,

— Zgaduj, zgadula.

— W tej.

— W której, bracie, mów: prawa czy lewa?

— Ta.

— Któraż przecie?

— Prawa.

— Co się stało! Co się stało! Zgadłeś, bo to prawa i guzik w niej jest; więc po sprawiedliwości — ty kryjesz.

Bierze więc teraz Mikołaj guzik z ręki ojcowej.

— Ale nie patrz, tatusiu.

— Nie patrzę, skądże.

Na palcach idzie; cichcem się skrada; niedowierza, czy ojciec nie patrzy; rzeczywiście nie patrzy.

Gdzieby tu skryć — ? — ale tak, żeby nikt nigdy nie znalazł; nigdy nikt; żeby już tak na zawsze o guziku tym nikt nie wiedział, jeden tylko Mikołaj; komu zechce to powie; a nie, to nie.

Kładzie go cichutko — wszystko od tego zależy, żeby nie stuknęło — na dębowym parapecie okna, w samym kącie; ciemno tu; guzika nie widać; nikt nie znajdzie!

— Już!

Ano wstaje ojciec z zasiedzenia fotelowego. Zmierza ku szafie.

— Zimno — zimno — zimno.

Ojciec nic: jakby nie słyszał; idzie dalej. Tak Bogiem a prawdą przecież wie, gdzie guzik schowany, ale to szukanie musi chwilę trwać, sporą chwilę, inaczej nie byłoby zabawy.

— Bardzo zimno — lody, lody — mróz.

— Gdzież ty go skryłeś tak dokumentnie?!
Wraca ojciec do stołu; penetruje; nibyto z uwagą zezloną szuka.

— Zimno, całkiem lód.

Więc ku kanapie.

— Jeszcze zimniej!

Więc ku oknu.

— Troszkę cieplej — troszeczkę — ciepło — ciepło.

— A! Tum cię szukał! Więc to gdzieś tutaj!

Już przy guziku, a niby zafrasowany.

— Niema i niema.

— Ciepło bardzo, gorąco.

— Gorąco? — ano patrzymy.

Kawałeczek po kawałeczku przesuwając ręką po parapecie, a do przeciwnej strony poczynając — aż już przy guziku; pod palcami — : jest!

— Ale dobrze był skryty! — długoś szukał, tatusiu, prawda?

— Co tu mówić, ledwo znalazłem.

— Teraz ty kryjesz.

— Ano niby ja; odwróć się, głowę wtul w fotel, bo ty lubisz podpatrywać, basatyku.

Zamyka chłopiec oczy mocno, ręką zasłania, głowę w fotel tuli, dech zapiera, a nadśluchuje, gdzie też kroki ojcowe zmierzają. Szłapią pantofle, ale tak cicho, że to ani „dudu” — a jak tylko trochę od stołu oddalniej, to ani tycio nie słyszać — ; — jeszcze z tego schylenia mocnego w uszach cieniutko dzwoni — doreszty nic niewiadomo.

Az tu raptownie — : „juz!”
Gdzie tu szukać, powiedzcie?

Nic niewiadomo.

Patrzy w twarz ojca; ani drgnie; ani mru-mru;
niby czemś innem zajęty — odniechcenia, jakby
nigdy nic, na stole gazety przekłada.

Idzie Mikołaj ku szafie, ku kanapie, ku oknu;
cały czas szlakiem ojcowych poszukiwań.

A tu stale:

— Zimno, Grenlandja!

Hoho — już wie! — Grenlandja to taki kraj,
gdzie jest zawsze a zawsze mróz, lód, sople jak
topole, kry jak kościoły, a na tych krach białe
niedźwiedzie igrają, a nad niemi, na niebie wielka
brama promienistego światła —; więc tu niema
guzika, nie może być!

Lecz miło to nie jest: przy kanapie — zimno,
przy oknie — zimno!

Więc gdzie?

Gdzież ten kraj ciepły, ten kraj gorący? —
Wbrew rozumowi niedowierza, pilnie przepatruje
kąty ciemne przy oknie; przecież to najlepsze
schowanie! — czemużby i ojciec nie miał tu ukryć
guzika?

Aż serce żywiej zabiło! — Jest! — Paluszki
szperające namacały — ach! — To okruch muru!

Więc znowuż — nic.

Zresztą tu „zimno” — niema na pewno; ojciec
nie zwodzi nigdy.

Więc ku stołowi wraca; zawszeć to bezpiecz-
niej i milej przy lampie.

— Ciepło!

— Ciepło? — uśmiecha się; to już tak jakby znalazł.

Szuka rzetelnie; lecz gdzież tam! — ani pod gazetą, ani poduszką.

Bierze książkę do ręki — ufl strasznie ciężka!

— Gorąco! — naturalnie! oczywiście! — toć-
że już przy stole było bardzo ciepło.

Gorąco? — a guzika jak niema tak niema.

Wtem — brzęk! — coś upadło na podłogę; —
potoczyło się, zakołysało, zawirowało, przysiadło,
scichło.

Mikołajek na kolana w te pędy — szuka.

Ale gdzież on był — niby ten guzik —?

Na książce go nie było, pod książką nie leżał,
w książce się nie ukrywał, — odstawałyby prze-
cież kartki lub okładka — zdradziły się; —
gdzież więc?

Uśmiecha się ojciec całem sercem w tę zaba-
wę wtopiony; mój ty Boże! — Rozpatrzeć życie
— ileż tych chwil się znajdzie docna zatopionych
w cichym uśmiechu —? — a potrzeba ich, potrzeba
wytnienia przed czynem każdym i po czynie
też —, — ejże, panie Michale po rozmaitem wiel-
ce życiu nagradza chwila uśmiechem ciepłym;
o, i jak jeszcze! — Nieprawdaż —?

Cóż się okazało?

Oto książka była założona opaską z gazety;
— opaska taka, wiadomo, jest podwójna; otóż

w niej to tkwił sobie niepozorny guzik cicho i statecznie, niczem bytu swego nie zdradzając.

Co za pomysł!

Rozmaicie tam jeszcze z tem kryciem bywało, lecz już nigdy tak, nad podziw, pięknie.

Działo się to w niezbyt rozległym kręgu światła lampy naftowej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

*O MUSZE, SKOCZKU, POWODZI, PORWANIU I INNYCH
WIELKICH SPRAWACH USŁYSZANYCH O CZAMI.*

Lecz do nocy jeszcze daleko.
Ojciec czyta w jakiejś olbrzymiej księdze; od czasu do czasu krzepi się łykiem wina; czyta. Mucha ciepłem ożywiona, samotna, zimowa mucha brzęczy wokół lampy; najpierw zdala wielkim łukiem krąży, koła coraz węższe zatacza, zapada pod klosz, hałasuje gwałtownie, rozbija się, tłucze, wypada raptownie i światłem pijana nagłym rzutem zapada między papiery.

Usiadła na brzegu gazety, zaciera przednie łapki, zakręca czarne nitki nóżek.

Aż tu skądeś zjawia się mały, szary skoczek, jak żywe ziarnko pszenicy.

Zbiera się w sobie, przysiada, płaszczy się — hups! — skoczył na całą szerokość stołu.

Przestraszyła się mucha tego pocisku — odleciała z brzękiem.

Mikołaj klęczy na stołku, na stole półciałem wsparty, przegląda papiery, układa ołówki i ob-sadki w linje, kwadraty, trójkąty.

Nie nudzi się, ale i nie bawi należycie.

— A może ci podać obrazki?

Kiwnął głową i przymrużył oczy — znaczy to, że bardzo: tak!

Na szafie pośród ksiąg ogrodniczych, pudełek z nasionami, łyka lipowego, piłek i sekatorów — spoczywały sobie pliki sztychów, stalorytów, reprodukcji rozmaitych.

Wycinał je ojciec z pism mniej ważnych lub zdekompilowanych; dla Mikołaja je wycinał.

Podszedł teraz ku szafie po nie, przyniósł, na stole przed synem złożył.

Ileż je to tam razy przeglądał chłopiec, a zawsze z ciekawością osobiwą i zachwytem jednakim; nazbyt ich dużo było, żeby wszystkie zapamiętać. A właściwie to jest całkiem inaczej: te, które się pamięci nie czepiały, nie interesowały zarazem, a z lubością i niecierpliwością nie wychodzącą na dobre całości kart, szukało się tych właśnie znanych, zawsze zaciekawiających i wzruszających.

Gdzież one są?

Aż czoło zmarszczył i wargi wysunął w tem natężonem szukaniu.

Jest! Jest!

Wielka, olbrzymia rzeka, huczą wzburzone fale, słyhać wyraźnie szum i gwałt.

Tu i tam z strasznego zalewu wystarczają czuby i korzenie drzew, nasyczone wilgocią, ciężkie — wyraźnie toną —; — za chwilę nurt je porwie — orać będą dno: bezwolne pługi i brony.

Jezu! jak to głęboko! Strach! Aż się w głowie mąci.

Środkiem tej wzburzelizny płynie wirem przekrecona naukos kołyska, a w niej dziecko nagie, nagusieńkie; płacze, wymachuje rączkami i nóżkami — nigdzie nikogo — znikąd pomocy — pustka bezbrzeżna — jeno woda, woda, woda — szumiąca, huczająca, grzmiąca, groźna, przeraźliwa; — tak też przez ten żywioł wzburzony widać płacz, lecz go nie słyszać.

Przecież jest tam jeszcze ktoś!

W głębi za kołyską — wywrócona dnem do góry, na dachu własnym płynie buda drewniana, a za nią łańcuchem z nią na śmierć i życie związany pies. Ostatkiem sił mokrą głowę nad wodę podnosi; dyszy ciężko, powietrze chwyta, — oczy z tępą rozpaczą i trwogą bezmierną szukają ratunku.

Gdy buda wodą nasiąknie i na dno pójdzie — znajdziesz, psie, poratowanie ostateczne. — Teraz ponosi cię bezlitosny napór wód, dusi nieunikniona obroża.

Z lękiem patrzył chłopiec na tę grozę żywiołu, na bezradność dziecięcego sprzętu i psiego mieszkania tak w tej chwili zawodnego, na niechybność, tego, co stać się ma z żywiniami słabemi rzuconemi w zamęt sił niepowstrzymanych.

Zalękniona ciekawość przekazywała pamięci każdą niemal linję, kratkę i kropkę stalorytu — z nich bowiem osobliwym zrządzeniem wyrastała treść, przerażenie, groza i przewidywanie smutne kończących się egzystencyj.

Z uczuciem ulgi i westchnieniem odkładał kartę. — Inna.

Przez olbrzymią, pustą przestrzeń zarosłą wysoką trawą (niema u nas takiej, gdzieżby) pędzi na koniu człowiek srogi straszliwie, w koronie piór na długich włosach, w długich spodniach dziwacznie u dołu postrzępionych, z siekierą za pasem; — pochylony nisko nad wyciągniętą szyją końską — pędzi — dudni ziemia — rozwierają się gąszcze traw.

Przed sobą trzyma przerzuconą wpoprzek przez siodło dziewczynkę młodą w białej sukience; głowa jej zwisa bezwładnie; warkocze rozwiał wiatr i pęd; oczy zasłonięte powiekami.

Biedna dziewczynka!

Mikołaj już wie: — porwana!

Pocóż pytać po raz drugi?

Już ojciec mówił: — porwana!

Płaczą tam pewno i narzekają w domu krzykiem wielkim: niema naszej dziewczynki!

A taka była zawsze uśmiechnięta, rozgadana, wesoła. — Któż nas teraz rozweseli? — Lecz nie o to chodzi, nie o to! — Bo gdy jej nie znajdą — a na pewno nie znajdą — nie zobaczą nigdy — nigdy — — to co?

A dziewczynka? — gdy się zbudzi z omdlenia? — gdy otworzy oczy niebieskie? — Mikołaj wie, że niebieskie, jak niebo, jak bławat, jak izby chłopskie w czasie Wielkanocy — —

Co z nią się stanie?

Porwał ją człowiek straszny, na strasznym unosi koniu, przez straszną przestrzeń.

Dziewczynko! Dziewczynko!

Dziwna tkliwość nachodzi Mikołaja; niepostrzeżenie, ukradkiem całuje rozrzucone ręce dziewczynki i czoło — w tem miejscu — koniecznie! — pomiędzy oczami, gdzie się schodzą wąskie ponowki brwi.

Ilustracyj, jako się rzekło, było bardzo dużo, ale żadna, choć tam i były bezsprzecznie ciekawe niezwykle — nie wywierała już takiego wrażenia na chłopięcej imaginacji, jak ta powodziowa i ta wykradziecka.

A był tam, wśród innych, sztych olbrzymi przedstawiający gąszcz boru ciemnego, ponurego, pełnego utajonych lęków.

Wiekowe, rozłożyste, sękate dęby zwartym zaplotem powykręcanych, spracowanych walką z wichrami, bojem z burzami, gałęzi i konarów obejmowały całą górną część obrazu; zasłaniały sobą niebo tak, że tylko tu i ówdzie przeświecało nieśmiele, zahukane i zakrzyczane przewagą rozpętanej gęstwiny.

Dołem poszycie lasu zmierzwione i zagmatwane; krzewy wrastają w siebie, zasupiają się, węzła i krzyżują.

A w głębi?

A w głębi mglisty zarys wspaniałego jelenia — — podniesiona głowa dźwiga olbrzymie rogi, jak owe właśnie konary dębowe, rosochate, rozrosłe, rozpięte; nad niemi unosi się na powietrzu,

nie dotykając czoła, a oczy jeno cichym blaskiem naświetlając — krzyż fosforyczny; zda się — drżą linje obrazu w tem miejscu uświęconem rozświetleniami cudownemi. — Rozwiane marzenia snuły się poprzez tę wizję; nieokreślone, uroczyste zna-bożnienie, lęklivość słodka, urocza bojaźń.

Podobne uczucia wywoływały małe, prawie kwadratowe drzeworyty, nalepione po kilka spo-łem na jednej karcie.

I tak:

— faliste linje wody; rzeka wijąca się, jak struga bujnych włosów pośród krzaków strojnych w kilka dużych, ząbkowatych regularnie liści; — na przedzie kwiaty wyrastające z poza niskich garbów podłoża, duże kwiaty między dwoma trójkątnymi liśćmi.

W rzece stoi po kolana w wodzie zanurzony człowiek; — ręce na piersiach złożone; — głowa w pokorze na piersi schylona; — ktoś inny przybrany w skórę włochołą — leje z czarki drewnianej wodę na głowę Pokornego.

Rozstąpiły się chmury, umknęły na boki, pozwijane jak zwoje miękkiej materji —, a w rozstępie tym, w oknie firmamentowem zawisł nieruchomo gołąbek na rozpostartych skrzydłach; — od niego to, ptaka białego, rozpryskują się na Chrzczonego i Chrzczącego, na kwiaty, na krzewy, na rzekę — sute strzały błogosławiących promieni.

Albo:

— las! — Równiutkie jak zabawki dziecięce, ostre trójkąty drzew; pień prosty, cienki, ni to

sosny ni świerki. — W pośrodku ścięty pień drzewa; pobok klęczy związany chłopiec w długiej szatce przepasanej rzemieniem; rękawy krótkie; ręce na plecach skrępowane; głowa złożona na onym to pniu. Przed nim starzec przystanął w szacie fałdzistej, bufiastej; duża rozwiana broda; w prawej ręce krótki miecz; ręka wzniesiona, pobłyska ostrze. Chwila, a spadnie lśniąca stal na kark chłopięcy. Lecz już idzie pomoc; nagła i niespodziewana. Olbrzymi anioł runął z nieba — szaty i nogi rozwiane; zatrzymuje w locie miecz zabójczy. W krzaczach, w gałęziach zagubiony, biały baranek obskubuje liście.

To znów:

— pagór; pagór półkolisty, niczem przysiadła kopica siana. — Na nim krzyż, cały w tle nieba; — ustawiło się po jednej stronie czarne słońce, po drugiej czarny księżyc. — Do krzyża Człowiek przybity. — Głowa boleściwie na prawe ramię skłonią, oczy powiekami zapadłemi zasunięte, usta rozchylone, włosy w wilgotnych strąkach przylepione do lic. — Na głowie wieniec cierniowy; — z pod każdego wbitego kolca sączy się podłużna kropla krwi; — tak i z rąk i z nóg przy gwoździach o trójkątnych, czarnych, wystających główkach. — Bok przebity czerni się rozwartą, straszną raną. — Pod krzyżem klęczy niewiasta; obejmuje to drzewo, którego owoc jest cierpieniem okrutnem. — Jej oczy wgórę zwrócone źrenice uciekły pod wzniesione powieki; lśnią złowrogo dwie plamy nieżywych białek. — Obok

niej — tu niewiasta bolesna — tam młodzieniec rozmodlony —: nasłuchują szeptów, pożegnania, wskazania: co dalej?!, jak?! — W pośrodku pagórka-kopicy pod klinami wbitemi przy pniu krzyżowym wyszczerza się trupia czaszka; sączy się na nią cienką strugą krew z przebitych płynąca nóg; obie stopy jednym gwoździem przebite. — Niebo czarne; jeno niespokojnie przedarty jasny, strzępiasty obręb obok czarnego słońca i księżycy umarłego.

Wreszcie:

— duża sklepiona sala. — Wokół okrągłego stołu mężczyzn zasiadło dwunastu i niewiasta jedna. Rozmodleni; — w rozważaniu, w nasłuchiowaniu skupionem i decydującem. — Ręce ich na wysokości głów wzniesione, dłonie zwrócone na zewnątrz, zamedytowane, wyczekujące. Nad każdą głową unosi się płomyk, jakoby światło świecy oderwane od knota; — tak to tam drży nad tymi ludźmi tajemniczo, niepokojąco, ostatecznie.

Oto tym kształtem podąża karta po karcie w nowym wciąż wykresie, żywa, pobudzająca.

Sporo czasu potrzeba zanim się wszystkie te obrazy na lewą odwróci stronę.

Mikołaj jest już zmęczony.

Składa więc ten stos „przeczytany”.

Schodzi z krzesła.

Sadowi się wygodnie w rogu kanapy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O OGNIU, ŚWIECIE I POSTANOWIENIACH

Wiadomo; teraz ojciec zacznie opowiadać. Nie trzeba ani prosić, ani przypominać — cierpliwie jeno czekać; nawet niedługo; chwileczkę.

Po głowie snują się postacie co dopiero widziane. Rozmaicie — a już inaczej i w różnych układach. — Dwie były rzeki, dwie; jedna, nad którą gołąb siał promienie, druga, której wzburzonym nurtem kołyska z dzieckiem i pies z budą w bezratunek płyną; — dwie to były rzeki? — czy też jedna tylko? — A co będzie, gdy ów jeździec straszny, co to dziewczynkę modrooką porwał, nad brzegami zjednoczonych już wód przystanie?

Niewiadomo.

A dobrze byłoby wiedzieć.

Wszystko płacze się i zaplata jak we śnie.

A tu już poprzez ciszę dogasającego paleniska, poprzez krąg żółtego światła lampy i poprzez tę ciemną oddaloną, przyścienną — kochana dłoń kładzie okulary na stole obok rozwartej książki, przeciera oczy, zaplata się z drugą — — z zaplecenia podnoszą się palce serdeczne i uderzają kilkakrotnie o powierzchnię ręki.

To jest znak nieomylnie pewny.

Zaraz się zacznie.

I rzeczywiście.

Wyczekiwane słowa wykreślają kontur i znaczą barwę skojarzeniom dziecięcym, przystosowującym się mimowolnie do zdarzeń, postaci i topografii zaznawanych codziennie.

....był taki czas, że ludzie nie znali ani światła, ani ognia; źle im się powodziło; było zimno i ciemno; boć przecie słońce zachodzi i niezawsze grzeje....

....a żył wtedy człowiek mądry i kochający ludzi; ciągle też myślał o tem, jakby im pomóc, jakby ich obdarzyć ciepłem i światłem....

....ludźmi rządili wtedy bogowie; mieszkali oni na górze wysokiej; mieli i światło i ogień....

....człowiek bliźnich kochający wiedział o tem....

....pomyślał sobie: tylko stamtąd mogę ogień przynieść....

....nie bacząc na niebezpieczeństwa, na które narażał się dobrowolnie, wybrał się w daleką, nieznaną podróż....

....za przewodnika miał jeno tę chęć zrobienia dobrze braciom i siostram....

....szedł bardzo długo....

....góra, na której bogowie mieszkali, była daleko....

....zmęczony, wygłodniały, spragniony — znacząc za sobą krwawy ślad poranionymi stopami

dotarł wreszcie tam, gdzie płonęło wielkie ognisko w nieprzejrzaney nocy....

....wiedział-ci on człowiek dobrze, że bogowie nie dadzą mu ani jednego węgielka....

....o tem wiedział dobrze....

....byli oni bogowie bowiem tylko wyobrażeniem samo-sobie-spełnienia doczesnych żądź ludzkich....

....znał ich....

....zaczekał tedy na chwilę sposobną....

....gdy uwaga bogów zajęta była długiem opowiadaniem o walkach olbrzymów, gdy wszyscy skupili się obok tronu władcy swego i słuchali z zaciekawieniem dużem — podsunął się do ogniska — prędko uchwycił płonące polano i pobiegł zpowrotem do braci swoich i sióstr drżących na chłodzie nocy....

....lękał się wielce, by mu ten ogień zdobyty nie zagaś; biegł szybko, a powiew chłodny żywił płomień żagwi jak właśnie trzeba było....

....szczęśliwie dotarł do pierwszych siedzib ludzkich; — kazał nązbierać mieszkańcom chrostu i drzewa — rozniecił duże ognisko i wszystkich ogniem obdarzył....

....radość to była duża, uciecha wielka....

....ludziom stało się na świecie jaśniej i cieplej — i sam świat stał się jaśniejszy i cieplejszy....

....ale nie koniec na tem....

....gdy bogowie zobaczyli pośród ciemnej nocy płonące na ziemi ogniska liczne, jakoby gwiazdy

nowe i nieznane, zdumieli się i rozgniewali strasznie....

....samolubstwo jest zazdrosne....

....dowiedzieli się też rychło, kto tę przysługę ludziom i w jaki uczynił sposób....

....postanowili się zemścić....

....zazdrość jest skora do zemsty....

....pochwycili więc onego człowieka, który bliźnim dobrze uczynić chciał i uczynił....

....zemsta silnych jest sroga....

....przykuli go olbrzymiemi łańcuchami do niebotycznych, dalekich skał....

....i rozkazali orłowi wielkiemu o okrutnym zakrzywionym dziobie, aby zlatywał do spętanego codziennie i wyżerał mu wątrobę....

....cierpiał odtąd męki przeraźliwe....

....wątrobą za bogów zrzędzeniem odrastała mu codziennie, codziennie też orzeł miał świeży żer....

....bogowie okrutni, wiedząc, że się nikt nie odważy, orzekli, że ów człowiek może być z mąk, na które go skazali, zwolniony, jeśli go ktoś z ludzi z więzów uwolni i orła zabije....

....i znalazł się taki odważny....

....dotarł do onego miejsca niedostępnego dla niewytrwałych, orła zabił, człowieka z więzów uwolnił....

....ludzie z wdzięcznością wspominają tych mężów dostojnych i czczą ich pamięć....

Cóż Mikołaj ma rzec? — nic!

Słucha, słucha, słucha — i wie, że gdyby nie „tamten“, nie byłoby ognia w piecu, byłoby zim-

no, lampaby nie świeciła, byłoby ciemno —
a on, niby Mikołaj, nigdyby się o nim i o tym dru-
gim odważnym nie dowiedział, bo istnieją tylko
przez to co zrobili; — i już całkiem mglisto rodzi
się myśl w żadne słowa nie ujęta, że trzeba, że
musi, że bardzo chce zrobić coś takiego, ale to ta-
kiego, żeby ludzie — — żeby on — — żeby być
zawsze, zawsze —

ROZDZIAŁ ÓSMY

O ZAKONNIKU, KTÓRY ZABIŁ SMOKA I CO Z TEGO WYNIKŁO.

A znów było tak:
...w kraju niejakim, około wielkiego miasta,
koło stolicy, zjawił się straszny smok...

...był większy niż nasz dom....

....cały pokryty twardą łuską jakby blachą....

....oczy miał wielkie jak talerze....

....z pyska zionął ogniem i dymem smrodli-
wym....

....smok ten pożerał ludzi i zwierzęta....

....dla miasta nastały czasy ciężkie, złe; nikt
nie mógł wyjść za mury obronne; kupcy i podró-
żni nie mogli wjeżdżać do miasta....

....smok czatował, strażnik straszliwy....

....kilku odważnych młodzieńców wybrało się
szumnie, a zbrojno: na zabicie smoka wyruszyli —
nie powrócili w progi swoich domostw; smok ich
pokonał; pożarł ich smok...

....a był tam w tym grodzie klasztor stary,
wielki i piękny i sławny....

....mieszkali w nim mnichowie bogobojni, bo-
gomodlcy zacni....

...rozmaici: starzy i młodzi, sędziwi i wiośniani...

....pośród tych młodych było kilku, którzy palali szlachetną żądzą wyzwolenia miasta od strasznego smoka....

....tak też w tym zamiarze chcieli się wybrać na wyprawę przeciw szkodnikowi, gnębielowi ohydnemu....

....dowiedział się o tem przełożony ich, sędziwy, świątobliwy przeor; — rozważył sprawę w duchu swoim, w modlitwie i postach oświecenia Bożego poszukał....

....zgromadził ojców i braci; — do zebranych tak przemówił:

wiadomo nam jest, że poniektórzy z was, w szlachetnej żądzy wyzwolenia miasta od strasznego smoka, zamierzają się wybrać przeciwko niemu tusząc sobie zwycięstwo i sławę. Rozważyliśmy tę sprawę, z pomocą Bożą w sercu naszym dokładnie, przeto zakazujemy wam, a do was młodych i krewkich przedewszystkiem słowa te stosuję, myśli tych i zamiarów żywić — zakazujemy w imię posłuszeństwa świętego....

....i mówił dalej:

dosyć-ci jest dziarskich rycerzy świeckich; ich to rzemiosło; niechaj walczą, niechaj zwyciężają; waszą sprawą modlitwa, pomoc duchowa, posłuszeństwo i pokora; insza sprawa wroga cielesnego, insza dusznego....

....tak to przemówił do zebranych świątobliwy przeor....

....aliści pośród młodzieży mniszej był jeden, który za wszelką cenę postanowił miasto od straszego niebezpieczeństwa uwolnić....

....rzekł sobie tedy: albo zginę, albo zwyciężę; — zginę-li — Bóg Wszechwiedzący osądzi czyste zamiary moje; — zwyciężę-li — jakoż przeorowi srożyć się na mnie, wobec jawnej dobroci i korzyści czynu mego?....

....w tajemnicy przed przeorem, ojcami i braćmi, pracował i mozolił się nocami nad zrobieniem z drzewa, żelaza i materji różnej kunsztownego zwierza - potwora na obraz i podobieństwo owego smoka....

....w pysku rozdziawionym pośród kłów długich i ostrych jak żegadła umieścił palenisko, które płonęło i dymiło szkaradnie....

....oczy, świecące złowrogo, sztucznie na sprężynach i mechanizmie przemysłnym osadził, że nakształt wahadła zegarowego w prawo i lewo się tocząc, ziorały przeraźliwie...

....a czynił to wszystko dla tego, aby konia i psy do straszego widoku potwora przyzwyczaić....

....tygodniami, miesiącami trwała ta tajemna robota....

....tymczasem dochodziły do klasztoru wieści coraz groźniejsze i okropniejsze o spustoszeniach, które smok w okolicy czynił....

....coraz nowe ofiary padały, coraz więcej ginęło ludzi....

....zarliwa bestja pastwiła się srogo w bezkarności coraz zuchwalsza....

....zakonnik podwoił swoją pracę zabiegliwą — i trzeba to powiedzieć: z dobrym skutkiem; już i koń i psy zażarte nie lękały się widoku potwora; o ile przedtem cofały się ze strachem, parszaniem, wyciem, drzeniem i jeżeniem sierści, o tyle teraz nacierały na piekielnika śmiało i odważnie wedle rozkazu....

....tak-ci więc wszystko godnie i roztropnie przygotował, zwierzęta do srożyzny zaprawił, sobie broń i zbroję najodpowiedniejszą wedle mniemania swego wymyślił i przyładził....

....gdy już do ostatniego szczegółu sprawę przygotował — rozumiał, że czas nadszedł....

....zaniósłszy do Boga modły płomienne, dnia któregoś o przedjutrzni, gdy wszyscy jeszcze spali, niepostrzeżenie i cicho wyjechał z murów klasztornych bramką tajemną i skrytą....

....wybrał się na poszukiwanie smoka....

....straże miejskie przepuściły go łącno, dziwiąc i cudując się wielce tej odwadze szaleńczej; oddawna nikt poza bramy miejskie nie wyjeżdżał...

....skrzypnęły w zawiasach rdzawych olbrzymie brony miejskie i zawarły się zpowrotem....

....zakonnik ostał sam w pustej przestrzeni; jedynemi jego towarzyszami w tej groźnej samotności był wierny koń i wierne psy no i ten wiatr odbijający żałośnie boki o stare szerniałe mury....

....okolica była posępna i ponura; bezludna, bezgłówna i opuszczona; na sierocej przestrzeni nie ujrzałeś ani człowieka, ani zwierzęcia, ani domostw, ani zagród, ani osiedli; nawet ptaki omijały zapowietrzzone strony; nawet drzewa, jakby smrodliwym wyziewem zatrute stały nagie, bezlistne, chore, rozpaczliwe....

....smutek zakradł się w serce młodzieńca; pomyślał: zaiste nieroztropnie postąpiłem....

....lecz nie było czasu już na smutek! nie było....

....z poza zwału skał porwanych wysunął się z rykiem przeraźliwym pomury władca pustkowia, straszliwy smok....

....zadrżało mężne serce młodzieńcze....

....zebrał się jednak w sobie, odwagę w duchu wzbudził, mieczem znak krzyża na powietrzu uczynił i ruszył naprzód śmiało i pełen otuchy....

....a to i koń zaparskał rażno i bez lęku naprzód się posunął, a to i psy z bełkotliwym ujadaniem na wroga pomknęły złe i rozsierdzone...

....lecz nie uląkł się i smok dufny w swe siły i przerażenie, które rozsiewał, w swój wzrok, którym ubezwładniał, w ogień, którym prażył, w wyziew, którym truł....

....starli się tam wtedy na błoniach miejskich o szarej godzinie przedświtania....

....rozpoczęła się walka na śmierć i życie....

....psy natarły odważnie, dobierając się do smoka, a choć się tam mocne ich kły ześlizgiwały

po twardej łusce, to jednak zmuszały smoka do oganiania się ustawicznego....

....koń sprawnie wyćwiczony podsuwał się napastliwie pod bok jaszczura, unikając złowieszczej paszczy i zabójczego ogona....

....tak też w tej zamieszce, w której każda sekunda rozstrzygała o klęsce lub zwycięstwie, zdarzyło się szczęśliwie, że w chwili sposobnej zdołał zakonnik wbić dzidę ostrą i długą w brzuch smoka....

....dzida przeszła wnętrzości i utkwiała w złem i gniewnem sercu....

....smok wydał z siebie ostatni ryk tak okropny, że koń i psy odskoczyły przerażone, ziemia zadrżała, a echo poniosło ten gromowy rechot po górach dalekich, niecąc wszędzie trwogę wielką....

....smok padł....

....wtedy podsunął się powtórnie mniszy rycerz, zeskoczył z konia i jednym cięciem odlewnem miecza odrąbał łeb potworowi....

....łeb przytroczył do siodła powrozami silnymi...

....ruszył zpowrotem ku miastu pełen w sobie rozmodłonej światłości i dziękczynienia radosnego....

....przecież uwolnił ludzkość od strasznej grozy, która ciążyła nad ich życiem dniem i nocą od tvgodni, od miesięcy, od lat....

....tymczasem czynił się już świt różowy....

....zdumiała się straż przy bramach — oczom
własnym nie wierzy — więc wraca śmiałek?! —
ze zdobyczą przytroczoną wraca?! —

....w mieście ruch się poczyną....

....przystają przechodnie, nasłuchują....

....nikt nie wie dlaczego — — słuchają —
a przecucie radości nieśmiałe rośnie w nich
z chwilą każdą....

....kto to tam jedzie — ?....

....otwierają się okna — zgrzytają okiennice,
podzwania szkło....

....już wszyscy wypatrują w tej ciekawości za-
rażliwej....

....lecz nic nie widać; — jeno słuch nie myli:
ktoś tam jedzie od bram — — niesie się twarde,
okute stąpanie podudniających kopyt po bruku:
tup, tup, tup....

....aż tu już krzyki triumfalne rozlegają się
zewsząd, zngała wyrosłe, gromkie....

....zauważyli już mieszkańcy jeźdźca i tę smo-
czą głowę wlokącą się za koniem....

....zrozumieli....

....wiwatują, klaskają w ręce, okrzykują —:
zbawca! wybawiciel! bohater!....

....kto tam na grodzkiej ulicy, kto żyw — ręce
wyciąga, modli się, imienia Bożego wzywa....

....wysypuje się z bram ludu mnogo....

....klękają w zwartym szeregu....

....uderzyły dzwony z wież kościelnych na Te
Deum....

....pochyla się tłum jak zboże pod wiatrem....

....rozmodlony w sobie spełnieniem wielkiego czynu zakonnik-rycerz, nie patrzy, nie widzi, nie słyszy hołdów....

....jedzie tą ulicą domow gęstych i gęstszego tłumu — uwielbienie rośnie po obu stronach jak krzewy róż czerwonych a wonnych....

....do klasztoru wprost jedzie....

....zasłyszeli już poranni mnichowie tego bicia dzwonów i gromkich, niezwyčajnych rozgwarów miejskich....

....co to może być —? — pytają....

....wysypali się przed krużganki klasztorne....

....sędziwy przeor zasłania dłonią oczy pod wschodzące słońce....

....patrz, deliberują, słuchają....

....a tu już stukot kopyt bliski, coraz bliższy....

....aż oto z za węgła tej wąskiej ulicy podwalnej i przyklasztornej wyłania się jeździec: psy po bokach zziajane, z wywieszonemi jęzorami, koń, znać, znużony lecz mądrą głowę krzepko niesie — kęs za nim wlecze się krwawiące brzemie łba okrutnego....

....mniszek-rycerzyk podjeżdża pod wrota....

....ach! więc to on! brat nasz! druh rodzony....

....po płytach kamiennych w brzęku gwiaździstych ostróg bieży ku gromadzie towarzyszy....

....przyklęka przed przeorem; mówi; mówi jak syn do ojca z potrzeby walnej wracający; radość drży w jego słowach: „wybawiłem miasto, zabiłem smoka, łaska Boża była ze mną“....

....zdejmuje powoli hełm, u kolan na posadzkę kładzie....

....przeor schyla się nad klęczącym, ręce białe i drżące na głowę mu kładzie; dotknęły chłodne dłonie zlepionych znojnym potem włosów....

....modli się przeor, choć nieme na pozór jego wargi....

....zakonnicy z grozą i z wymianą zdumionych okrzyków przyglądają się smoczej głowie....

....wymówiły szeptem przeorowe usta: wstań synu! — tak jest jako mówisz. łaska była z tobą: — lecz pomnisz ty zakaz mój —? —....

....schylił powstały z klęczek głowę bardzo nisko....

....tak jest, jako mówisz: łaska Boża z tobą była, lecz nie było w tobie posłuszeństwa, nie było w tobie, synu, pokory....

....skupiają się wokół nich mnisi gromadą białą; słyszą te wielkie słowa, ważą ich ciężar....

....ktoś krewciejszy krzyknął: miasto on zbawił!....

....spojrzały na niego starca oczy ojcowe....

....zamilkł, za plecami braci się ukrył już przerażony świeckością swego pomyślenia głosego....

....a przeor mówi:

i w mojem sercu radość z wybawienia jaśniej — lecz, iż nie byłeś posłuszny, skazując na karę bezwzględnej samotności, byś wszedł w siebie, a pokutę czynił i przetopił osobowość swoją na wolę

zbiorową, na zbiorowe modły duchów —
a będzie trwał ten czas kary i pokutowa-
nia roków sześć —

...do otaczających go rzekł tę przypowieść:
— „jeśli wół podda głowę pod jarzmo, wówczas
orze dobrze ziemię, która wydaje plon dobry
w swej porze. Lecz jeśli wół włoży się samo-
pas, ziemia pozostanie bez uprawy ugora i nie
wyda w lecie owocu swego. Tak samo zakonnik,
który podda głowę pod jarzmo posłuszeństwa,
przyniesie Panu swemu wiele owoców w swej po-
rze. Lecz ten, który nie jest z dobrego serca pod-
dany przełożonemu swemu, pozostanie jałowy
i dziki i bez owocu powołania swego —“ ...

...i dodał przypowieść drugą: — „Nikt dojść
nie może zgoła do świadomości i poznania Boga,
jeno mocą pokory świętej —; — podobna jest po-
kora strzale gromu, bo jak grom sprawia straszne
wstrząśnienie, łamiąc, miażdżąc i paląc, co na-
potka, a potem nic nie znajdziesz z tej strzały,
podobnie pokora wstrząsa, rozprasza, pali i po-
chłania złość wszelką i błąd wszelki i grzech
wszelki, a potem nic zgoła nie znajduje się w so-
bie. Człowiek, który posiada pokorę, zdobywa
przez pokorę łaskę u Boga, a spokój doskonały
u bliźnich —“ ...

Szybko zapadały te ciężkie słowa w toń czy-
stą duszy chłopięcej — bez zmierzwienia po-
wierzchni gładkiej — zapadały na dno —; — nie-
chybnie burze życiowe zakotłują przeżroczem do

podłóża i wydobędą skarby ukryte na wierzch. Dla pustych dusz zawieje gwałtownych boleści są straszliwością —: — dla zasobnych — objawieniem!

Bitym traktem dochodziła opowieść do mety:

....i stało się zadość wyrokowi surowemu....

....gdy tłum miejski z procesją wielką dotarł do murów klasztornych z hołdem i dziękczynieniem dla tego, który ich z grozy wybawił, już on mnich o mężnem sercu, zwycięzca i triumfator — w pokutnej szacie, na chłodnej posadzce w samotnej celi krzyżem leżał...

— Jakto? za to, że miasto wybawił, że smoka zabił —? — Żle przeor stary uczynił, źle, źle! — Żal mi dobrego mnicha, bardzo —

Mikołaj ma łzy w oczach.

Nie osuszają ich dziś słowa, rzeczzone jutru:

— Wielkiem bohaterstwem jest posłuszeństwo, pokora jest największem zwycięstwem.

— A co on robił ten zakonnik, tak długo przecież musiał być sam?

— ano modlił się i czytał wiele z wielkich, mądrych ksiąg, w których były duże, kolorowe litery, stronicę ksiąg były obrazami —

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O DZIWACH ROZMAITYCH I O KOSMOGRAFJI LITER I LICZB.

Kiedy to się stało? — którego dnia?
Już żadną miarą Mikołaj sobie przypomnieć nie może.

Dość, że był taki dzień, w *którym* — a wielkiej księdze to zawdzięcza (i ojcowej pomocy), w *której* były duże, kolorowe litery, w *której* stronice grube i twarde były obrazami — dość, że był taki dzień, w *którym* już dziwaczne znaki alfabetu udatnie i bez trudu łączą się z sobą i wywołują wyobrażenia n. p. stołu, igły, ucha, oka, gęsi, zająca, domu, ołówka, anioła i t. d.

Nic w tem dziwnego — w każdym razie nic dziwniejszego nad cuda-cuda, które we wszystkim kryją się, jednako tajemnicze w sprzętach, jak i w myśli, *której* niczem i nigdy zatamować nie można; — odmieńcowość prawdziwa! — jeśli całym wysiłkiem woli wstrzymasz wszystkie tłoczące się myśli, zostanie się ta jedna: „nie chcę myśleć”.

Cuda-cuda.

Wszędzie.

Naprzykład: mówisz o sobie „ja” — wszyscy ludzie mówią o sobie, poszczególnie, każdy: „ja”; — czyż więc nie są tacy sami, jednacy — nie sąż tem samem? — niema więc poszczególnych osobowości, a jest jeno suma jedności, która myśli zapomocą liczności mózgów i czuje licznością serc. — A może „to wszystko” jest tylko w głowie i sercu jakiegoś olbrzyma, tak wielkiego, że

Albo i taka sprawa: — „tatusiu co jest za gwiazdami” (a już wie, że gwiazdy to takie słońca „jak nasze” i ziemie takie „jak nasza” tylko o wiele, wiele większe!) — ? — „za gwiazdami? — mówi ojciec, ano znowuż gwiazdy”; — „no a dalej?” — „przestrzeń i nowe światy” — ; — „a nigdzie tam niema muru?” — „nie! a choćby i był, to za nim znów to samo bez końca”. Więc — bez końca! Bez końca ta wielkość! — i nietylko wielkość; małość tak samo — myśli — gdybym podzielił ziarno pszenicy na miljon części, a każdą z nich znowuż na miljon — i tak wciąż — to zawsze jeszcze będzie „coś” a nigdy „nic”.

Cuda-cuda!

Kronikarz musi tu, w tej subtelnej materji niedomyślenia używać słów „dorosłych”, bardzo zaciemniających sens dziecięcych rozważań szybko zapominanych; rady na to niema; — przecudowna moc słowa nie może jednak dać zapachu, może jedynie wywołać wrażenie

jego, tak jak się duchy wywołuje. Myśl jest zapachem ducha.

— Litery!

Pomińmy ich kształty, które są szczytami domów, drabinami, kołami, gąsienicami, stołami, ławkami, drzewami — dla Mikołaja żyły poza tem jeszcze barwą! — Barwą poszczególną: czarną, białą, różową, niebieską — oraz barwą ogólną: — gdy ustawił w myśli wszystkie litery alfabetu, otrzymywał szereg znaków płynący z g ó r y w d ó ł — szereg o barwach wtopionych, w których A poczyniło szarą gęstą purpurą nikałą w przemocy dalszych kolorów wielorakich, aż po zieleni Ż.

Nic miłszego jak zmusić się do jak najprędszego wyobrażenia sobie szeregu liter — aż tu już wyskakują one jak klawisze — uderzają barwne, zmienne młoteczki w struny - miejsca nieokreślonej przestrzeni wyznaczone im od wieków — i kolorami pieśń grają nad wszelkie pieśni piękniejszą; pieśń barw.

Dzięki tym to założeniom odczuwanym samorzutnie pierwsze tajniki wiedzy czytackiej odkrył Mikołaj łatwo, sprawnie i niewysiłnie.

Zgoła inaczej pisaną historję (i słusznie!) miały liczby.

Były bezbarwne — to znaczy — nieżywo-barwne — niema bowiem s p r a w w e w s z e c h -świecie bezbarwnych.

Liczby były blado-popielate.

Treścią ich jednak, istotą — był wykres graficzny.

Droga ich doznań była rysunkiem bardzo z początku wyraźnym, w miarę oddalenia się coraz mglistszym aż po przestrzeń właśnie blado-popielatą rozlaną jak zamarłe morze; przestrzeń ta bytowała poza gwiazdami widzialnymi.

Rysunek ten przedstawiał się mniej więcej tak: (— zaczynać należy naturalnie od jedynki—)

									i t. d.
									99 100
								70 80 90	
41	i t. d.	49	50	i t. d.	60				
40								d. t. i	30
								i t. d.	
									21
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*KTÓRY JEST DALSZYM CIĄGIEM ÓSMEGO; MOWA
W NIM O JEŻU I ZAJĄCU ORAZ O MUCHACH LECZ
INNYCH NIŻ ZWYCZAJNE.*

Nie chce ci się spać jeszcze?
— Nie! — odpowiada z głębi kanapy sennie przeto bardzo głośno.

— Więc co? — jakże — ? —

— O jeżu, tatusiu, o jeżu koniecznie —

— Zawsze się te wieczory jeżem kończą;
niechże ci będzie —

Sadowi się Mikołaj jeszcze wygodniej (jeśli to możliwe) — poprostu zrósł się już z kanapą w tem dopasowaniu ciała ze sprzętem.

A więc tak:

....było to w ciche, słoneczne popołudnie niedzielne; tak jakoś w połowie czerwca; żyto już wykłoszone po okwicie; ziemniaczyska zielone, bujne, tu i tam zakwitające biało i liljowo...

....miedzą śródpolną spacerował sobie jeż; zwyczajnie, dobry gospodarz, w niedzielę przy wolnym czasie po chudobie swojej chodzi...

....poważny; pełen namysłu; w świeżej, białej koszuli; kamizelka rozpięta; spodnie w buty wpuszczone....

....ciepło; słonko dogrzewa; — będzie długa pogoda, może aż do żniw — ; — daj Boże dobrze zebrać, szczęśliwie sprzątnąć....

....przystaje, medytuje; — ziemniaki, chwalić Boga, niczego; — środkiem trochę wymokły, ale się tam może zbiorą w tej pogodzie czerwcowej....

....koniczyna jak las, jak las! — pałczy się wyśmienicie; tę z kraja trza będzie na nasienie zostawić; jużby ją zesiec nawet można dawno, ale ona tu w cieniu, przez to taka opóźniona...

....tak sobie to i inne rozważa....

....aż tu z poza pagórka drożyną wijącą się wśród pól schodzi sobie dziarskim krokiem, sprężystym krokiem pan zając....

....ubrany elegancko, co się zowie; fraczek, hajdawerki, żabot, cylinderek na głowie pośród uszu zamaszystych na sztorc nastawionych zuchwale, pod pachą laseczka, szkiełko w oku, wąsiki nasrożone — krótko mówiąc paniczek z tych, co to z marymonckiej mąki na wolnym ogniu pieczenia....

....bardzo pewny siebie spoziera wokoło ciekawie, a stawia kroki duże; — wyrzucają się boccianie skoki metrowemi odstępami....

....tak sobie idzie pogwizdując wesoło....

....dojrzał jeża na miedzy — głośno wita: dzieńdobry!....

....ano: dzieńdobry! — odpowiada jeż; trochę zpodełba patrzy na panicza; nie uzdał mu się ten fircyk z kretesem....

....przystaje zając, zagaduje: cóż wy tu robicie, gospodarzu?....

....ano, jak pon widzom, chodze se przypatrujący urodzajom....

....a czasu to tam macie dosyć — ha?....

.... ano dziś święto niedziela....

....a! choćby i nie niedziela — dużo czasu mieć musicie, bo, żeby takimi krótkimi nóżkami obejść choćby i takie maleńkie poletko — to na to trzeba dużo czasu! dużo! — strasznie krótkie nóżki macie gospodarzu, spójrzcie na moje, to są nogi! — co? — ha!

....mierzi taka przymowa jeża, ale odpowiada pojednawczo: pewnie, pewnie; panicz ta mają tyne (niby jak tyki) nogi — ale i ja na swoich przejdę ile mi potrza; jakie Bóg dał, takie mam, takimi chodzę....

....hm! no tak; pewno, pewno; no a tego, a jakże tam z bieganiem? nic? co? — nie da się, ha?....

....z bieganiem? — przypytuje jeż, niebardzo wiedzący, o co temu farmazońskiemu sufraganowi chodzi — z bieganiem? no cóż, ostatecznie, dlaczego....

....ostatecznie! — szydzi zając — ha! ha! ha! — ostatecznie! to mi się podoba, na takich nóżkach! — ha, ha, śmiać mi się z tego chce (w istocie nie śmieje się, jest poważny, jeno dolną wargę wysuwa pociesznie) — nieradzi słyszycie to słowo śliczne: bieganie! cud nie słowo! — ale rozumiem was, rozumiem! — za krótkie nóżki....

...tak od słowa do słowa, naigrawając się z je-
ża, wyśmiewając i drwiąc, zagadnął wreszcie
chwaligębek wymuskany: a możebyśmy się tak
spróbowali, kto prędzej — co?....

....a jeż na to: i owszem....

...i owszem? — ha, ha, śmiać mi się z tego
chce —;— więc załóżmy się....

....a jeż na to: i owszem....

...ha, ha, śmiać mi się z tego chce....

....no i co nie powiecie, założyli się -- jeż z za-
jaczem o beczkę kapusty się założyli, kto kogo
przegoni....

....dobrze!....

....ale co teraz — ? — Jeż zachodzi w głowę!
Słyszane rzeczy! Do czego to podobne! Jeż z za-
jaczem! Świat się kończy! — Głupstwo i tyle....

....a gdzież urządzimy tę gonitwę?....

....no tutaj — — ale wie pan co, panie zajac,
niech pan zaczeka na mnie; wstąpię na chwilkę
do chałupy....

....a dobrze, powiada zajac, byle to długo nie
trwało....

...zaraz wrócę, migiem...

....jeż chciał poprostu odwlec te „kumedyje”,
pomedytować, poskarżyć się i poradzić swojej żo-
ny jeżowej; zawsze co dwie głowy to nie jedna,
a babski rozum we wszelkiej turbacji grunt!....

....zaszedł więc do domu; mówi babie tak
a tak....

....baba w płacz! — Rajusci święte! — Skoda
becki kapusty! — czyś ty zwaryjował; dokrzyty ro-

zumu za grajcor nimos: ni mozno cie samego pu-
ścić ani na krocek! — Takiemu kurdupłowi do
zająca akurat pięś do nosa — ! —

....wyzywa, teremtetuje, ale już rozmyśla jak-
by tu złemu zaradzić; myśli, myśli, chodzi po
izbie wielkimi, głośnemi krokami, a ino myśli....

....stanęła wreszcie przed zmartwionym docna
mężem i mówi: — jest wyście! zratuje cie w tyj
biedzie, ale wiedz, ostatni roz! — trzeba mieć
głowe na karku....

....no cóz?

....teroz pięknie-ładnie „cóz, no cóz” —
a przedtem na swojom ręce tele głupstwa! — łot-
toj tak, uwazuj, uwoźnie słuchoj — ; — jak wszyś-
kim wiadomo, jezdeśmy do siebie podobni jak
dwie krople wody; zeby nie ubranie, toby nos
nikt nie poznoł, a i mybyśmy sie sami pomylić
mogli i dnia któregosik nie wiedzieć, które ty,
a które jo; w tem tyz cało rzec; zrobimy tak:
ubiere sie prędziusińko tak jak ty, wyjde tylnim
wyściem przez obore i przycaje się w bróździe na
zimniocysku; a ty pamiętoj, powies zającowi bes-
kurcji tak: bedziemy sie gonić i wyścigowa jak
sie rzekło; zgoda; ale ino w bróździe na zimnio-
cysku; tak mu powies; jesce nima tak zle, zeby
chłopski rozum, chodźzek ta baba, ale to wszyś-
ko jedno, takiej farfurze rady nie doł, rozumis?....

....rozumieć, rozumie — ale co z tego be-
dzie?....

... co z tego będzie? — hehe! — jo ci powiem,
co z tego będzie; dobrze będzie, słuchoj dalij; —

staniecie se na jednym końcu zimniocyska, ty w jedenj bróździe, zając w drugiej bróździe; — a jak padnie kumenda: roz, dwa i trzy — zając mój polec! — a ty nie leć! siedź se spokojnie jak na przypiecku; mój zając polec! —; — jak juz będzie przy drugim końcu, to jo sie wte odezwę: a jo juz tu jezdem —; — no i tak wygromy, bo nos zając nie pozno, boby nos i rodzono matka nie poznała...

... ucieszył się jeź; — wszystko dokumentnie zapamiętał, a, co ważniejsze; w głowie sobie powtarzał...

... wraca do zająca i mówi mu tak a tak: będziemy się, powiada, prześcigiwać w ziemniaczysku, bróždy są równiuteńkie, proste, wytyczone; najlepiej...

... w brózdach? — rzecze zając, niech będzie w brózdach; mnie wszystko jedno...

... jeź jeszcze mówi coś rozwlekłe, umyślnie słowa wydłuża, chodzi mu o to, żeby baba zdążyła na czas — a tylko uważa, czarnem okiem upatruje, w której bróździe jeżowa się przyczaja; żeby w tej samej cupnąć, a zającowi sąsiednią wskazać; — jest! — dobrze...

... ano, możemy...

... dobrze! — mówi zając — wysuwa dolną wargę: ha, ha, śmiać mi się z tego chce; — nawet laseczki nie odkłada, bo i pocóż? — żart przecie taka przegonka...

... ustawiają się, ten w tej, a ten w drugiej bróździe ...

... któż będzie liczył?...

... ano, niech pan liczą — mówi jeź...

... daję wam pięć kroków for, nie, dziesięć...

... e! nie potrzeba...

... ha, ha — śmiać mi się z tego chce...

... stają; — zając nie wysuwa, jak to w takich okolicznościach przepis każe, nogi naprzód, ale jeź też nie; — zając liczy: raz, dwa i trzy!...

... i puścił się brózdą; nie wysiła się, ale susy daje tęgie: takiego miglanca same nogi niosą...

... jeź nic; uszka po sobie; siedzi spokojnie, jeno ślepkami chytrze w wylot brózdę mierzy...

... dobiega sobie zając na drugi koniec pola, jeszcze jeden sus do mety, aż tu słyszy: a ja już tu jestem...

... spoziera zając, a tu rzeczywiście jeź siedzi w brózdzie; — to dziwne! — ha, ha, — śmiać mi się z tego chce! — ale to tak być nie może! za powoli biegłem, w tem sęk; spróbujmy zpowrotem, dobrze?

... dobrze, czemu nie...

... ale i tym razem lekceważy sobie zając jeża i jego krotkie nóżki — laseczki nie odkłada; — raz, dwa i trzy!...

... biegnie zając, ale już tym razem dobrze biegnie, cóż z tego! — jeszcze do końca nie dotarł, aż tu słyszy: a ja już tu jestem; — tak ten prawowity jeź mówi...

... czy cie lichy nadał! — chyba inkluza musi masz panie jeżu (— już mu mówi: pan —) — lećmy jeszcze raz; — jeź kiwnął głową, że się zgadza;

— zając odkłada laskę i kapelusz, poprawia kołnierzyk — a podczas tego mówi (nie śmiejąc się zresztą, jak to już ma we zwyczaju): ha, ha — śmiać mi się z tego chce!...

... no, już; — uwaga! — raz, dwa i trzy!!! — żżżuuu! — pędzi zając z wiatrem na wyprzódki; jeno słuchy na karku podskakują — duh! duh! łowią ostatniego susa słyszy spokojne stwierdzenie: a ja już tu jestem!...

... nie! tego już za dużo! — Jeszcze raz!!! — Gna więc raz jeszcze, a wyciąga skoki co siły, ledwo ziemi dotykają sprężyste stopy; wyrzucane grudki uderzają w liście ziemniaczane jak grad; — wszystko na nic! — jeż już tam był — więc jeszcze raz! — jeżowi to wszystko jedno; — godzi się — czemużby nie? — Więc od początku idzie zabawa!...

... przy dwudziestym piątym razie zając zemdlął z wysiłku nadmiernego, zaledwie zdoławszy wyszeptać z rezygnacją bolesną: ha, ha — śmiać mi się z tego chce...

... tak to wyśmiany jeż zakład wygrał...

Śmiał się serdecznie Mikołaj i powtarzał bezgłośnie wargami: a ja już tu jestem, i to drugie: ha, ha, śmiać mi się z tego chce!

Czekał skwapliwie na te słowa, choć je tak dobrze znał.

Lecz trwały te naśmiewy serdeczne mniej więcej do połowy opowiadania, a po połowie dobiegać

poczęły słowa z coraz dalszych i bardzo płynnych okolic. I to niewszystkie!

Właściwie nie były to już słowa, ale duże, złote muchy; coponiekture dolatywały i mijały ucho, nabrzęczawszy doń trochę połowicznej, złotej treści; inne zmęczone upadały z cichym brzękiem na parę kroków przed kanapą; kilka co silniejszych gramoliło się ospale po nogach mikołajowych, lecz wkrótce opadały bez sił, wlażyły pod kanapę i brzęczały pośród sprężyn; reszta zataczała mniejsze lub większe koła wokoło głowy ojcowej w kręgu żółtego światła lampy.

Coraz bardziej nacichały szmery muszych skrzydeł, przeloty umniejszały się, zwężały, aż i ustały zupełnie.

Jeszcze jedna nadlatuje, dogania ją druga — przeleciały — cisza. —

Znużona główka spoczęła na poręczy; nóżki podwinęły się, jakby w obawie przed muchami złotemi; rączki złożone pod głową.

Zasnął.

I tak było codziennie.

Nigdy właściwie nie doczekał końca tej nieustannej gonitwy.

Ale bo też tyle razy, tyle razy!

Gonią się i gonią.

Za dużo!

Stanowczo!

Za dużo!

A — ja — już — tu — jestem — —

Delikatnie i cicho rozbierał ojciec syna; bluzeczka, ach — te guziki! — spodenki; trzewiczki; pończoszki.

Teraz zanosí go do łóżka.

Na rękach budzi się chłopiec na chwilę.

W teŹe chwili zapomina o tem przebudzeniu.

Uśmiecha się.

Śpi dalej.

Śpi już na poduszce pod kołderką — wespół z tym uśmiechem rozumiejącym łaskę serdecznej opieki i bezpieczeństwa.

Uśmiech ten przetrwał noc, a rano był taki sam świeży i rzeŹki jak z wieczora.

Krzepiła go rosa snów.

Jedyny to uśmiech, który nie więdnie zbyt rychło.

KSIĘGA TRZECIA
DZIADÓWKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PRZEZNACZONY SPRAWOM KUCHENNYM. OŚWIE- TLONYM ŁUCZYWEM.

Z pokoju ojcowego do kuchni szło się przez dużą sklepioną sień, wydłużoną naprzestrzał przez cały dom.

Na prawo była brama wchodowa (do parku), na lewo wyjście do sadu z gankiem na dwu słupach wspartym.

Tuż przy drzwiach pomykała ku górze klatka schodowa wąska, ciemna i, powiedzmy otwarcie, dość straszna; — za duża przestrzeń, za dużo schodów, za wielka cisza — no i ta niemożność spamiętania niezamieszkałych pokoi na piętrze.

Kuchnia znajdowała się w głębi sieni obok onej bramy sadowej.

Była to izbica duża, bardziej długa niż szeroka; posadzka kamienna; małe ciemne, twarde, dudniące kwadraty.

W głębi mrocznej bieleł się olbrzymi piec z okapem opadającym niezgłębioną, czarną czeluścią na palenisko, na którym stał żelazny trójnóg; stawiało się na nim garnki i rondle. — Z boku rozpierał się piec chlebowy o podwójnych blasza-

nych drzwiczkach — pod nim tajemniczy otwór, w którym mieszkała para jeży, a w miesiącach przedletnich kwoki z kurczętami. Po stronie przeciwnej jedna nad drugą — tak zwane — „rury” do pieczenia ciast, zwłaszcza kukielek na Boże Narodzenie i bab na Wielkanoc; pod niemi (rurami) kocioł z kranem mosiężnym; w kuchni jest zawsze poddostatkiem wody gorącej.

Strop belkowany, ciemny, odymiony; osobliwością jego cztery z belek onych zwisające krzyże podtrzymujące deskę, na której piętrzą się piramidy niecek słomianych.

Okno było jedno, głębokie, zakratowane; na szerokim jego parapecie stały doniczki z mirttem, fuksjami i begonjami o dużych liściach plamistych, zjadliwie kolorowych. Fuksje miały drabinki, po których sobie wylażyły na wyższy szczebel kwitnienia.

Na ścianie przyokiennej stół stoi szeroki, dębowy, na krzyżownicach spiętych mocnymi klinami; obok ławy, stołki, szafa.

Nieco dalej łóżko sosnowe z niesłychaną ilością czerwonych, aż po powalę pietrzących się pierzyn i poduch.

Zapach kuchni łączył w sobie sposobem swoistym aromat chleba razowego, dymu smolnego i kiszzonej kapusty.

Okno, jako się rzekło, było jedno; patrzyło w sad, który wysuniętą pozycją żywopłotu grabowego podchodził pod sam dom; przeto też w kuchni było mroczno i zielenieście.

Drzwi dwoje; jedne z sieni wielkiej, drugie z sionki podwórzowej — te obłożone były warkoczem słomianym zabezpieczającym przed chłodem, który pchał się od wczesnego przedjesienia do kuchni uparcie.

Klamki (żelazne) u drzwi tych były popsute należycie, tak, że jedynie podnosząc je nad podziw, niebywale wysoko — można drzwi zamknąć; — ponieważ niekażdy, kto nimi przechodził miał wytrawną cierpliwość, względnie wyrobioną świadomość, jak to należy manipulować temi osobliwemi klamczyskami — przeto też często - gęsto drzwi naoscież były rozwarte. — Wtedy to jaszkrawo wychodziła najaw względna użyteczność warkocza słomianego; — pożytek jego był ściśle związany z problemem drzwi zamkniętych; w przeciwnym razie był ozdobą, pozostałością obyczajową, zagadnieniem naukowem.

Nad stołem wisiał zegar wahadłowy; tarczę miał kwadratową z owalnem u góry zakończeniem, na którem rosły dwie płomieniste róże zaplecione w sześciolistny wian: liście ostro ząbkowane; — wskazówki czarne, czarne liczby: czarne i rzymskie. — Z trzykrotnie przedziurawionej deseczki spodniej spływało środkiem na długim drucie wiążące mosiężne wahadło, strzeżone rozważnie z dwu stron przez łańcuszki i ciężkie kilowe wagi zwane tutaj szyszkami.

Zegar ten chodził powoli i głośno; godziny wybijał chrapliwie, krztuszac się i kaszląc przeraźliwie; godzina dwunasta była dlań godziną męki.

Przy piecu wisały na ścianie wieszaki, a na nich sprzęt kuchenny: garnki, rondle, formy babkowe, t. zw. „blachy” — podłużne, prostokątne, kwadratowe, a nawet owalne.

Pokrywy miały osobne pomieszczenie, a tak przemyślnie, że od największej, objętości miednicy, wznosiły się w górę stożkowato coraz mniejsze, aż do maciupkiej zdolnej nakryć zaledwie mały kubek lub szklanekę.

Pod tą piramidą wisały łyżniki drewniane, rzeźbione w gwiazdy i liście; tkwiły w nich łyżki blaszane, drewniane, chochle, rogaliki, czerpaczki i warzechy.

Łyżniki stowarzyszały się bezpośrednim kontaktem z drewnianymi solniczkami, na których również, lecz już nie sposobem rzeźbionym, a wypalonym, gnieździły się gwiazdy i liściło listowie.

Garnki!

Kształtów, materiału, barwy przeróżnaitej! I tak: olbrzymie, brzuchate, dwuuszne, gliniane o polewie brązowej, metalicznej, zaciekającej w wypalenisko matowe i szorstkie; — inne w formie dzbanów pękatych, zwężonych okrajem, zdobne na wybrzuszeniu linją wężową; kamienne, ciężkie, o refleksach fioletowych, bez ozdób; czarne, żelazne z białą wewnątrz polewą; cynowe, blaszaróżnolitej od nabieraczków po kotliska na warzę różnolitej od nabieraczków po kotliska na warzę dla krów i świń.

Spokrewnione z garnkami blisko — miski głębokie, zasobne, oparte dnem o ścianę patrzą zcu-

daczenie wnętrzem, które całe jest wielkiem okiem, na kuchnię i jej ważne dzieje.

Oczy mich zdobne bogato: węzowe zakrętasy, cygańskie drogi, palmety, słońca, gwiazdy, listowie, kwiaty, kogutki.

Osobny dział stanowią garnuszki porcelanowe na półce odświeżnie ustawione; białe są i ilustrowane; płoną się na nich maki, modrzeją bławaty, czernią napisy: „pamiondka z odpustu“, pamiondka z Kalwaryi“, „pamiondka z misyi“; na poniekórych portrety osób panujących ongi daleko i wysoko.

Cóż jeszcze?

Przy drzwiach podwórzowych stała beczka stulitrowa nakryta denkiem z rękojeścią.

W rzeczy: stągiew z wodą potrzebną.

Beczce dotrzymywały towarzystwa konewki stare, żółte, wyszczerbione i nowe, zgrabne, białe. Obok na ścianie drewniane nosidło z żelaznemi hakami.

W tem to miejscu kamienie posadzki były stale mokre.

Ostrzegała, gderliwa Antonina, ostrzegała nie raz, nie dwa, codziennie:

— Co sie tyz nie nagodom: łostroźnie z wodom; wszyśko na nic! Jakbyś do kamieni godoł, a i une byłyby więcy usłuchane! — Któz zaś tyj wody haw tele naloł? — do łodmieńca!

Pytanie było bezcelowe, przyklęcie retoryczne. Mokrość ostała — zawsze znaczna.

Nie było na to nijakiej rady.

Głucha wieść mówiła o duchach osobliwych, nieprawych dzieciach topielca, które ponoć na obraz i podobieństwo kijanek dużych, jeno że niewidocznych, pozwalały się nabierać wraz z wodą rzeczną, źródlaną, a zwłaszcza z deszczówką — a potem już w beczce zamieszkawszy, w złośliwym igraniu wychlustywały wodę na kuchnię.

Mogło przecież i tak być.

Ponieważ kuchnia stale przez ten sad zagładający natrętnie i zbyt blisko ćmiła się i mroczyła — przeto paliła się pod dwoma obrazami: Sercem Pana Jezusa i Sercem Matki Boskiej, dzień i noc lampka oliwna.

Niewiele tam to czerwone pełgotanie dawało świetlistości; wierę; mało; — wrażenie zastępowało, jak to często bywa, rzeczywistość; więc zgódźmy się, że było jaśniej przez tej lampki oliwnej czerwoną aureolę; — najdrobniejsza bodaj wiara nikomu jeszcze nie zaszkodziła, a pomogła wielu.

Wieczorem rozświetlano wczesne — na pełnem nawet lecie wczesne mroczności — łuczywem; — płonęły żwawie ogniki na trzaskach jałowcowych i jodłowych zatkniętych na polepie pomiędzy cegły.

Chociaż -ci już znane były, moj Ty miły Boże, świece, a nawet zgrabniste lampki naftowe z okrągłym, mosiadowym reflektorem — Antonina wołała łuczywo; — bezsprzecznie światło łuczywowe jest bogobojniejsze, naturalniejsze, bardziej ludzkie zarazem.

Ale...

Wszystko zresztą jedno!

Tak było, tak być musiało.

Niejednemu też z wsiowych wydało się dziwnem, że to w tej dworskiej kuchni łuczywem świecą.

Lecz ci wsiowi byli już nowego gatunku, miejskim chlebem zepsuci; — zdanie ich Antonina miała sobie za nic.

Pan Michał zaś dawno już ręką machnął na tę sprawę — może i nawet rad tej uroczej i wonnej prostocie.

Zresztą nigdy nie wypowiedział się o tem jasno.

Jasnem bowiem było tylko to jedno, że Antonina gazdowała w kuchni samodzielnie i udzielnie! — Bo i któż? — może Jasek Zając? a może Wojtek Moskwik? — ech! dajmy spokój! Nie mąćmy wody.

ROZDZIAŁ DRUGI

*MÓWIĄCY NIECO WIĘCEJ O ANTONINIE I O JEJ
MŁODOŚCI PONIKWIAŃSKIEJ; O NIEPILIM OGRO-
DZIE I CO O TEM SĄDZIŁ KŁUSOWNIK NIEJAKI*

Była ta Antonina (— pisała się, a raczej pisano ją, rzadko zresztą po chrzcie świętym, Brańka — onego panieńskiego przydatku „ówna“ — nigdy zbytnio nie forytując —) już wtedy lat bezmała około siedmdziesięciu.

Nie metrykalna to zresztą wiadomość; — wnioskować jeno można było z dużem prawdopodobieństwem, że, jeżeli wtedy, gdy wojska węgierskie „stały“ w Wołkowicach, a było to w roku tym a tym, Antonina była już dziewczuchą setną, zachodzącą do tego obozu madziarskiego po „zupę“ (rozdawali tę bryję ludności — kto chciał ten brał) — więc musiała mieć lat przynajmniej tyle a tyle, że zaś teraz mamy rok boży ten a ten, więc rachunek jasny, że — i tak dalej.

Była Antonina Brańka, pod on czas spraw naszych, mała, przygarbiona, pomarszczona jak jabłko, które się w słomie zawieruszyło i przetrwało „do nowego“; — była siwa — nazywano ją też pospolicie Siwulą; — strasznie tego nie lubiała.

— Jo ci dom psiąkrew Siwule, beskurcyjo jedna zatracono.

Więc ją też, że to wyśmiewności zmysł na wsi jest bardzo duży, nazywano mianem drugim: „Psiąkrew”; — to gniewało ją jeszcze bardziej.

Ludzie już tacy są.

A przecież z wieku i godności no i z tej pracy zabieglivej należało się jej szlachetne miano gospodyni.

Zresztą nazywano ją i tak, ale to raczej przez użyteczne pochlebstwo, na którem się przez wrodzoną, słodkim słowem nieuśpioną podejrzliwość chłopską i góralską snadnie poznawała; brała je jednak za dobrą monetę, krzepiąc jeno w sobie ostrożność.

Czasem to i lepiej tak.

Wzwyż trzydzieści lat służyła już u „prefesura”, a może „prefesur” u niej? — to się nieda. tak raz-dwa rozstrzygnąć, zważywszy, że niezawsze widoma, nominalna władza jest władzą istotną; bywa czasem i wręcz przeciwnie; ogółem należy władzę uważać za niewidoczną i nieuchwytną; władza widoczna spełnia raczej rolę celownika, w który rzuca się żalem, niezadowoleniem, gniewem, pogardą! — Lecz rozpacz szuka już bardziej nieuchwytniej niewidoczności; dlatego też trafia zazwyczaj w centrum właściwe, co tak dobitnie i przekonywająco najaw wychodzi podczas rewolucji.

Rzeczona Antonina Brańka panowała w kuchni, panowała na podwórzu, panowała w stajni, oborze,

polu i lesie — a że to był świat jakim go znała, więc też panowała nad światem.

Cała Poręba Murowana była jej — wiedziała o tem. Nosiła się też w sobie dumnie i szumnie.

Była uczciwa, pracowita, zapobiegliwa.

W nędzy górskiej wychowana, ceniła to życie o ile o tyle — dla niej przynajmniej — dobrobytowe i zakątne, więc na jej miarę; na miarę jej rozumu ciasnego i praktycznego w małym, na miarę jej uczuć silnych lecz szczegółowych, drobiazgowych i zazdrosnych.

Pochodziła z Ponikwi, beskidzkiej wsi wądołnej. — Toż to tam życie!

Jakaś morżyna lub dwie gruntu rędzinnego, rozrzuconego w kilku skrawkach po zboczach obejmujących wądół, tak stromych, że to i nawóz w koszykach nos i plon nieplenny na plecach rozdzonych dyguję do chałpy.

A ta chałpa!

Jedna izba z małym, pokrzywionem okienkiem. ciemna, kurna, z klepiskiem zamiast podłogi, które w czas słońc częstych i gęstych rozmakało doku-metnie, a mięszone bosem nogami zamieniało się migiem w bajoro żywego błota; na posrodku palenisko kamienne gliną wylepione, z którego bywa dym, chróściami płonemi sycony gęstą chmurą stoi pod powałą, że to w kucki siedź i przygarbienie po izbie chodź, byś głową o tę gęstą, czarną, żrącą chmurę nie zawadził, bo się zachrypisz na nic, aż ci krzypota oczy przekrwawi i łzy z nich wycisnie; — jest i stół kulawy, zydel, ław-

ka, skrzynia na przyodzie i — jeśli — komoda, a to już zbytek, zbytek nieladajaki.

W kącie przypiecnym barłogi wspólne: słoma i jakieś łachy workowe, stare okryjbidy dziurawe, łata na łacie, flejtuchy starych, steranych kilku pokoleniami guni; całe leżysko.

A ila tam tego, pożal się Boże, dusz patrzących na tę biedotę!

Ojciec, matka, jakaś siostra matki z łaski tu przygarnięta, czworo i więcej dzieciek — strach! Jak się to pomieści?!

Pomieści się, pomieści, bo trud ciężki, uganianczka, spracowane do bolenia kości, głód, który łączy czemś zagłuszyć — ścielą ono łożo i wezglówkiem są paradnym na sprawiedliwy sen, który zastępuje pierzynę.

A w zimie (od października do kwietnia) jeszcze i żywina wszelijaka garnie się do ciepła — wiadomo! — Każdy, mościewy, łasy na tę odróbkę przygrzania: krowa, ciele, koza, kury, niebożątka — choć papę, choć dziób rade przy gasnącym popiele ocieplić; a tego popiołu tyle, co w chłopską garść łącznie ścisnąć; mało - niewiele.

Jeszcze i kilka królików dodaj białych o czerwonych i jarzących się w ćmie ślepiach; tyle się ta i świeci po zmierzchu.

W przynależnej zgodzie bydlęta Boża żywina z człowiekiem, który ino z nazwiska tym człowiekiem się mianuje, bo to i myśli jego biedą sponiewierane na czworakach przez ziemię idące i żywobycie ciężkie, bezradosne i żądze

jednakie i potrzeby żałosne — bliższe są iście nieprzymierzając zwierzęciu niż temu (co tam pono gdzieś jest) człowiekowi najedzonemu do syta, w koszuli na grzbiecie zawsze całej, w izbie jasnej mieszkającemu, w łóżku się wylegującemu; bodaj to! bodaj!!!

A tu? — Mój Boże! — Krwawo i na tę nędzę zapracować trzeba! — A jak się już za wolą Opatrzności Boskiej i tej nędzy nie dochrapiesz — toś przepadł! — to już czeka ino śmierć ostatnia, dziadowska z poniewierki, z głodu, z zimna.

Każdy się ratuje jak może, każdy umyka przed złem ostatecznem, które z za każdego opłotka wyziera, każdą chmurą grozi, dniami skwarnemi ostrzega, zimą mroźną straszy.

Wieczny lęk, wieczna trwoga; ani się spostrzeżesz skąd na ciebie padnie!

Jeszcze jak ta na tym barłogu dziecko strwożone tem, co go czeka, Panu Bogu duszę odda złęknioną — no, to woła Boska; — Bóg dał, Bóg wziął: — nie będzie się poniewierać, ani głodu nie zazna, ani się na zimnie nie utrzęsie!

Ale jakby, na ten przykład, nieszczęście chciało — a krowa padnie! — o, to już torbę dziadowską uszyj i ruszaj po prośbie na wander nieszczęsny; wtedy żegnaj się z wsią — nie użebrzesz w niej ani dobrego słowa, ani chleba skibki.

Chleba zbytniego niema; a dobre słowa pogubiły się na tych stromych drózkach, po których w bólu krzyków i kości wszystkich, piąć się trzeba

z koszem nawozu pod ziemniaki, które tam i tak tyle zrosną, co rzechy.

Taką młodość miała niewesołą, nie, Antonina najstarsza z siedmiorga dzieci córka Wawrzka Brańki i Agnieszki z Kozbiałów (sławnych jałowcarzy) z pierwszego męża Potocznej.

Na głodzie, na zimnie, na paszeniu i szturchacze domowej zeszła ta młodość starowna; na łakomstwie o każdy ziemniak w popiele znalezione, na przymierzaniu łąch i chader, aby czemś grzeszne ciało okryć, na rozmowie z krową kościstą, perswazji żałośliwej, że jej to dobrze, tej krowie, bo trawy uszczknie kaino, albo i listeczków bodaj w olszynie i ostrężynie — o przydziew starunku nijakiego nie mając.

Kochali Antkę ojcowie, więc ją setnie prali, żeby się do dobrego nie wzwyczajała, a ino do roboty przykładła walnie — bo jak kto w robocie ustanie — no to koniec! — widać, dbali o córkę, kształtując jej wolę życiową wedle okoliczności właściwych i ponikwiańskich.

Cale jej się to żywobycie odmieniło, przeinaczyło do znaku, odkąd „nastała” na służbę do tego, nieprzymierzając, dworu.

Nie był to ta dwór jak inne; nie; ale i tak aż za duży; pola ornego było dwanaście morgów, lesistej grapy drugie tyle, kapinka pastwisk chudych nieużytków setne splechcie — to i wszystko; mało - wiele.

Wystarczy.

Te pola, grapa, pastwiska, nieużytki na jej były głowie z krete sem.

Pan „prefesur” mało o to dbali.

Pan „prefesur” (— jak się kto zbytńio uczy, to się i przeuczy, aż do ogłupienia, no tak —) cudaczył się ciągiem, a tylko ogródu patrzył, o ogród ino dbający; — ciągiem się też w nim grzebał, przesadzał, szczepił, prostował, siał, wycinał, gracował, pielłł, nawoził, szutrował, grodził, czyścił, podlewał, kwiaty obcinał, nasienie zbierał, uprawiał, wytyczał — cejnioco!

Taki już był.

Nie jej rzecz mieszać się do tego.

Każdy ma swój dział; do czego Bóg człowieka stworzył, tem w życiu doczesnem nadrabia.

Nieinaczej!

Zresztą, poprawdzie mówiac, to i piękny był, barz piękny, niby ten ogród.

Strasecznie ślicny, było się cemu podziwiać!

A jak zakwitł! — To już i chyba w raju nie było piękniej.

Niema co mówic!

Dziwowali się ludzie — i słuszenie się dziwowali, że to tyle najlepszego gruntu i to zaraz przy domu, podręcznego — krzakami i kwiatami zaśmiecił ten „cudok”.

Ludzie się wszystkiemu dziwują.

Tym razem słuszenie.

Przychodzi było stary gazda porębiański kumoter Antoniny — ze sto lat ma, a oko choć załżione — takie śpedytnie sprawne, że ino fuzje do twarzy przyłży — bęc! — mój zajac już leży; może być kuropatwa, albo li sarna; wszystko jedno.

Zajmował się od młodości raubsicką; jego fach, znał się na tem — jej!

Łysy, przygarbiony, ale czerwony na gębie jak ćwik. „To bez ten wiater scytowy i zasiadki” — tłumaczył; — ludzie mówili, że z tego też, ale i z gorzałki. — Nie będziemy się sprzeczać.

A imię jego Tomasz, rodne miano: Książek.

Przychodzi było ten Tomasz Książek w odwiedziny do Brańczonki, poje co tam w garnkach ostało, gębę rękawem obetrze, przeżegna się, pobógzapłaci i powiada — to samo zawsze:

— Ej zeby tak na ten przykład zimnioków haw nasadził miasto habazi i kwietosków — byłoby też było! — Ziemia masno; ale-by też obrodziło!

Miboże! — Tela sie pięknego gruntu marnuje; grzych; obraza bosko; nic ino obraza!

— Cie! — mówi Antonina, o honor swego gazdostwa dbała.

— Cie, dy ta momy dzięki Bogu i zimnioków doś i zbozo; wystarczy.

Na to Tomasz Książek:

— To sie nie godo; wystarczyć, wystarczy, to je wiadomo; dwanoście mórg to je cosik, a nie nic! — a grapa, a poso, cejnioco — wszyśkiego doś, prowda; wiem kumentnie, spenetrowałem; turbacyi nima nijakij. — Ale zawdy, godom ci, ale zawdy byłyby zimnioki — jakiel — jak pięś! (a miał też tę pięś!) — co ta z tyk kumedyi fanaberje i tyle! Żywiół grunt!

Jak tu nie przyznać, że tak jest istnie?!

Dziecko małe a wie, że żywiół grunt!

ROZDZIAŁ TRZECI

O CZERNICZKOWEJ PARCELACJI, EFRAJMOVYM
SZYNKWASIE, FORYSIOWEM PISANIU I MALO-
WANIU, ORAZ O DZIADÓWCE.

A jak się to z tą służbą zaczęło?
Całkiem poprostu i zwyczajnie: Opatrzność
Boska, nic więcej, tylko Opatrzność!
Widzicie tak:

— Jak się pani Czerniczkowa z domu Rozwadowska, z imienia Eleonora — dziś już na boskim sądzie — niby poprzednia właścicielka całej Poręby Murowanej, znaczy się pani na trzystu morgach — po śmierci męża swego śp. Euzebjusza Czerniczka stąd wyprowadzała, a grunta, krom najbliższych przydwornych, pomiędzy porębian murowiańskich rozparcelowała — to wom powiadom — mówili co starsi, dobrze te czasy pamiętający — bez cały tydzień była licytacyjo we dworze! — krowy, konie, sprzęt gospodarski, zboże, fasol, groch, no cejnięco — wszystko sło pod młotek! — Nakupili se ta wte ludzie, nakupili co ino ka kto móg.

— Tak po tej parcelacji ostał się tylko dwór, trochę zabudowań, bo reszta na rozbiórkę poszła, i kilka morgów pola, lasu trochę.

I tak to parę lat stało.

Niejaki Efrajm Hupert, żyd, chwycił ten dwór od pani Czerniczkowej w harende

Wyszynk w nim zrobił swoim porządkiem pachciarskim.

Pokój jeden przerobił na szynkownię, szynk-was okratowany i na zielono pomalowany ustawił, na ścianie pod balkonem u drzwi wchodowych, murarzowi kawał muru na świeżo otynkować kazał i ten napis umieścił:

Wyszynk wodek pywa i wina
tu jest garkuchnia — dobre jest
wino jeszcze lepsze pywo naj-
lepsza wodka bo idzie do czubka.

Dzisiaj za darmo jutro za piniondze.

Dzisiaj to znaczyło wczoraj.

Było z tego powodu nieco kłopotu, bo byli tacy, którzy dzisiaj rozumieli jako dzisiaj — rychło jednak przyzwyczaili się do nowych porządków.

Żyd zresztą był poczciwy, borgował chętnie; miał podwójną kredę oraz długą patryjarchalną brodę.

Napis rzeczony malował malarz wołkowicki, sławny kaligraf i wierszopis — którą to zdolność i z tej małej próbki wyczytać snadnie można.

Zwał się Aleksy Forys — był kelnerem w „handlu korzennym z pokojami do śniadań“, oraz malarzem i poetą.

Aspiracje jego były duże; — więc i w tym wypadku nie wystarczyło jego ambicji wypisanie zgrabne liter — przeto też umieścił pod niemi obraz przedstawiający szlachcica w czerwonym kontuszu; wąs miał ten szlachcic bardzo, bardzo sumiasty, nic też dziwnego, że go zamasyście całą pięścią podkręcał. — W prawicy wyciągniętej trzymał kusztyczek, którym trącał się z olbrzymią „bombą” piwa pienącego, z napisem wpoprzek szkła biegnącym „jaszczurowskie!” — „bombę” dzierżył w krzepkiej garści chłop w sukmanie. Poniżej sprawę całą kończyło słowo olbrzymiemi skreślone literami: BRAWO!!!

Rozumie się samo przez się, że w tem wszystkim nie było, na Boga! jakiegoś-tam symbolizmu! Była jedynie mimowolność, której nie można nikomu za złe poczytać.

Dzieło to kosztowało Efrajma Huperta, harendarza w Porębie Murowanej, jednego reńskiego, grajcarów dwadzieścia pięć plus półkwaterek okowity zagryzionej kawałkiem koszernej kiełbasy z haka.

Wyszynk prosperował dobrze.

Pili też tam ludzie, rajuści święte, aż okropa!

Pili i bili.

Siebie i innych.

Na całą okolicę sławna była bitka którejś niedzieli wszczęta, kiedyto chłopci kozinieccy i porębianscy wespół z jaroszwianami, chobocianami zbywaczanami i zaskawionami zbili na kwaśne jabłko cały patrol dragonów, którzy się wtara-

banili do Efrajmka, a spiwszy się gruntownie nie chcieli nikogo dopuścić do murowiańskich dziewczek.

Krew żywa płynęła wtedy młynówką, której brzegi poobsiadało bractwo rozbitych i szkaradnie pokiereszowanych łbów dragońskich.

Zmywali rany do północy.

Najgorzej jak się w pijatykę dziewczki wdadzą; niedobrze się wtedy dzieje!

Pieśń przeżyła to zdarzenie:

U Huperta w murowanej
w murowanej,

Patrol w bitke sed pijany
sed pijany.

Hupert woło: cicho goście
cicho goście,

A dragoni: nos szesnoście
nos szesnoście.

Do dziewczek sie wartko bierą,
wartko bierą,

Puś dragonie, idź cholero
idź cholero.

Chłopy pchnyli w kąć gamratki
w kąć gamratki,

A z dragonów robią jatki
robią jatki.

Płynie wodą krew cyrwona
krew cyrwona,

Nima dziewczek lo dragona
lo dragona.

No i tak z dworu do ktorego patrzyło wiele-
mało, bo trzysta sprawiedliwych morgów ornej
ziemi, zrobiła się poprawdzie mówiący karczma.

Też los!

A, że to tak wszystko niegdysniejsze dobro ska-
pało na nic — nazwali ludzie ten uczaśtek dawniej
dworskości Dziadówką.

Mówiło się odtąd zamiast „do dworu poręb-
skiego“, „na Dziadówkę“.

ROZDZIAŁ CZWARTY

*JESZCZE O DZIADÓWCE, O NOWYM JEJ MIŁOŚNIKU,
O DROGACH: STAREJ I NOWEJ, KAZNODZIEJSTWIE.
KOMASACJI, WIERZBACH, DRZEWACH OWOCO-
WYCH I INNYCH WAŻNYCH SPRAWACH.*

Aż tu ni stąd ni zowąd gruchło po gromadzie, że jeden taki profesur z miasta ciągiem zachodzi na tę Dziadówkę, ogląda przepytuje, a listy do Krakowa do pani Czerniczkowej z Rozwadowskich Eleonory pisze.

Nie może to być bez kozery.

Niby, widać, chce kupić ten dwór z gruntem pozostałym.

Średniego wzrostu, łysawy, ogolony do czysta, ani wąsów, ani brody — nieprzymierzając ksiądz jaki, w długiej zawsze kapocie, w jasnych kracastych spodniach, w kapeluszu wysokim słomkowym lub filcowym wedle pory roku — chadzał na tę Dziadówkę, koło szynkwasu się kręcił, za stolami zasiadał, z chłopami przygwarzał, a nawet popijał — choć ta i takie to profesorskie picie: jeden kieliszek ordynarnej charówki na dwie godziny! Po kropli jak lekarstwo, — ale zawsze; — aż i wychodził to, co sobie w głowie umyślił.

A rzeczywiście umyslił kupno tej, bez obrazu Boskiej, rudery.

Co się tam przy tem nie naplótł!

Że to, powiada, stary dom! — no stary, to prawda, bo i nie młody!

Że to ponoś jakiś kościół przedtem w nim był, jakiś „zbiór” — lecz to musi wymyśl ino, bo tego nikt nie pamiętał, nawet ów raubsic Tomasz Książek, który sobie sto wiosen bezmała liczył.

Że to nieładnie, żeby się tu karczmisko rozpierało, gdzie przedtem służbę bożą czyniono.

Tak ta plótł — bo skądżeby znowu służba boża!

Prawda, była ta sień i sklepiona i wielgaśna, ale mało to takich sieni jest? — prawda i to, że naprzeciwko tego pokoju, w którym Hupert szynkował, jakaś izbica była, w której harendarz składował, bardzo na kaplicę podana — no ale cóż z tego? — Tak się wydarzyło majstrowi to wystawić.

I tyle!

„Prefesuirowi” z całego tego gadania popróżnicy, ostał jeno przydomek, przezwisko, jak to zwyczajnie wsiowy naród lubi nadawać imioniska.

Nazywali go odtąd „jegomoś”.

Dziwowali się ludzie, że się ten „jegomoś” właśnie łakomi na ten mizerny już do reszty przez karczmarską gospodarkę dom — chociaż-bo i murowany i piętrowy — ale zagracony, zaswiniony,

z dziurawością sitową dachu, z plamami zielonemi od zacieków.

No — każdy ma swoją wolę.

Jak tak te listy szły z Wołkowic do Krakowa, z Krakowa do Wołkowic — tak też i notariusz swoją część zarobił, ile mu się tam patrzy przy przechodzeniu dóbr doczesnej marności z ręki do ręki.

A potem — przestali się ludzie dziwować.

Albo-li też zadziwili się, lecz już prawdziwie i potrzebnie.

Bo jak jeno ten pan profesor vel jegomość tę porębiańsko-murowiańską chudobę nabył, to też i w prędkim terminie żyda z dworu wysiadał.

Ale to byłoby jeszcze nic; dobre jego prawo jako kupiciela.

Rzecz w tem, że gospodarną zabieглиwością do jakiego-takiego ładu-składu z tym ogryzkiem napytanym rychło doszedł.

Tak też słowo w słowo z tym i owym, tu zagadał, tam przekonał, owdzie znaczną gotówką poparł, aż i w potrzebnych miejscach ziemi kawał dokupił, klinik niepotrzebnie wystający za zagon przed dworem zamienił — i tak w krótkim czasie obejście sobie zaokrąglił, że to było w rezultacie nieduże wprawdzie, ale bardzo składne: miało, jak to się mówi — figurę!

Najgorzej było z drogą gminną, która przechodziła tuż pod dworem, tak, że i spokoju ani w dnie ani w nocy nie zaznasz — turkot ci się w uszy sypie, a okna zamykaj ciągiem, bo pył

nieznośny do izby w suchy czas wali, a kurz popielaty zieleń liściom odbiera — a już co najgorsze, dzieli ta fatalna droga przyszły, już widać w głowie założony ogród, na dwie obce sobie i zdeзорjentowane części.

Sprowadził tedy nowy właściciel w momencie niektórym wójta, panów radę gminną i co znaczniejszych z gromady wsiackiej, winem i słowem obrotnem namawiał, radził, przekonywał, spory kawał gruntu za stodołą w zamian za tę drogę dawał.

Rzecz była niełatwa.

Bo choć to i słuszność we wszystkim miał, choć sprawiedliwie mówił i wdwojnásób wynagradzał — to jednak do ufności, rzetelnych, ale podejrzliwych umysłów chłopskich prędko się nie dobrał.

Nic w tem dziwnego.

Z czegożby się tam rekrutowała ufność i dowierzenie w tych sercach sponiewieranych i wczoraj i dziś — kto wie, może i jutro?

Zresztą w tej nędzy wieczystej, w tej uganiaczce, w tem wydrapywaniu z ziemi z dnia na dzień chleba powszedniego, na dawanie ani czasu ani ochoty zbytniej niema — więc się też i w żadne branie ni chętność nie wierzy.

Jak już ktoś czegoś chce — to tam musi mieć w tem swój interes — ani chybi!

Trzeba się dobrze na ostrożności mieć! — bo gdy klamka zapadnie — prawowaniem nic nie wskórasz, nie odrobisz nieogłędności.

A zmiana?! — że to niby na lepsze — bracie! — ech! źle jest, a jeśli może być jaka zmiana, to ta jedna — na gorsze!

Więc tem bardziej trzeba się na ostrożności mieć!

Zważcie czy nie tak to bywa?! •

Ale ta sprawa, niby tej drogi, czysta była jak szkło — ; — nietylko że kawał ziemi za stodołą był dwa razy tyle wart co droga, ale i nowa, którą zaraz wybudować obiecał, była, to jasne, mniej stroma, łatwiejsza, poręczniejsza.

Poparli sprawę ci zwłaszcza, którzy grunta mieli w dolinie a stodoły na górze wedle chałup; koniom lżej będzie, i ludziom.

Więc profesor postawił na swoim.

Ale się też przy tem nagadał! — Rajuści!

Bardzo pięknie mówił i niezrozumiale o tej jakiejś komasacji.

— że to jest konieczne; bezwzględnie;

— że drobne własności byle w kupie były to siła wielka w kraju;

— że to on chce z gromadą ręką w rękę iść;

— że oni lepsi wszyscy od niego, bo trzymają tę świętą ziemię pazurami;

— że on się tego od nich uczy i nauczy — ; — a może tylko przypomni, bo to i on z gruntu niby jest, a ino po poniewierce życiowej innego fachu chycić się musiał; nie żałuje, nie, ale też chce wrócić skąd wyszedł;

— że oni wzamian u niego poradę wszelką znajdą; zawsze; bo to znowu tę i ową wiadomość

posiada; gdy oni tu charowali i swoją orną i siejną służbę czynili, to on się niejednego po świecie nauczył; wszystko jest potrzebne; wszystko jest użyteczne; mogą się sobie przydać nawzajem; i tak będzie;

— że już cała przeszłość niewątpliwie zła i rozdzielona jest tylko właśnie przeszłością;

— że idą nowe czasy; garść w garść; rozum w rozum; serce w serce!

Jednem słowem — orzekli — sprawiedliwie go nazwano jegomościem i „prefesurem“ słusznie jest, bo „kozanie i nauki cud pięknie godo“ — ; — „starszy człowiek przecie, a mówi jakby wczoraj z seminaryje kozalnicy się dorwał abo i tej godziny skólnej“ — ; — „inny by se na nic gębe postrzypił od tela słów wartkich“ — ; — „a un nic, ino se czasem wina hauścik pociągnie, wargi oblize i dobra! wiedzie toniec dali!“ — ; — „a już trza rzec po sprawiedliwości, że jak do tego winiecka rękę wyciongnie to sie rzetelnie ze wszystkimi śturknie i pozdrówko“ — ; — „taki na człowieka uważajacy!“

Nic też dziwnego, że „bez ten wsiowy hyr“ już w niespełna miesiąc tę nową drogę koło muru własnym sumptem i przy ochotnej a dobrowolnej pomocy gromadzkiej wybrał, ofosował, kamieniami nawiózł i uklepał.

Lecz i tu nie ustrzegł się dziwactw i niezwykłych cudactw.

Wprawdzie na własną rękę i wprost własnoręcznie poobsadzał drogę tę drzewami owocowe-

mi — to prawda — ale, pytam się — naco? poco?
— Niema to dość wierzb?

Sami powiedzcie!

Zasadzisz taką witkę wierzbiniową, albo i kulik
w ziemi wrypiesz — i już! — przyjmie się raz
dwa; rośnie prędko, że to bezmała na bezrok ga-
łęzie na palenisko odcuwać zdatnie można.

Ale nie!

On musi inaczej!

A że to do kazań taki dryg ma nieprzeparty,
więc też musiał powiedzieć, — że to na całym
świecie przy drogach owocowe gaje sadzą, — że
wierzba, owszem, polskie drzewo, bardzo polskie,
wytrzymałe, odrąbane odrasta, ziemi się korze-
niami, jak pazurami trzyma; to wszystko istna
prawda; — i ładne drzewo, naturalnie — ; — nie-
chaj sobie rośnie wedle wód rzecznych i stawo-
wych, na moczarach, nad ruczajami i niechaj swe
gałązki wiotkie, nikiej dziewucha swe włosy,
w tej wodzie kapie, niech się przeziera — ; —
ale tutaj ... ludzie! — trzeba przecież skończyć
z dawnym porządkiem! — Nietylko wygląd ducha
musi się zmienić, ale i wygląd dróg polskich! —
Do stu diabłów!

— Paniel! — rzekł podwójcik — dy chłopaki
to oberwom te jagody z goji na zielenieniu, dy to
haw nie zeżraje, ani godanio.

— No! to dostaną lakserki — wypalił zape-
rzony zwolennik drzew owocowych — to raz,
a drugie: mniej prać po portkach rzemiennym pa-
skiem, a więcej uczyć, więcej uczyć!

Zrozumią i będzie lepiej.

— Wszystko być może, ale żeby tak akurat miało być lepi — to nie! gor nie!

— Niema nie! — krzyczał szczerwieniony już na karku profesor, zaciapane błotem ręce obcierając o spodnie, które już z tego sadzenia drzewin tę jedną naukę wyniosły, że tak czy owak, fakt, że to brudzi — ; — lecz cóż nas obchodzi filozofja spodni.

— Niema nie! — krzyczał, doskakując do podwójnika — jest tylko tak! — zawsze mów tak, nigdy nie, chciej tak, będzie tak!!

I co tu z takim odmieńcem mówić?! — choć to i pięknie, ani słowa, że to pragnie, aby było lepiej.

— — — — —
Nowa droga już jest!

Stara skasowana!

— — — — —
A że miał profesor vel jegomość, rękę, widać do wszystkiego dobrą — więc też — nie dalej jak na przyszłą wiosnę — tam, gdzie ta droga była wyboista, kamienista — rosły krzewy, kwiaty, róże i rozmaite zamorskie, nienaskie ziele napak biało lub czerwonorlistne.

Śpas! — Co to człowiek nie potrafi jak chce!

Ino chcieć trzeba!

To najważniejsze!

I — robić, robić, robić!

ROZDZIAŁ PIĄTY

POWRACA DO PRZERWANEJ KWESTJI I SNUJE
WĄTEK DALEJ.

A już, żeby tak prawdę powiedzieć, Antonina Brańkówna, alias zwana Siwulą vel Psiąkrwią, była chrzestną matką tej nowej gospodarki pana Michała dwojga imion Feliksa Srebrempisanego.

A jak się to z tą służbą zaczęło?

Różne sprawy stanęły wpoprzek; lecz uspokójcie się!

Stało się wszystko całkiem prosto i zwyczajnie: Opatrzność Boża, nic więcej!

Widzicie, tak — :

— Było to któregoś przedwieczera owego roku, krótko mówiąc p o owym ważnym roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim — ważnym z powodów ogólnych dobrze znanych, ważnym też szczególnie w życiu pana Michałowem, już nietyłe przez czynny w wypadkach onych udział (— kilka potyczek, jedna rana, to są dopiero zdarzenia — ; — a ileż tych ran, miły Boże, krwa-
wiło na polskim zewłoku? — niejedna! — jeno dusza polska była jedną raną — do dziś dnia, poprawdzie, niewyleczoną) ile przez owo spojrze-

nie w głębie przyczyn i skutków, przez nowy skład myśli, uczuć i wiary w pozytywność pracy nieustępliwej po skon!

Lecz nie o tem ninie rzecz.

Więc roku onego, w marcu koło św. Józefa, przyszedł profesor, a już często wtedy Porębę Murowaną nawiedzał, do Efrajma Huperta harędownika Dziadówki, u którego, jak wiadomo, Antonina służyła do krow, obory i wszystkiego.

Przy szynkwasio żywo z sobą mówią, niby pan Michał i pan Efrajm.

Antonina skrapiała izbę — ; — nabiera ręką wodę z blaszanej litrówki; pryska nią wkoło, rysuje w pyle i zaśmieceniu zygzaki wilgotne.

Zamiata.

Półuchem i mimowoli słucha, co tamci dwaj uchwalają.

Cóż ją to wreszcie obchodzi!

Nic. Zamiatać trza i tyle.

Aż tu zjawilo się na przelocie dźwięków nie dochodzących do jej świadomości zdanie wyrażne, zrozumiałe i w nią poniekąd mierzące:

— Więc, panie Hupert, od pierwszego kwietnia przeprowadzi się pan do karczmy na granicy, a dom tu już wolny będzie — tak — ? —

— Nu, piękne pryma aprylis, ale jak to już tak jest kontraktowe rzecz — pon może być spokojny.

Kiwnął głową pan Michał i rozejrzał się po izbie.

Brud, zapuszczenie nieprawdopodobne!

Podłoga zabłocona, deski zmasakrowane.

Ściany — lepiej nie mówić! — niegdyś zjadliwie zielone, świeciły liszajami obrypanego do żywej cegły tynku.

Wkoło wisiały jaskrawe ogłoszenia, co poniektóre wytłoczone w blasze błyszczącej, sławiące na czerwono lub zielono niechybnie najlepsze źródła piwa, wina, wódek, likierów, kwargli i śledzi „pocztowych”.

Zapach był ściśle przystosowany do ogłoszeń.

— Okropnie pan ten dom i ten pokój zaopuścił, panie Hupert.

— Co znaczy zaopuścić? — czy mi kto płaci za reperacje? — swój piniądz mam wkładać w nie-moje? — no, pan sobie to po swojemu przerobi efef, po pańsku.

— Co tam po pańsku; skromnie a czysto, to i wszystko.

— No to będzie wedle woli.

— Ano zobaczymy.

Potem wyszli na piętro; mieli tam coś do obejrzenia — ; — tak to zwykle bywa, gdy ktoś kupuje, chce wszystko widzieć i wiedzieć; dobre jego prawo.

Przez ten czas prędkie myśli niepokoiły srogo Antoninę.

Z biedy zgodziła się na służbę do żyda.

Zawszeć to despekt i heretyctwo wierutne i ksiądz słusznie żydowiankom rozgrzeszenia dać nie chce — ; — wysługiwać się takim co Pana

Jezusa ukrzyczowali — rzecz iście szkaradna i sumienie kamieniem obciążająca.

Ale poprawdzie mówiąc, było jej tu dobrze u tego Efrajma Huperta.

Uganiaczka, bo uganiaczka, robić wszędzie trzeba; ale nikt nad nią nie przewodzi — chłop, choć ta i żyd, ale zawsze chłop, rozumu całego do domowej gospodarki nie ma (Hupertowa z dziećmi mieszkała w Wołkowicach, gdzie „trzymała” sklepik „towarów mieszanych”); jedzenia pod dostatkiem; kąt ciepły i duży, no! — całe łóżko — dla niej jednej; ciepło; wygoda — Boga chwalić!

Tak też przez te trzy roky służby tutejszej przyłgnęła do miejsca jak kot do przypiecka.

— Kaz jo teroz pode?

— Z zydem kajńdzi?

— Do swoik wrócem?

— Poco — lo Boga! — poco!

— Co robić, co robić! Jezusie Marvjo!

Zamiata, a myśli wirują jak ten kurz z pod miotły.

A tam już schody trzeszczą; słysząc stąpania; wracają z tych oględzin.

Żegnają się.

Wyszedł już przed balkon ten „jegomoś” — tak go ta już nazywała w myśli, tak o nim mówili; poręczna przezwa.

Aż tu ją coś znaęła pchnęło jak nieprzymierzając pięścią w plecy.

Żyd stał w bramie i nakiwaniem żegnał odchodzącego.

Antonina (jak ją tak to coś pchnęło) wybiegła pędem z izby, przez sień, za plecami Huperta, do kuchni — na podwórze wybiegła.

Dognała pana Michała przy bramie, którą właśnie dokumentnie bada, skrzydliskiem odrzwiowem poruszał, jakby się chciał przekonać, czy i jak skrzypi. Skrzypiało rzeczywiście donośnie i długo.

Ani się spostrzegła już przed nim stoi.

Co tu powiedzieć tak odrazu?!

Zdyszana, pochyła się, a ku ręce „pańskiej” garnie.

Cofnął pan Michał rękę.

Powiedział: — przepraszam!

Nie zrozumiała Antonina i raz jeszcze za rękaw chwyta i usta nachyla.

— Kobieto, dajcież spokój! nie całujcie!

Aż odskoczył w tym zafrasowaniu.

— Hardy — pomyślała, — ani się pocałować niedo.

Uśmiechnął się i dodaje:

— Fe! żeby też człowiek człowieka w rękę całował! Jeszcze czego! Do czego to podobne! — Jak wy mnie w rękę pocałujecie, to i ja was muszę też w rękę pocałować. — Ale się przecież obejdzie bez tego.

Mówił do niej „wy!”

Nie była wprawdzie panną, przy paszeniu z pasterzami różnie bywa, ale chłopca nie miała i nie ma, to ta po staremu: ty.

Tak też to zprosta w tej pierwszej rozmowie powiedziała; nie trzeba ukrywać, poco się kto ma postronnie dowiadywać; lepiej samemu powiedzieć; cóż tam; wstydu nima; rzecz drobno; było, nima, przeszło.

Nie wyrozumiał tej przygmatwanej mowy Michał; więc rzekł:

— A czegoż ty chcesz ode mnie?

— Telom prośbe mom do — do — do jegomości — nie wiedziała jak znazwować; — wypaliła: jegomości.

— Cóż ty mnie tak jegomościujesz?

— Tak wszyscy przyzwolują.

— Mnie?

— Juści.

— Jegomość, powiadasz, mnie nazywają —? — Przytaknęła.

— A dlaczegóż to tak? — pyta (— już mu się to przezwisko obilo o uszy).

— Ponoć bez to, co jegomos tak pięknie mówiom i wiela, że choć sie ta nie wszystko rozumie to sie z tego tak ckliwo na wnętrzu robi, ze jaz — Ckliwo się na wnętrzu robi? — aha! — no niech ci będzie! Niech ci będzie i jegomość; wszystko jedno; — a czegoż chcesz — ? —

— Telom prośbe mom do jegomości, coby mie jegomos na służbe wzieni — jo potrefie i wele krów i wele grontu i co ino ka w gospodarce wszyśkiemu poradze.

— Tutejszaś?

— Z Ponikwie, prose pięknie.

— A coż tu robisz?

— Służę w karcmie u Hupertego.

— I nie chcesz z nim odchodzić?

— Nie!

— Hm, więc chcesz tu zostać na Dziadówce?

— Kce.

— No, a znasz-że mnie to kobieto?

— Znać to poprowadzie nie znom, ale mi się całkowicie uzdaje.

— No dobrze.

— Jakoz — ? —

— Będę tu pojutrze; rozmówimy się; potrzebuję owszem, gospodyni, ale czy ty potrafisz — bo to ja z miasta tylko dochodzić mogę, a tu zasiewem zarządzić, oborą i — — —

— Niek sie jegomoś nie bojom, swoje lata mom; znom się na wszystkim, wszystko będzie w porządku, jak sie patrzy.

Brama przyskrzypiała tej rozmowie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
STRESZCZAJĄCY DZIEJE NOWEJ GOSPODARKI
UKORONOWANEJ WIELKĄ WAGĄ SPRAWY
KOŃSKIEJ.

I tak się też „w porządku” stało.
Efrajm Hupert się wyprowadził.

Karczma przestała istnieć ku żalowi tych największych „obzyracy”, których zgon jednej karczmy żalem napawał, żalością serdeczną, że to znów czegoś brak, że znów coś minęło bezpowrotnie. To smutne!

Zdarzało się zwłaszcza w pierwszych tygodniach, że poniektorzy ze wzwyczajonych, a kajsi już dokumentnie pijanych, zachodzili z krzykiem i hałasem wielkim, na Dziadówkę, na „poprawiny”.

Dała im Antonina prędko rady.

Zpsiąkrwiła — raz na zawsze!

Tak się skończyło to porębiańsko-murowiańskie wesele pachciarskie.

Co Antonina przyrzekła u skrzypiącej bramy, to Brańkówna dotrzymała; solennie.

Była gospodynią całą gębą; aż zanadto.

Serce w ponikwiance rośnie, gdy to widziało,
ze się wszystko zaokrągliła wele obejścia,
że się dom ładzi, że gospodarstwo porasta w pie-
rze.

Porządki nowe!

Szynkwas poszedł w piec — została z niego
garść nikłego popiołu.

Podłoga dana nowa — tej starej niktby się
nie doheblował.

Mury wewnątrz i zewnątrz oczyszczone nale-
życie, ponaprawiane, połatane, otynkowane —
radość patrzeć, miło spojrzeć.

Święcie w to Antonina wierzyła, że to za wal-
ną jej, a pomocnie opiekliwą przyczyną tak się
wszędzie ma ku lepszemu.

A stajnia odrestaurowana! A żłoby! A jaśła!
A dyle nowe! A kurnik! Kogut, kury czubate!
A chlewik wreszcie!

Jest czego patrzeć! — jest na co spojrzeć! —
Jest czym gazdować!

Już też i pasterza narała; gdzieżbo; paść trze-
ba — ; — są dwie krowy (łaciata będzie się celić
wnetki, bezmo siedm miesięcy jak się poganiała),
a jakże!

Z wolem bo z wolem ten Wojtek Moskwik, ale
pomoc, ale pasterz — jest kim dyrygować! Bogu
dzięki!

Wszędzie jej było pełno!

W głębi serca podziwem medytowała o panu
Michale, który tak „z niczego tele wyprowadził“;
bo cóż — z tej pensyi prefesurskiej — ? — no

dyć z tego! — ani dojdę, ani nie dopił — a ino śperował, a w zagospodarzenie pchoł.

Nie to ją jednak przekonywało!

Niedojeść, niedopić, niedospać dla gospodarki — rzecz zwyczajna!

Tak być musil

Przekonywało ją do jegomości i coś jakby przywiązanie ciepłe i człowiecze, w tem na uczucia przecież nieżyznem sercu, wywoływało co innego, mianowicie to, że tak do wszystkiego rękę miał dobrą i składną — znaczy się: człowiek sprawiedliwy, człowiek uważny, człowiek sumienny, gdy mu się tak łaska Boska w niczem nie umyka.

Wszystko to prawda.

Lecz kłopotów było coniemniara, a już tych utrapień finansowej natury „do diabła i trochę”. Przecież to jeszcze w rok po kupnie nachodziły admonicje (babskie i słuszne) jak np. poniższy list pełen smętów i błędów:

Zwieżyniec, 25. 7.

Szanowny Panie!

Wchodząc wzesłem roku w interes z Panem profesorem, nie myślałam że mogłabym być, na takie fatalne przeciwności (przekryślone „być”) narażoną. Bo wszelkie możliwe przeszkody jakie byli po wenydewane tyle się starałam by ich usunąć.

Teras jusz myślałam że nieczego nie braknie, i przecie ras jusz choc po opływi czech miesiency po terminie Pan profesor bendzie łaskaw, mie

posłać po otronceniu zapłaty podatku restoiącą sume przepadaiającą na 1-go Maia jako tesz 50 f. po renkawiczne, kturę jusz wzesłem roku miałam dostać.

Prawdziwi, że zprośbo, udaie się do Pana profesora. o posłanie mie tych pieniendzy jak nayprendzy, nay dalecej do 30-go t. m. bo na pierwszego Sierpnia nay pusniey mam jechać do Kompel do rabki, gdzie jusz mam pomieszkanie zamowione.

Pan profesor spomniał, w swem liście, że ja nie bende po (przekreślone „g”) krzewdzoną, a to jusz dlamie krzywda (przekreślone „jusz”), że nie dostaie wczasie pieniendzy.

Ta przeskoda co Pan profesor podaie teras wsem liście, że niema za wiadomienia ze Starostwa czy ja niema jakich zaległości płatniczych to nieiest tak wasna, bo dokont ja byłam całej Poręby Murowanej właścicielką tom wszystko płaciła co moge kwitami odowodnić. A od czasu jak Efrajm Hupert ode mnie dwór zaharendował i te morgi pola, przeiół wszelkie czienżare płatnicze przepadające namie na siebie, a Pan Profesor, to samo przeiół, wprawdzie, że tyle niekożystnych pónktów, dodano wkontrakcie pana Profesóra dlamie że mam bardzo wielgi żal stego powodu i bardzo mocno żałuie, że ja wrzesłem roku poiechałam do Wołkowic, bo nie miałam nikogo co by mie był zrobił owożną naten kontrak. Ja jako kobieta mało natymi pónstkami pomyslałam

zresto byłam tak wynodzoną przes pieńć dni, czekaiąc na ułożenie tak nie szcensliwego kontraktu dlamnie.

Była (przekreślone „była”) bym sama pojechała do Wołkowic by przekonać Pana Profesora, co się tyczy tych (przekreślone „płat” i „w”) należetości płatniczych w Starostwie ale jesdem ciongle słabą, ale jeśli, by konieczność tego wemała, to bym prosiła pana F. żeby zamie pojechał, do Wołkowic i to upożontkował. Tylko dzienniki Ustaw nie płaciłam, ale byłam u Pana Starosty i prosiłam, żeby mie uwolnił od tego gdysz ja nawet jch nie odbieram nieto czytam, Broń Boże. A na resty wszystko mam kwity że jest popłacone. A gdyby się co wenalazło to przecie Pan profesor nie ostatnią rate bendzie mie teras płaciół. Tak bardzo pienknie prosze, mie niezawodnie jak nay rychley teras pieniendzy posłać.

Prosze wziąć to na (przekreślone „odwa”) owage jak ja jesdem jusz od chłopów po krzewdzoną tego roku.

Oczekuie jak nay prendszezy i pomyśney odpowiedzi i zostaię zwinnem szacunkiem

Eleonora z R. C.

Nie był to list pierwszy ani ostatni.

Czas płaci długi.

Więc się i to zapłaciło.

A gospodarstwo zapuszczało korzenie z dnia na dzień krzepsze.

Rosło jak ozimina.

Gdy po pierwszych kilku ciężkich miesiącach zabieglivego krzątania nowy, pełny i widoczny zaprowadzono ład, zagadnęła dnia któregoś Antonina pana Michała, który zwyczajnie, jak codzień, o drugiej popołudniu punktualnie do Poręby przyszedł:

— Tak ta już jegomościu za łaską pańską som i dwie krowy (łaciato będzie się cielić wnet — bezma siedem miesięcy mijo jak sie poganiała).

— Wiem, wiem zapisałem.

O! niedobrze — pomyślała; — nieufność jej do „pisanego” graniczyła z pogardą, którą powiększał jeszcze zabobonny lęk przed wszelkimi znakami pisarskiemi.

Myśl tę pokryła milczeniem; zdało jej się, że tak będzie chytrzeż.

Ciągnęła więc dalej poprzednie zdanie jak krowę za rogi:

— poganiała — jest w kurniku cubate i nie-cubate, kacki som (psiąkrwie zreją strasecznie), kwoki na jojkach siedzom, młode gęsi sie już bielom — ale, jegomoś, łozwozcie se to sami, co to jest za gospodarstwo bez konia.

— A toś mi z tem w samą porę przyszła, kochana Antonino, w samą porę! — Konie, naturalnie! — Bo ci to i mówić miałem, byś oporządziła stajnię końską — cieślę zwerbuj; obielić trzeba — kto jak kto, ale koń musi mieć porządek swój. Naturalnie! — Będą konie — dwa! — Smoki nie konie.

Konie! — Toż to marzenie pana Michałowe!

Konie! — Nie była to, powiedzmy, pasja, jak każda pasja — półszlachetna, a półgłupia razem — nie! — Szczere, proste, mocne lubienie — i już!

Cała gospodarka, któż zaprzeczy, nabierze dopiero właściwej racji, wypełni się należycie, gdy koń w stajni stanie.

Grzebanie kopytem w dyle, forkanie, rzenie — cała słodka mitrega z obrokiem, prowadzeniem na pój — żyjemy! — A co za pomoc! Naturalnie i to. —

Niema co mówić, konie muszą być!

Basta!

Pragnienie podsycane marzeniem rośnie w oczach jak ciasto na drożdżach!

Więc jeśli już — to para!! Tylko para!

Rzyk, fizyk!

Był tam jeszcze jakiś zegarek złoty po ojcach, jakaś broszka olbrzymia z szafirem, jakiś sygnet gruby — ; — pal diabli!

Stare fanaberje!

Nawet się i zastanawiać nie warto.

Sprzedał pan Michał te, jak je nazywał (specjalnie wymawiając i dzieląc to słowo) — ozdóbki. Coś trzeba było jeszcze dopożyczyć. Drobiazg. A potem radosne, niecierpliwe ale rozważne — z kupnem koni trzeba ostrożnie! — szukanie, przepytywanie, dobieranie.

Dopomagał tej imprezie sławny na dwa powiaty znawca koni i handlarz zawołany Jan Banaś.

Trzeba przyznać, handlarz rzetelny; kosztowało bo kosztowało — ale było jak się należy.

Zdawał ten Jan Banaś z poszukiwań i wyników relację:

— Jadę, gdy słowo słyszę pana profesora; nie, nie jadę — myślę najpierw w Wołkowicach Dobrze. Przychodzi jarmark. Cóż, w deszczowej porze, kupców mało, koni mało — szkapę, chębetę, drańcie ostatnie. Myślę: nic ino Sucha! — Dobrze. Jadę ja do tej mojej Suchy — bodajta! — zmówili się czy co — chyba się zmówili; banda pierońska! — te same konie z Wołkowic nagnali; ladaco; po zółtach jedno, ochwatne drugie, ino że zadekowane, ślepe trzecie, czwarte wyrychtowane, ale co, macam po zóbrze — przepadłiste; to najgorzej; syp miarkę owsa — miarkę owsa w łajnie znajdziesz; taka też i siła u niego wysr...; myślę: chyba Jordanów! Dobrze! — Jadę ja do tego mojego Jordanowa — i trzask! prask! — Jest! Litkup jak się patrzy; uzdowe należne — warta grzechu! — ino pieścić a całować; — w kłębach nieprzymierzając niesie się jak dziewka! Wysoko! — : majt! majt! — A nóżki! — wstyďte się sarny! — Młode to — czwarty na piąty! — szesnastej miary pod włos; najlepiej! A maści jakiej?! — to już chyba jedna kobyła matką, jeden ogier ojcem! Jak ta moja praktyka końska praktyką — nic podobnego! Piersza klasa! Pier-sza! — Jak trafi na amatora pięćset ryńskich na stół z zamkniętymi oczami.

Kosztowało bo kosztowało; trudno; dobili targu pan Michał z panem Banasiem.

Wypili przy tem kusztyczek! Na zdar!

Zacna para, zacna! Co za konie!

Rad też z nich „jegomość” był coniemiarą.

A już to, że były kare, radowało go najbardziej! Smoki nie konie!

Ucieszyła się Antonina:

— A to tyz już kwolić Boga, ze jegomoś pomysleli o tem; kwolić Boga! — Straśnie duśno bez koni — ze wszyśkim nieujdawo. — Najmuj do roboty — kośtsa strasne! — zapłać, wyżyw — a do domu im, psiąkrwiom sprzęgacom, jesce owsa dwie miarki dawoj i siana tyz dwie ocipki — inoby darli! — Co inkszego swoje! — Stajnia fraski! — nawet ze wszyśkiem niezło; złoby jakie takie; przemyje sie je ta — wysiuruje; jaśla scyrbate, to prowda, ale sie łacno ponaprawio; no a obielenie, ani pół metra wopna nie wyjdzie.

— No, to już twoja głowa w tem.

— Wiem, dy wiem, wszyśko na mojej głowie;
— wiadomo — ; — ale co trza, to trza.

— Cóż takiego — ? —

— Parobek musi być koniecznie — bo to sie niedo dochodzącym poştukować; ani godanio — musi być haw naski, domowy.

— Pewnie! nieinaczej — ale skąd go wziąć, ani to Gody, ani Święty Jan.

— Prowda! nie jest kontraktowy cas.

— Ano właśnie.

— Słowo powiem! — Jegomościcku, niek już będzie jak pon godają — na mojej głowie — i ten interes na mojej głowie; jo sprawie, co będzie dobrze; musi; mom nawet cosik napiętego, nie ten, to ten się nado, — zawdy lepi zawcasu pomyśleć.

— Nieoceniona jesteś, Antonino.

Zarechotała — że się to rzetelnie ucieszyła tą pochwałą.

— A kie, jegomoś godają, będą te konie?

— Z końcem tygodnia.

— Niby wele soboty?

— Ano mniej więcej.

— Rajuści święte! — To trza, do łodmieńca, chybko się zwijać, dzisiok święto środa! — No i po prowadzie, tego napiętego to mom dwoje; muse się wartko ugodzić, cy ten, cy ten zeby to było co docego; bo ładaco brać, skoda zarcio i mitręgi.

No i znalazła z tego „napiętego” — nieladaco.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O JAŚKU ZAJĄCU „KURŚMIDZIE“ I SPRAWACH Z TEM NOWEM ZJAWISKIEM ZWIĄZANYCH.

Pisali go — sam się na Boga! nieumiejący nie pisał — Jasiek Zając.

Chłop był z Ponikwi także rodem.

Lat miał trzydzieści i coś ponad to.

Łysy. Zato wąs! — proszę siadać! — Wąs duży, wąs rudy, a tem większy, że goliąc twarz ostawiał przemyślnie kępę włosów łukiem z policzka na brodę szlakującą; kępa ta umiejętnie z właściwym wąsem połączona, dawała w sumie ozdobę twarzy niepowszednio sutą, nieprawdopodobnie grubą, imponująco długą.

To sztukowanie zarosłem policzkowo-brodowym wąsów było znanym sposobem balwierskim po osiedlach tamtoczesnych.

Osobliwie bujność wiechy wąsisk zającowych występowała w całej pysze w niedziele i święta, gdy się Jasiek wybrusowanym kozikiem, nad szaflikiem z wodą, która mu za zwierciadło była, do czysta i na bardzo czerwono dokumentnie ogolił.

Wtedy był zabójczy.

Zresztą chłop to był krzepy wielkiej, silny i krępy.

Oczka małe, siwe a chytre, ocieniały brwi, już w tym jego, dopiero przecież męskim wieku, tak krzaczaste że Bogiem a prawdą, starczyłyby po-niektóremu — i jak jeszcze — ! — na przyzwoitej miary wás cale chłopski.

Od dziecka był przy koniach, wśród nich się wychował, — znał je, kochał i rozumiał ich przy-warowaną mowę.

Towarzyszem im był i bratem — w stajni nie-mał zrodzony, w stajni wychowany.

Przeszedł też nawskroś wzwyczajeniami koń-sko-stajennemi i potem a zapachem osobliwym.

Nie daj mu Boże przechodzić koło pasiek!

Pszczoly nie rozróżniały Jaśka od konia — rozeźlone wstrętną dla nich wonią — rzucały się na niego hurmą i cięły bez miłosierdzia.

Na fachu woźnickim, furmańskim i koniarskim znał się istnie doskonale; — i to nietylko na cho-waniu przystojnem, kierowaniu umiejętnem (na dwa lejce i na jeden), wymijaniu zgrabnem — ale i na znachorskich praktykach leczniczych znał się dokumentnie.

Zołży spuszczał znakomicie; może trochę na- zbyt rzeźnicką manierą podniebienia nabrzmiąle kozikiem haratał i solą żywe rany zacierał — może! — lecz konie zdrowiały prędko.

Leczył skutecznie i te choroby rozliczne, które zwały się krótko i węzłowato kolkami lub „zo-poleniem płuc”.

Słusznie też mawiano o nim, że ten Jasiek Zajac to cały „kurśmit”.

Jeśli już mamy dziur na całym szukać — to powiedzmy, że miał ten przyszły fornał, furman, parobek, kuczer i stangret w jednej osobie niejaki wady w wymowie: przedewszystkiem nie używał nigdy posiłkowego słowa „się”, — gardził literą r, choć ją umiał wymawiać — natomiast za wszystkie skarby świata nie byłby z siebie wydobył dźwięku: z.

Specjalnością jego było bezprzerwne szpikowanie zdań zgodnem: „no, no”, i porzekadłem częstem-gęstem. „i takie”, oraz powtarzanie początków zdań na końcu ich po raz drugi — co zwłaszcza przy krótkich terminach dawało wrażenie tautologicznej jednostajności.

Poza tem lubiał się napić gorzały — czynność tę spełniał terminowo i dokładnie.

Tak też, gdy go Antonina zgodziła do służby i na wszelakie sposoby wypenetrowała — zdała panu Michałowi sprawę tym porządkiem:

— Wybrałak jego, a nie tamtego, któregoś tyz napiętego miała, bo był ten Zając w turbacjy duzej, to mu sie, tak se myślę, łodmiany uzdo i tymbarzy bedzie ochotny lo nos. Tak sie mu, widzicie skaradnie wydarzyło, ze nijakij służby nimający za rataja do wołów przystoł; — najod sie tyz najod wstydu, miboże, żol było patrzeć! — Un, koniorz chromki — do wołów! Słysane rzeczy! — Naśmioli sie tyz śniego ludzie — ; — dzis! — powiado jeden z drugim — „kurśmit” woły poganio; — a ze to na te rogatom gadzine inac trza wołać, bo ino tak: ks, ks, ksobie — to go juz pocynali

„ksobisem“ mianowac. To wom powiadam chodził tymi casy jak struty, a wąsiska to mu pięknie-ladnie cbwisły z tego wstydu. — Tak jo se w głowie myśle — miejze ty łodmiane, a służ za to dobrze. — A nima co godać — robotny jes, uwozny, krzywdy żwirzęciu nie robi; dy sie ta i na tyk wołach nie mścił, bok sie dowiadowała.

Tyle ino, ze sie napić lubi — ale rzodko i bez brewerji; spać go ino pijacka zaganio, ka gruknie tam tyz juz śpi kieby zabity; a to jes w tym sposobie jesce nolepse — bo jak to poniektóry obzralok, to sie do bitki zaroz bierze, do swaru — un nigdy! Boże broń! Do spanio go gorzołka znosi jak nieprzymierzając sanie na utoke.

Wobec tak wymownego świadectwa umowa stanęła.

Trzeba się było w tym terminie rozmówić. — To już jest obyczaj taki i — nienaruszalny.

— No, no — prose pięknie jegomości (Antonina go nauczyła jak ma nazwować) — Nając Jon mianuje, no, no, prose pięknie i takie.

— Nając? — pan Michał nie był świadom mankamentów wymowy rudego Jaśka (i tak go też po gminach i przysiółkach wabiono).

Ale tu Antonina wtrąciła, poprawiający:

— Takom juz mo godacke, ale Zając.

— No, no, Nając nanywom — przytwierdził.

— A na koniach się znocie?

— Nom na koniach, wyuconyk, od dziecka przy koniach był i takie, no, no — nom na koniach, nom.

Poco więcej pytać?

Ugodzili się co do płacy; łatwo-nietrudno.

Dużo się przy tem pan Michał nagadał o obowiązkach, potrzebach, koniecznościach, bijąc najmocniej na to, żeby we wszystkim był porządek należny.

Tak też i było.

Chomąta, szory, taradajka, wóz, stajnia, konie — aż się szkiło.

Pan Srebrempisany na wszystko mający baczne oko, napozór niewiele wtrącał się do gospodarki, boć to Antonina rzeczywiście gaździla rzetelnie — do stajni końskiej jednakowoż zachodził ciągiem; miło to spojrzec na konie i cukrem lub skórkami chleba je uraczyć.

Często gęsto chusteczką przejechał po grzebienie końskim — no i co? — nic! — jaka biała przedtem, taka i pozostała.

Pochwalili się nawzajem w myślach.

Obaj zadowoleni.

Rzekł Jasiek.

— Uwanowac potrza, bo to prochem nima śpasu; nalenie kurz na włosy — koń, panie święty chudnie — niewiadomo cego, a to kurzu — no, no, mógłby skrepirować na cysto — uwanować potrza, bo to prochem i takie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O WYZŁOCONYM NAPISIE: „NAJDROŻSZEJ MATCE”.

Odtąd już w gospodarstwie było jak potrzeba i jak się należy.

Polne roboty, orki, bronowania, hakowania, siejba, żniwa (Jasiek, jak się okazało, na Saksy i pod Moskała na kośbę chadzał), zwózki, młocka — jednym słowem dobrze się działo.

No i była wygoda.

Jeszcze, co prawda, przez pierwsze tej zagospodarki lata, chociaż to już i te konie w stajence tupały, w mieście pan Michał mieszkał (czytaj: nocował), jeno od soboty do poniedziałku w Porębie Murowanej całodobnie bytując — ; — lecz później, gdy się tam coś w życiu jego powiązało, rozwiązało, ułożyło i zapadło — nibyto z namowy Antoniny i Jaśka, a z własnej nieprzymuszonej woli najbardziej — zamieszkał na dobre w porębskim dworku, a do szkoły dojeżdżał wedle nakazów potrzeby.

Był bowiem w Wołkowickiem gimnazjum nauczycielem historii, geografii, języka polskiego i niemieckiego; „nadobowiązkowo” uczył śpiewu i kierował orkiestrą gimnazjalną.

W samych Wołkowicach założył było towarzystwo śpiewackie, jak to wtedy (a niemieckim,

nie innym traktem przypłynęła) moda na takie zespoły istniała.

Zamieszkał więc w Porębie Murowanej z tych tam powodów osobistej i sercowej natury — a i z tej też przyczyny, że matka ukochana pani Marja z Kuderkiewiczów Srebrempisana, która mieszkała w Wołkowicach, kończąc przy synu dobrym żywot cichy i pracowity — umarła.

Po jej śmierci, która ostatecznie zerwała jeden a ważny, splot nici łączących go z przeszłością — wystawił w ogrodzie porębiańskim wśród klonów, jesionów, tawuł, paproci i bluszczów, pod bukiem starym, pomnik kamienny, nieozdobny i skromny z napisem: Najdroższej matce — ; — a nie szukając jej umiłowanego, opiekuńczego ducha na smętarzu, ani w grobie go widząc — imieniem jej wiecznej istoty chrzcił kwiaty i drzewa, pogody i słoty, ziemię i niebo — modre rozwianiem szat Bożych.

Matko!!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DZIWNIE OMAWIAJĄCY ZDARZENIA; PODSŁUCHUJEMY ROZMOWY ANTONINY Z JAŚKIEM PRZY BŁASKU CHWIEJNYM ŁUCZYWA; DOWIADUJEMY SIĘ O PANI, KIÓRA MIAŁA KRÓTKIE WŁOSY.

Dojeżdżał więc do Wołkowic.
Po lekcjach wracał do Poręby Murowanej.
Roboty było wbród.

Zjadłszy pośpiesznie skromny obiad upichecony jakoś - takos przez Antoninę — wychodził na podwórze, by z gospodynią i parobkiem to i owo najpotrzebniejsze w danej chwili uchwalić — i szedł do swego ogrodu sadzić, przesadzać, przywiązywać, szczepić, graczyć, plewić.

Tak do późna w noc.

I tak codziennie.

Dziwiła się bujnemu rozrostowi wielobarwnych kwiatów, ich przepychowi i osobliwej piękności przemawiającej i do jej duszy, plonem korzystnym zafrasowanej przecież docna — dziwiła się wielce Antonina; lecz myśli jej skąpe, nawykłe do praktyczności żgłędziły:

— Wciąż ino ten ogród, a ogród — skoranie boskie.

Aż tu którejś wiosny mniej się począł i bardziej dorywczo z ogrodem zadawać pan Michał Srebrempisany, a dziwnie długo przesiadywał w pustych i zaopuszczonych pokojach na piętrze.

Wszystkim t. j. Antoninie i Jaśkowi dziwno było, co to w tem jest na rzeczy.

Chodził tam, medytował, przystawał, mierzył, rozliczał.

Wnet się też skutki tych konspiracyj pokazały. Zaczął Jasiek zwozić malarzy, tapicerów, meblarzy, stolarzy, farby, gipsy i sprzęty.

No, to już wiadomo!

„Robią się“ pokoje „na górzel“

Mówi Antonina przy nalepie w kuchni po wieczery stojąca, oświetlona migotliwym płomieniem łuczyna w przypiecek zatkanem skośnie:

— Żyć się będzie, czy co?

A na to Jasiek:

— No, no, cón ta wiecznie będzie kawalirem — to i ganc nie pasuje, kawalirem będzie wiecznie i takie.

— Ale lata, widzisz, mo.

— Je, co ta lata! — pod piędziesiąt to ta nie wiele, je, co ta lata

— Zawdy! piędziesiątka nie piędziesiątka, może i wiency — trzymie się, wiesz, setnie, ale lata mo; takiemu łodmienić stan nie ujdawo i łopacnie.

— E! i takie.

— A wiesz ty, Jasiek, zejek słysała łod babki z Gorzenia dolnego, a una ta wse wszystko wie,

niedziwota, wciąż po chałpak chodzuje, ze nas pon niby jes żyniaty.

— Co nie godocie — no, no, żyniaty i takie.

— Tak Góralcycka godała, a inksi tyz mówili, jak i na ten przykład Książek stary pado: żyniaty un musi jes, ino ze tak cosik nie zyjom ze sobą bez jakisik kłopot cy cosik kasik.

— To ni mone być, neby tak, przecie niepięknie i takie, to ni mone być.

— Moze, cy ni moze, ale tak jes, jo ci mówię; babak jes, a baby zawdy spenetrujom te małżeńskie sprawy łocwij, chłop, widzis, ni mo na te rzeczy praktyki ani rozumu.

— O, nimo nie, kaby i takie.

— No włośnie.

— A kim?

— Niby co?

— No, no, niby żyniaty — ? —

— Z jednom, pono, naucycielką od granio, ale tego juz dokumentnie niewiadomo.

— Naucycielką? — śpas, co wy tys nie godocie? — no, no i takie — powiedzcie ino, naucycielką.

— Ano niby.

— Panowie ta różnie wydziwiają i takie.

— Dobry jez, nie godoj po próżnicy.

— No, no, jakos — dobry i takie.

— I wiarowy cołkowicie, nie bocys to krzyzka i Matkiboskiej nad łóżkiem?

— Tak to jes, ale se boccie gospodyni — rzodko un jes do kościoła chodzący i takie.

— Rządoko, nierządoko, nie rachowałak, ani wiem, może i prawda, ale to nie znaczy wiele, czasem się ktoś zawężnie to i pięć років nie pódzie, nieprzymierzając jak i ten, pamiętos, Wondrok Alojz, niewiedno, co go tak zmierziło to ci bez pięknych poro lot, ani do kościoła, ani do świętej spowiedzi chodzić nie kciół i nie sed; przydzie czasem na człowieka takie omamienie.

— Nawdy to cięski grzych i takie, grzych cięski.

— Niek se ta kozdy swojego dbo, dziś go, sądził będzie, jaki mi sędzia.

— No, no, nie sądze, co mi ta, tak ino godo, nie sądze i takie — ale nawdy co do tego, toby przydała hawoj gospodyni przydała i takie.

Antoninę aż sparło:

— Głuptoku, głuptoku, głuptoku ci mówie trzy razy! — Gospodyni ci się zakciwio, ciwy! — Z miasta ci akurat przyńdzie, z miasta! — Miastowo nic warto na wsi; z bykaś spod! — co się ta tako może rozumieć na wsiowej krzątacce.

— No, no, to rekt macie, ryktyk słuśnie, ale nas widzicie jegomoś som nawdy, to oćpno, mone nie som i takie, włośnie słuśnie widzicie i takie.

— Som! Som! Co ta som! — Mo swoje kwietuski, w ogrodzie mo, a i w pokoju kwiaty po samom powałe — to jes prawy oznak, taki to już na samotnego widać od urodzenia zdeliberowany; cośik ta już musi być w człowieku jak ze swoim nie żyje.

— No, no — ady i w unej być mone i takie.

KSIEGA CZWARTA

*PANI O KRÓTKICH
SREBRNYCH WŁOSACH.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W KTÓRYM POZNAJEMY NOWĄ A WAŻNĄ DRAMATU
PERSONĘ.

Tak czy owak, w nim, czy w „niej” — niechy-
bnie coś tam na rzeczy być musiało.

Nieinaczej!

Po onych pokojów uporządkowaniu — zwy-
czajnie: kuchnia, jadalnia z jasnymi dębowymi
meblami, pokój balkonowy, pokój „niebieski” —
biblioteka, sypialnia jedna na prawem skrzydle,
druga na lewem — poczęło się wysyłanie i przyj-
mowanie pilnych listów, aktów, przesyłek, a na-
wet zdarzały się pana Michałowe wyjazdy, z któ-
rych jeden wydłużył się aż na dwutygodniową jego
niebytność w porębskiej samotni.

Potem się to jakoś urwało; przycichło.

Aż tu znów coś nowego!

Rzecz niezwykajna!

Którejś niedzieli padło hasło:

— Po obiedzie, Jasiu, pojedziemy do miasta.

Jechać, to jechać!

Pojechali!

Zajechali przed kamienicę jakąś; pan Michał
wysiadł.

Zabawił chwilę w tej kamienicy.

Lecz już sam z niej nie wyszedł.

Szła z nim pani cale młoda, bardzo piękna, o rysach regularnych, a wydatnych; — bladość lic wzmacniała wielkość zielonych oczu.

Ubrana była pani ta niezwykle skromnie, rzeczy można, surowo — ; — długa po kostki popielata spódnica w duże, czarne, szkockie krechy, czarna bluzka kroju marynarki męskiej.

Z pod również męskiego kapelusza wysmykiwały się przedwcześnie posrebrzone loki krótko przyszytych czupryny (cudactwo niesłychane w latach onych posiedmdziesiątych).

Biały, ogolony kark podkreślała linja kołnierza.

Wszystko razem: zjawisko zgola nieniewieściej energii i stanowczości.

Kobiety jeno był uśmiech cudnie wykrojonych dziecięcych nieco warg — uśmiech pełen smutku i słodczy.

Tak to tam wtedy usiedli w powozie razem. — Do domu!

Zaturkotały koła na miejskim bruku.

A potem już cicho i miarowo podudniająca jazda znany gościńcem.

Była bezwietrzna, skwarna cisza.

Jechali w milczeniu.

Dopiero gdy wjechali w cień podleśny, gdzie droga dość stromo pnie się pod górę, konie zwolniły biegu.

Pierwszy przemówił pan Michał.

Głos jego załopotał nisko, cicho, a bardzo wyraźnie:

— Więc. Zofjo droga — przecież trzeba nam to ustalić.

Przerywa dość gwałtownie głos melodyjny, krótko słowa akcentujący:

— Nie, nie! — Michale wiesz! nie! — Nigdy razem, nigdy; to nad moje siły; — kocham cię; wiesz; — uszanuj to uczucie: uszanuj; przepadnie jeśli... przepadnie... a ja nie potrafię... wiesz; dom, rodzina — nie, nigdy! — Chciałeś, wyszłam za ciebie; mówiłam; — najpiękniejsza to ta miłość nasza; — nie śmiej się z słowa: tęsknota! — Tak, tęsknię; — i tak też cię kocham — tą tęsknotą właśnie; — nie niszczonego może nawet jest wielkie, wzniosłe; czy ja wiem... drogi Michale.

Ze szczytu pagórka zjechali wdół zwyczajnym truchtem.

Zagubiły się dalsze słowa w południenu, że to i droga tutaj wyboistsza bardziej i kamieniami wysypana.

Wysiedli przed gankiem.

Chwilę stała pani Zofja przed bramą dworu porębiańskiego z ciekawością w oczach, a może z lękiem odlatującym poza gęstwę drzew.

Weszli.

Odtąd co niedzielę jeździł Jasiek do miasta po piękną panią o krótkich włosach.

— Czyżby to ten odmieniec — ? — myślała Antonina; lecz nie mówiła nic.

Bo to nigdy nic niewiadomo.

Nikt jeszcze nie stracił na zbytniej ostrożności.

Była pani Zofja dla Antoniny zawsze bardzo grzeczna, miła i „ugadana”.

Witały się z uśmiechem.

ROZDZIAŁ DRUGI

*O DRODZE PODGÓRSKIEJ PIĘKNIE OPISANEJ PRZES
POETĘ, O WIELKIEJ BURZY JESIENNEJ I O WAŻNEJ
NOCY.*

Tak trwało ze dwa lata, może dłużej.

Aż kiedyś pod koniec października w chłodne, słoneczne popołudnie niedzielne, wybrali się, niby pani Zofja z panem Michałem, na spacerową przejażdżkę w stronę Suchej.

Droga z Poręby Murowanej ku Mucharzowi, Skawcom, Suchej, Makowu, aż już tam dalej do samych Tatr — jest zewszzechmiar cudna.

Bitą, królewski trakt odwieczny wiję się pod stokami gór wzdłuż brzegów Skawy w ciągłych skrętach, za którymi czają się uroki niespodziane: głębokie obszerne doliny zamknięte pasmami żywych gór, szczyty doganiające się, stłoczone, w siebie wrosłe, to znów samotne, wyżnie, strażnicze; nad samym gościńcem pośród gęstych zieleni podbiału piętrzą się zwały kamieni olbrzymich — między niemi zaplątane sosny-awangardy ginącego w mgłach lasu.

Gaje brzezinowe, zagajniki olszowe, obszerne błonia nadrzeczne porośłe ostami, macierzanką, żarnowcem i dziewannami, — olbrzymie topole,

dęby i lipy, — białe domy, połówki, osiedla gęste, miasteczka urocze dorastające drzewom starym po pachy wieżami spadziestemi drewnianych kościołów — piękno wszelkie!

Żal, że przy każdym z tych cudów przystanąć nie można i wchłonąć go w siebie do ostatka.

W szybkim przejeździe czai się smęt mijania.

W jakieś półwieku po tych zdarzeniach codziennych wplecionych w kronikę wymowną sprzętów i przedmiotów, gdy sprawy świata inny zgoła obrót wzięły — przeszedł tę drogę poeta-ostrowidz pełen porannego zaśpiewu i radości ze spotkania rzeczy dokonanych.

Wśród chmury pyłu, która się przewiała tym podgórskim gościńcem, wyrosło serce poety salwą słoneczną.

Odtąd ten szmat najpiękniejszej ziemi stał się jego własnością, a on własnością drogi i ziemi dookolnej.

I przemówiła wtedy ta ziemia: zaiste; chodzącym krzewem jest ta dusza kwiecista i to ciało zielne; krzewem śpiewnym i gorejącym; ptakowie wiją gniazda w jego gałęziach; pisklęta w cieple serca rosną nad podziw urodziwie; jak świat światem nie było takich ptaków w Beskidzie.

— Poeto! — Miej się na baczności — ziemia jest strasznie zazdrosna!

Część tej drogi opisał w poemacie pięknym.

A oto jego słowa:

— — — — —

Tu — potok, jak wiewiórka, skacze po kamieniach
i porusza młyn jakiś kaprysem ramienia,
które spada na koło z niebywałą siłą,
jakby chciało zgruchotać konstrukcji zawiłość.

Na rumiankach, co legły dywanikiem płowym —
poniżej tego traktu, można złożyć głowę
i słuchać szumu wody i śledzić obłoki,
ścigające się z wiatrem, a może z potokiem.

A gdy wszystko się zmieści w jednej opowieści,
która pozór legendy odnajdzie w beztreści,
trzeba przerwać marzenia, wrócić na gościniec
i posłać pocałunek ręką tej dolinie.

I znów — wierzby, kasztany i dziesięć zakrętów
i góry, wydźwignięte na kilkaset pięt, —
wreszcie — stary budynek, co w cieniu drzew
przysiadł.

To karczma. Ale jaka?!... To — karczma Urysia...

Wśród tych cegieł śpi jakaś przerwana rozmowa,
i zakłęcie czarownic w dwóch nieledwie słowach,
i coś jeszcze poza tem, o czym się nie mówi,
by Boga nie obrazić i duszy nie zgubić, —
bo podobno czart mieszka w tym przydrożnym
dębie,
ale to mówią tylko tu — w Świnnej Porębie.

Więc dalej, dalej jeszcze — pod ścianą z skał
jakichś,
po której sosny chodzą w towarzystwie ptaków,

a każda z takich sosen w pazurach korzeni
trzyma, jak sakwy złota, pięć najmniej kamieni.

I znów plant kolejowy i szeroka Skawa,
która tu dziwne harce po głazach wyprawia
i bije fal pianami i jakąś pieśń miota,
co ginie w tej wiklinie, jak czyjaś tęsknota.

I tak już do Czartaka, w którym śpi historia —
w trzywiekowym istnieniu i arjańskich gloriach.

I tu się rozstajemy z plantem i ze Skawą,
na górze widać kościół: skręcamy na prawo.

Pod górę bitym traktem — piędź po piędzi ziemi,
wreszcie — w lewo, po drodze zasłanej kamieniem,
i po jakichś wysiłkach, otarłszy pot z czoła,
stajemy razem z słońcem w przedsionku kościoła.

To — Mucharz. Z tego miejsca może nam się uda
kiedyś odkryć, jak karty, nowe jakieś cuda,
ale teraz — czas nagli — pogódźmy się z Bogiem,
co patrzy z wyżyn krzyża — — — — —

Owo niedzielne popołudnie październikowe
było, jak się rzekło, słoneczne i chłodne.

Jechali pełni rozmownego milczenia.

Dawno niezaznane słodkie uczucie wspólności
i współobecności ogarniało ich jak powódź świe-
tlista.

Trzymali się za ręce.

Mijali góry, jary, wądoły, doliny i wsie.

Pełni śpiewności.

Za Skawcami zachmurzyło się niebo; zerwał się wiatr zachodni zimny i mokry.

Którejś chwili przedarły się ciemne rozpędzone chmurzyska i światło słoneczne runęło snopem na drogę, dolinę i góry.

Równocześnie zaczął padać deszcz skośny, rzęśisty i srebrny.

Osobliwe było to wrażenie słonecznej pogody w połączeniu z deszczem.

Cały krajobraz poprzez te srebrne strugi mglił się, bieliścił i modrzył.

Wnet też ponad górami — wyrosła, wielkim, rozłożystym kręgiem ku Skawie opadająca — tęcza świetlista, wyrazista, długotrwała. Pobok zjawiała się druga, bliźniacza, biała i zwiewna, jak sen wielobarwny.

Tak też tam jechali tą srebrną, mokrą drogą pod złuczonym mostem tęczy.

Wiatr nagał nowe groźne pułki chmur.

Pod grozą chłosty szły do ataku.

Zamknęło się okno słoneczne.

Tęcze przygasły, zszarzały, znikły.

Uczyliło się mroczno.

Zawrócili do domu.

Na chwilę wiatr ucichł. poczem ulewa rozpoczęła się na dobre.

Powiało przejmującym chłodem.

Wraz też już z sukursem deszczowi, śnieg gęsto prószyć począł.

Rozpętała się w pełni jesienna, zawiejna burza.

A mrok zewsząd pełznący zapowiadał niechybnie rychłą noc.

Przez całą przestrzeń, ile jej ieno oczy zagarnąć mogły, siekł naukos z furją deszcz z śniegiem poświadany świszczącym batem lodowatego wichru.

Huk i szum przewalał się po borach i górach; drzewa z jękiem odwracały się od wiatru, nakrywając się zawisem nagich gałęzi, jak baby spodnicami

Z dębów zrywały się, jak wylęknione stada rdzawych ptaków, zawieje liści i gnały z wiatrem i deszczem na wyprzódki.

Wyorzyska i brózdy zabieliły się siną powłoką śniegu mokrego.

Skostniali, przemoknięci — zajechali w tej nachale ulewnej, huczającej, żałośnie rozjęczonej — przed ganek porębskiego dworu.

A mrok już zapadł walny.

Konie znużone i zestrachane nie chciały ustać na miejscu.

Burza z minuty na minutę wzmagala się srozsza i nieustępliwsza.

Raz po raz nowy atak wichru walił jak głuchy dudniący pogrzmot w beskidzkie zwały gór.

Drżała ziemia pod stopami rozhukanej przelatującej z bojowym krzykiem burzy.

Nijak też już było wracać pani Zofji do Wołkowic.

Trzeba się przecież koniecznie wpierw osuszyć i jako tako ogarnąć.

Zrządziła conieco sposobem niewieścim, że to wszystko, powiada przez ciebie.

Niepotrzebny ten cały wyjazd.

Któż jednak mógł przewidzieć, że akurat dzisiaj taka burza się zerwie? — nikt!

Zacisze domu, poza którym wiatr huczał i tarosił zalewane deszczem drzewa, było sercu nad wyraz przydatne i kojące.

Kazał natychmiast pan Michał — sam skwapliwie w tem pomagający, pozaświecać lampy i świece w górnych pokojach, pozapalać w piecach buzującem drzewem.

Ražno i wesoło spoglądały pokoje czarnemi ślepiami okien w mrok zawiejny.

A noc stała tuż przed szybami.

Potem tam tę panią swoją po pokojach troskliwy gospodarz oprowadzał.

Pierwszy raz je wtedy widziała.

Mimo nalegań i próśb — przez te lata swych przyjazdów porębiańskich, z niepokojem gwałtownym, i aż wstrętem nietajonym odsuwała wszelki cień możliwości zwiedzenia tych pokoi, które przecież....

W jadalni zasiedli do kolacji.

Na kominie trzaskał ogień wesoło.

Za oknami burzliwa noc.

Zatrzepotało w kręgu lampy — to imię — a tak zciszenie, że chyba jeno sercem dosłyszane:

— Zofjo.

Koło północy burza doszła do najwyższego nateżenia.

Wiatr poszarpany kędys na turniach tatrzańskich siepał się rozdartem cielskiem, wściekle wyjący, oszalały z bólu, po górach i dolinach skotłowanych.

Strumienie wezbrały i toczyły się poprzez noc, naoślep szukając drogi z złowieszczym, gniewnym, nieprzejednanym poszumem.

Rynny nie pomieściły zalewu — raz po raz przechlustywały strugi wody na okna i mury.

Dwór porębiański ogłuchł i oślepl.

ROZDZIAŁ TRZECI

O PORANKU UŚMIECHNIĘTYM I WONNYM WRZOSOWISKIEM I ŻÓŁTIEMI RÓŻAMI; POCZEM O PRZYBYSZU NOWYM.

Rankiem pani Zofja wyjechała z Poręby Murowanej.

Wyprowadził ją pan Michał przed dom i długo na pożegnanie rękę jej przy ustach trzymał.

— Bądź zdrow — wyrzekła głośno, prawie zuchwale.

Poranek był po owej srogiej zawierusze jesiennej przedziwnie piękny.

Mgły opadały; — przeświecilonym różowym pasem snuły się nad rzeką.

Ponad ich sklepieniem góry ciemnozielone z płonącemi czubami buków słoneczniły się i drżały rytmicznie.

Lekki wiatr nawiewał zapach żywicy, wody i listowia.

Cała dolina Skawy zakwitła podziemnie nagrzanem, wonnem wrzosowiskiem.

Dzień upodabniał się do wczesnowiosennych wspominków.

Z poza mórz, zatok i wysp zorzanych wyzło-ciło się słońce.

Rozwiały się mgły.

Wilgotne, lśniące ścierniska i zaorzyny odmłodziły się w uśmiechu radosnym.

Lustrzyły się stawki wód śródpolnych.

W ogniach stanęły wierzby, kasztany i lipy przydrożne.

Topole płonęły jak pochodnie.

Lasy przyprószyły się w wądołach złotym kurzem.

Góry panowały omgłą zieloną pod czystym, modrem niebem.

W parku drogi, aleje i ścieżki zasłane liśćmi brzoź, klonów i jesionów.

A jest tak jaśnięcie, tak przeźroczo, że to raczej płaty płomiennych, żółtych, czerwonych i miedzianych kwiatów rzucono pod ścięte śmigliny kół powozu, który w szeleście żwiru i ścióły toczy się oto ku bramie.

Konie wyrzucają głowami, rżą krótko, a wesoło.

Pan Michał wyszedł na most.

Długo patrzył za odjeżdżającą.

Pojazd skręcał już ku kaplicy, gdzie droga gubiła się w zakręcie wśród wierzb i kasztanów.

Jeszcze chwila, a stanie się nieodwołalnie....

Jedyna realność zniknie z przed oczu...

A oto stanęła pani Zofja w powozie i ruchem zgola chłopczyńskim zerwała kapelusz z głowy i ukloniła się pożegnalnie panu Michałowi — ukłon silny, zamaszysty, wyrzucony na całą odległość ramienia.

Powóz wtoczył się w cień lip przykaplicznych.
Znikł.

Pan Michał wracał powoli do parku.

Przystanął pod kolumnami balkonu.

Zawahał się chwilę —;— wejść do domu —?—

Poszedł w głąb alei.

Zawrócił.

Skierował się ku południowej ścianie domu.

Tam to rosły bujnie, pielęgnowane pieczołowicie, ochraniane przydaszkiem i oszkleniem od burz i dżdży, krzewy żółtych róż.

Rozkwitły w ilości znacznej — ku słońcu przechylone.

Ściał wszystkie kwiaty i pąki.

Bukiet znaczny.

Zadziwiła się Antonina srodze, gdy „jegomość” kazał przywołać „ale to prędko”, „ale na jednej nodze” — kogokolwiek ze wsi, ktoby jeno zechciał, a miał czas — byle zaraz — iść do miasta.

Z tym bukietem właśnie.

Przecież codopiero była okazja.

Wydziwianie!

Nie szkoda to fatygi — ? — a i posłańcowi wyrzucić coś trzeba; — „szóstką” ani dwoma się nie ukontentuje.

Cóż robić.

Wykonała wartko zlecenie.

Chętnych do pójścia i zarobku było dość.

Nie minęło pół godziny, a już drogą do Wołkowic szedł bosy wyrostek z wiązaniem ostatnich

tegorocznych róż i z listem małym, lecz widać ważnym — — po kilka razy pan Michał powtarzał: uważaj, żebyś tego nie zgubił! Pilnuj jak oka w głowie.

darum pflück ich, o Rose
vom Stamme dich ab —
du sollst ruhen am Herzen....

Nazajutrz wyjechał pan Michał Srebrempisany do Lwowa.

Zabawił tam cztery bite tygodnie.

Wrócił wreszcie — w posępie niejakej — ku samotności się garnący, a ludzi unikający docna. Całą zimę w książkach jakichś się grzebał i w stertach pożółkłych papierzyk.

Do komnat górnych nie zachodził zupełnie.

Dalszych relacji Poręba Murowana nie miała. Na tem też kończy się ta część pamięciowego raportu Antoniny Brańkówny.

Tak minęła, bez zdarzeń, w odosobnieniu klasztornej, zima, a po niej zwyczajnym porządkiem wiosna. lato. jesień i znowuż zima.

Dopiero tej drugiej wiosny podosiej, tenże Jasiak Zajac, tymże właśnie powozem, którym w on pamiętny dzień po nocy burzliwej odwoził panią Zofję — przywiózł nowych ze stacji wołkowickiej, niespodzianych przybyszów do porębsko - murowańskiej samotni: tęgą mamkę w dziwnym

krygującą się czepcu i niespełna roczne dziecko płci męskiej — a to właśnie Mikołaja Srebrmipisanego.

Zaraz przy pierwszym zapoznaniu się (pan Michał stał oparty oburącz o stół) rzekła opiekunka Mikołajowa:

— Drobnych jest kości, ale zdrowe.

Dziecko podniosło płacz wielki.

Pan Michał i komnata i dwór cały zamilkł w podziwie i medytacji.

Weszła Antonina i orzekła:

— Cały jegomość! Jak Boga przy skonaniu pragnę — wykapany! Ciewy, cie! — Trza im, ni-by małemu i unyj pękój jakisik wyrepecić chybikiem.

— Słoneczny, bardzo słoneczny! — To były pierwsze tej chwili słowa ojca Mikołajowego.

— A bo to i list jest od Pani.

Słowa krótkie, zwięzłe; treść główna w zdaniach końcowych:

„— widzisz drogi Michale — już ja tam o, słusznie! — mam więcej zaufania do Katarzyny (tak się zwie niańka) niż do siebie — ; — zresztą cóż? — ty wiesz; wyrozumieć musisz i wyrozumiesz — prawda? — jak dawniej! Jak dawniej!

Twoja i zawsze ta sama

Z. S.

— Później — w rok, a może półtora (czy to można tak wszystko dokładnie pamiętać) — zaszła

w trybie bytowania porębiańskiego zmiana dalsza:
— po długiej, długiej przerwie — regularnie co
niedzielę przyjeżdżała w odwiedziny do pp. Mi-
chała i Mikołaja Srebrempisanych piękna pani
o krótkich, srebrnych włosach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

*O PRZYJEŹDZIE, POKOJU - KAPLICY KWIECISTEJ,
ZABAWKACH, PIWNICY, FLASZKACH I O TEM ŻE
STARSI SĄ BARDZIEJ DZIEĆMI NIŻ DZIECI.*

W niedzielne popołudnia — takie, jakie tylko na wsi się rodzą: ciche, skupione, nabożne, zajeżdża było przed ganek porębiańsko murowiański powóz.

Wysiada z niego piękna pani o krótkich, siwych włosach.

Zanim dotknie stopni zdejmuje męski kapelusz, potrząsa głową — rozsypują się włosy: bujnieje czupryna tym ruchem podmierzwiona.

Mikołaj — tak to już w zwyczaj weszło — stoi przed drzwiami wchodowymi z bukietem kwiatów.

Szatka na nim świąteczna: kurtka aksamitna z wyszytą u dołu kotwicą, portczęta wpuszczone w butki, kołnierzyk biały wykładany.

A zawsze taki bledziutki; włosy płowe szesnane grzywką na czoło; uśmiech skośny, nieco ku lewej stronie wzniesiony.

Podchodzi do niego pani Zofja zamaszystym chłopczyńskim krokiem, schyla się nad chłopcem, bierze główkę małą w obie ręce, ruchem, jakby

wazon podnieść miała, kieruje tę twarzyczkę ku swojej — całuje w czoło, w oczy, w policzki — i mówi —, — a to jest jej pierwsze zawsze słowniesło, dźwięk półpytający, półpotwierdzający, zastępujący zdania długie i wzruszenia zawile:

— No?! —

Chłopiec rumienił się i opuszczał główkę.

W tej chwili nie miał nic do powiedzenia.

— Zdrów jesteś — ? —

Przytaknął.

— Odpowiedz że mi —

— Zdrów.

— A tatuś — ? —

— Zdrowy.

— No, to chodźmy.

Bierze go za rękę i idą przez sień do pokoju ojcowego.

A tam już pan Michał podchodzi ku drzwiom uśmiechnięty, rozradowany i nieśmiały.

Serce bije tak mocno — dlaczego? — więc oddycha głęboko.

A cale inny jest niż wczoraj, niż przedwczoraj, niż w poniedziałek ubiegłego tygodnia — a taki właśnie jak w niedzielę, jak w każdą niedzielę zofijną.

Zaznaczało się i „nazewnątrz” to zinação.

Przemienienie zaczynało się w sobotę wielkiem porządkowaniem w obu pokojach, porządkowaniem, do którego nie dopuszczał pan Michał nikogo prócz Mikołaja.

Nie podobało się to Antoninie:

— Widziane rzeczy! — coż to ni może posprzanować, a chociażby pomóc? — łódźwięcom sie groty cy co? —

Krytycznie też spozierała na tę sprzątaczkę, niechęć bowiem łatwo dopatruje się błędów:

— Nastawia kwiatów kaino jak w kaplicy nieprzymierzając i myślą ze cejco nie zrobili —

Coś tam w tem jej żgłędzeniu racji było.

Niby to jest i czyściej i porządniej i ustawniej — ale mało-niewiele; lecz za to kwiatów moc!

Na stołach, na oknach, na szafie, na zydlach nawet — : doniczki z rozkwitłemi begonjami, pelargonjami werbenami, kaljami, azaljami, hiacენტami, narcyzami, tuberozami — wedle pory roku — ; — poza tem wazoniki i flakony pełne wajgelij, hortensij, akacij, konwalij, storczyków, róż, bławatów, maków, wyk i wszelakich kwiatów polnych.

Istna „kaplica“.

Czekał tedy pan Michał przy drzwiach:

— Witam, stokrotnie witam cię, droga Zosiu. W obie ręce ją całuje.

— Jak się masz, Michale.

— Dobrze — ; — jesteś —

Rozejrzała się po pokoju:

— Zawsze u ciebie tak kwieciście — dziw, skąd ty tyle kwiatów masz.

— Ano, taką kwiatową drogę u schyłku życia obrałem — to i są kwiaty.

— Mikołaj bardzo blady.

— Blady, lecz zda mi się zdrów.

— Chodź Mik, pokaż mi zabawki.

Już rzuciła płaszcz i kapelusz na kanapę.

Już była w pokoju Mikołajowym.

Przystanęła w pośrodku; odetchnęła:

— Wilgoć; czuć pleśń — a cóż grzybki — ? —
 ach te wasze grzybki! — Dziwy, dziwy z grzybami
 mieszkać!

Skąd „ona” to wiedziała o tych grzybkach?

Przecież w niedzielę nigdy grzybów w pokoju
 nie było; nigdy! — ani jednego! — chyba wieczorem;
 coprawda rano, prawdę mówiąc, no ale
 to rano, a teraz jest popołudnie.

— Przywiozłam ci książkę; ciekawa bardzo,
 piękne w niej obrazki.

Książka! ach, śliczna!

Obrazy kolorowe — a jak dużo! —

Tyle pytań — a co to? a to? a to?

— Ech, Mik, duży już jesteś, powinienes już
 wnet sam czytać — a litery ci odpowiedzą. —

Przez drzwi zawołała:

— Michale, trzeba-by już Mika uczyć. —

— Coś tam już liter zna; zmiłuj się, toćże pięć
 lat co dopiero skończył; lecz zaczniemy w przyszłym
 tygodniu.

— To dobrze.

Tedy obejrzano i przedyskutowano spolem
 sprawę zabawek, które chłopiec traktował tak
 jakoś opacznie, — że to niby dzieci miewają za-
 bawki — lecz tylko to; na tem koniec; obyczaj

raczej, bo sam ani zbytniego przywiązania ani zainteresowania nie miał w sobie do tych mechanizmów jeżdżących i trajkocących. do kotów. psów czy koni podziwaczałych.

Nierad się też niemi bawił.

Jeszcze bąk - fryga — owszem! śmieszenie na podłogę zeskakiwał i huczał gniewnie i tańczył no jednej nóżce chibotliwie.

Zresztą tyle było zajęć lepszych, ciekawych i najlepszych i najciekawszych.

A gdy już pani Zofja usiadła w fotelu ojcowym przy stole, rzekł ojciec:

— Mikołaju, zajdźno do piwnicy i przyniesź flaszkę wina, tego z pod półki, wiesz, w długich wąskich przegrodach.

Była ta piwnica po przeciwnej stronie sieni, od której grodziły ją drzwi jednoskrzydłowe, dębowe, nabijane dużemi gwoździami; na każdej szerokiej, płaskiej główce wycięta ośmiopromienna gwiazda.

W piwnicy panował mrok — raczej noc.

Długa pięknie sklepiąa nawa (— właśnie nawa! — o tej to bowiem części porębiańskiego domu legendy mówiły, jako o żywej reszcie arjańskiego zboru) przedzielona była murem ceglany m na dwie połowy; w pierwszej okno zamurowane, w drugiej małe, górne, więzienne, ostoja i ucieczka pajaków — ; — mogłóż więc tam być jasno? —

Smuga zgaszonego światła płynąca przez otwarte drzwi w tym dobudowanym, dzielącym murze — zdawała się wskazywać drogę — : — drogowskaz leniwy i lekkomyślny.

Dziwna, niezapomniana woń tej piwnicy!

Chemiczna miskulancja pleśni i wina.

W pośrodku stały na ligarach mniejsze i większe beczki (z Węgier saniami zimą na grochowie ostrożnie zwożone) — pod ścianami w piaskowej grobli zaryte szyjkami flaszki pękate, wydłużone okrągłe, czworogranne, białe, zielone, brązowe, czarne.

Historja tych spraw jest dość zawiła.

Bywają takie dni, w które cała sień zastawiona jest flaszkami umytemi.

W kotliku miedzianym moczą się korki, które nigdy na dno opaść nie chcą, a przyciśnięte palcem i pod wodę wepchane — przy pierwszej nadarzzonej sposobności wymykają się i skaczą na powierzchnię.

Pobok leży klockowaty, drewniany młotek do wbijania korków w flaszki.

A gdy już wino natoczone, gdy już korkami zabezpieczone — zaswieca się świecę i całe nabożnym, celebrującym sposobem lakuje się flaszki. Olbrzymi cień ojca czerni się na ścianie i na wklęsłości sklepienia.

Przyodziane w czerwone kapturki idą flaszki do piwnicy na stałe, piaszczyste mieszkanie; — tam wiodą żywot cichy i skupiony.

W piwnicy, jako się rzekło, jest ciemno — a światła akurat za mało na niezblądzenie.

Lśniącym odbiciem szklawa ziorają jednookie butle na wchodzącego — budzi je otwieranie drzwi.

Śmieszne są te oczy na grzbiecie — i tajemnicze i trochę groźne.

Nie zawadzi przeżegnać się prędko.

Bierze Mikołaj poomacku flaszkę skąd trzeba i wraca pospiesznie (bezpieczniej nie oglądać się za siebie).

Wchodzi do pokoju.

Siedzi pani Zofja w fotelu — a za nią stoi ojciec nachylony.

Usta jego i policzki dotykają jej krótkich srebrnych włosów.

Mówi sciszenie; w oczach jego wzrasta pytanie.

A pani Zofja odpowiada również pytaniem skierowanym do Mikołaja:

— Znalazłeś — ? —

Starsi są tacy dziwni i cudaczeni — doprawdy bardziej niż dzieci.

Przy winie rozmowa nudna o tem, co się tam na świecie dzieje.

Nic ciekawego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O STROMEJ DRODZE, WIDNOKRĘGU ROZLEGŁYM,
GRODZISKU, O ZIELENI WYSOKIEJ I GŁĘBOKIEJ,
O STORCZYKACH I RĘCE SAMOWOLNEJ, ORAZ
O MALARZU NIEZAPOMINAJEK.

Tedy już szli razem wzdłuż łąki pod lasem —
drożyną nad podziw wycudnioną.

Po lewej zieleń kwiecista. —

Po prawej leszczyny, głogi, lipy, klony, graby,
buki, dęby —;— gąszcz nieprzegarniony; pełno
tajemniczych kurytarzy, przesmyków, przyładków
i okien niebieskich.

Przed samem wejściem do lasu olsza i jawor
czyli bramę wielką: z liści napis: tedy!

Mierzwiło się to słowo na wietrze nieustają-
cym.

Droga szła w górę stromo.

Duże skały płaskie i wygładzone taflami zale-
gały mech: maleńkie, podziomkowe sosenki żół-
te od spodu a soczyście zielone wierchem.

Puszyste dywany.

Teraz trzeba nieco zboczyc —;— idziemy
przecież na grodzisko.

Tu znów łany borówek i wrzosowisk — krzaczaste liljowe, wonne.

Wreszcie okno niedomknięte od góry, więc już niebem nakryte, sklepione.

Z pomroku zielonego lesistej drożyny słonecznią się też — ejże! — pola.

Tam przystaniemy, odpoczniemy.

Pola lecą południowem zboczem na łeb na szyję w dolinę, przez którą wije się błękitny gościniec rzeki wokół wysp piaszczystych, wiklinowych.

Ponad doliną pasma falistych wzgórz zielonego, uprawnego Beskidu — jedno, drugie, trzecie — spięte fantastycznie rzemieniem gliniastej drogi — do Kosińca, ku Świnnej Porębie, ku Chobotowi, Gołębiówce —; — na lewo wądół poniżowski.

Nie koniec na tem!

Jest i czwarte pasmo niebieskie — już i piąte modre i szóste zamglone.

W głębi nad Ponikwią rozłożysty stok Babiej Góry; widać wyraźnie kopiec Djablaka; — nie w czepcu; będzie pogoda

Na dalekim widnokręgu wtopione w tło nieba koroną się i kryształą szczyty Tatr srebrne i bardzo nierzeczywiste.

— Jesteśmy na grodzisku —, dawne dzieje, ósmy wiek po Chrystusie —; — kiedyś wykopałem tutaj czerepy z epoki, właśnie, grodziskowej —; — ornament jak wiadomo...

-- Co to znaczy z ósmego wieku? —

— Ano dawno — — widzisz wtedy rzeka, co się tam teraz pod Jaroszewską górą wije, płynęła wtedy tuż pod nami u stóp Grodziska — — cała ta dolina piękna i uprawna to jej, tej rzeki, robota, wielka robota. —

Spoziera Mikołaj i medytuje i po skałach się wspina.

A skaliska, setne bloki, powalone, załamane, zepchnięte — tworzą groty mroczne, wądoły, zapadnie i szczeliny szerokie —;— pewnie to piwnice tego grodziska — o którym już nieraz sły-szał —;— boi się nieco.

Lecz na bojaźń trzeba mieć czas.

A tu inne sprawy na głowie.

Sprawy ważne.

Zieleń, zieleń wysoka,
zieleń, zieleń głęboka —
naokoło otwarta jak bramy;
idziemy tą zielenią,
liście lśnią się i mienią —
szukamy siebie — wołamy —:
hop! hop!

— U leszczynowego krzaku!
— Mój ty mały chłopaku —
— tuś mi bracie!!

Ach! Tak prędko szukacie, —
a ja w zielonej szacie
także jestem leszczyną —

mam gałęzie i liście,
sami tak mówiliście —
a teraz znaleźliście mnie tak prędko. — —

Uwaga —!— hop! hop!
Pod tą dębiną giętką,
małą lecz rozłożystą
tuż przy ziemi kolisto —
aha! — nie tak to łatwo?!
Zaginał trop!
Hop! hop!

Tak to, tak to, z tą dziatwą —
niema rady nijakiej. —

Przez te zielone znaki —
o lesie, o lesie, o lesie —

Przez te znaki zielone,
przez drożyny zgubione,
przez mchy, paprocie, wrzosa,
wonne głosy - półgłosy —
lesie, lesie, lesie —

Wiatr się czubami niesie
lesie, lesie, lesie. —

Słowo śpiewne się wieści,
pięści włosy, szeleści,
a radość ledwo że się w sercu pomieści —
o lesie, o lesie, o lesie. —

Potem powrót
Zając smyrgnął z wadołu.
Przeleciał blisko, bliźniętko.
Przednie skoki krótkie — ale zadnie! No!

Pod górę często skacze — takie mu też właśnie potrzebne.

Jeszcze kawał drogi do domu.

Mikołajek jest zmęczony; nóżki aż pod ramionka bołą.

— — Żeby tak pieska mieć — psa — takiby musiał być — przynajmniej taki (pokazuje olbrzymie rozmiary tego pieska na całą szerokość rozstawionych rąk) — takiby musiał być — — no i wózek mały — — wio! — a pies szybko — ale! co tam! — strasznie leci — wio! —

Spojrzała pani Zofja i mówi do tatusia:

— Wiesz, Michale, ten Mikołaj to ciągle coś tam do siebie mówi. —

Miała w ręce pęk storczyków — rzuciła nimi na chłopca — żeby, widać, to samodosiebie-mówienie zasypać.

Uderzenie miękie.

Zawoniało.

Śmiechu było z tego dużo.

Potem we troje zbierali kwiaty zgubione w zieleni wysokiej, głębokiej.

Mikołaj ochoczo, pomocnie, pilnie podawał z nawiązką — każdy kwiat z pęczkiem zmierzwionej trawy.

Ręce jego bowiem były jeszcze bardzo wolność miłujące — wolność i samowolność —; — niechętnie poddawały się woli, która przecież tylko storczyk chciała podać.

Lecz tyle tej trawy — i tak się samochcąc do piąstki wgarnia.

A gdy już byli blisko domu, gdy już ściany bieliste przeświecały poprzez liście jak tafla cichego stawu, mówił pan Michał, a mówił tak dziwnie, jednostajnie i cicho, jakby właśnie do siebie tylko przemawiał:

— Ileż szczęścia jest w każdym kwiecie, w każdej chmurze przelotnej, w każdym drzewie i kamieniu. — —

— wszystko jest pełne niewysłowionej tajemnicy, którą myśl jeno przeczuwa, którą czucie odgaduje — w barwie, głosie, kształcie, woni —

— o niezapominajki wykrojone z nieba przy-skłonnego, modre kwiaty —!—

— gdybym znał istotę waszą — zrozumiałbym wielkość Boga, który — On Jeden — ogarnia twórczość Swoją od dna po szczyt. — —

KSIĘGA PIĄTA
POD STRAŻĄ LIPY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O SIENI I ECHU, O ŚNIADANIU MIKOŁAJOWEM
W KUCHNI Z NAUKĄ MORALNĄ; WARZA DLA ŚWIŃ
IDA DO STAJNI.

S kąd wyszliśmy — tam wracajmy.
Przecież już tymczasem Mikołajek przeszedł
sień całą.

Małe jego stopki budziły pod sklepieniem
dźwięczące echo — śpiące tam tak czujnie jak
mysz na pudle.

Żebyś tam nie wiem jak cicho szedł, żebyś naj-
ostrożniej na palcach stapał — gdzieżtam! — nie
pomoże.

Chyba to echo z otwartemi oczami śpi jak
zając? — to może być!

Na pewno nawet tak jest, — bo są momenty,
dni takie, w których echo wyprzedza głos.

Jeszcze noga należycie nie dotknęła posadzki,
a tam już od sklepienia głosi się: dzień, dzień,
dzień, dzień!

Tak do siebie mówi.

Zda się przeto i to też rzeczą pewną, że ziarn-
ko maku rzucone na kamienne tafle zbudzi kiep-
sko śpiące lichu.

Tak dźwiękowi nijakiemu nie przepuściły
czujne, zrzedne, nieśpionkowe mury.

Czyhały na odgłos każdy, aby go sobie w plotce szybkiej odrzucać z rąk do rąk jak piłkę dziecięcą —; a ile razy dźwięk w nastawione dłonie padnie — dzeń! — dzwoni — aż wreszcie po wyczerpaniu wszystkich płaszczyzn odbicia — zapada w kąt najciemniejszy, gdzie już pomrukuje coraz ciszej aż do wygasu zupełnego.

Było to dziwne i przekorę ekscytujące.

Doprawdy! — chętnie stąpało się silnie, przytupliwie, całostopnie; krząkało; gwizdało; krzyczało.

Wtedy szło się było w chórze zapytań i odpowiedzi: jak? jak? jak? — tu! tu! tu! — skąd? skąd? skąd? — stąd! stąd! stąd! — tak? — tak!

Szło się było przez gęsty las pogłosów.

W kuchni zastał Mikołaj Antoninę mieszającą olbrzymią łychę w olbrzymim garze nieoślupione ziemniaki.

Karm to będzie okraszony otrębami dla dwu świń, które gospodyni specjalną otaczała opieką i pieczołowitością.

Ujrzawszy chłopca, przywitała go:

— Jakże się mos? — pospoleş se?

— Pospoł — (od zarania umiał gwarzyć jejich mową).

— To fajno. zjod byś co? — e, zjodbyś, jo ta wiem; nie dziwota, dy mos rós; — mom hawoj

mleko kwaśne i zimnioki, pomaścis se je i przysolis — do mleka to smacne.

Odeszła na chwilę od pieca; ręce wytarła w zapaskę; nalała do garczka (pękaty z napisem: pamiontka z Kalwaryi) mleka, dodała łyżkę śmietany — co ta bede żałować! — komu jak komu ale unemu —; — wybrała warzechą kilka ziemniaków z gara — choć to lo świń — ale nie skoździ — i tak doś majom — człowiek tys potrzebuje, choć ta o świnię więcy trza dbać, bo ta uno o siebie dbać nie potrefi, niebożątko.

Wyszukała należycie uwarzone; obrała z łuppek; ułożyła na talerzu.

Były to „wybierki“ małe, okrągłe, żółte — właśnie straszliwie smaczne!

Nieco soli i masła przydała; zaprasza:

— Zjedz se — mos, byś rós. —

Mikołajek zabrał się do jedzenia skwapliwie.

Śniadanie już poprawdzie jadł z ojcem, ale ten poczęstunek nie pierwszy, nie ostatni — miał swój urok i smak przednio osobliwy.

Tutaj w kuchni wszystko bardzo smakowało.

Więc je aż mu się uszy trzęsą; popija mlekiem.

Tymczasem Antonina odsunęła gar z ogniska; ujęła go przez ścierkę za ucha oburącz, podźwignęła i przegięta wtył, odcodziła ostrożnie przez drewnianą cedzarkę do cebrzyka.

Odwarzone ziemniaki wsypała do koryta i poczęła tłuczkiem mialić, rozgniatać, mięsic.

Para wonna buchała z koryta, skraplała się na jej twarzy, którą cepochwila fartuchem obcierać musiała.

Dosypała otrąb, zamieszała, przysoliła, nabrała na palec tej warzy, spróbowała —;— widać było już takie, jak być miało, bo rzekła kontenta:

— Dobrze, dobre —;— zaś im ci sadła przybyndzie; a niek się ta z pomocą Boską chowają.

Pod bok się po gaździńskiemu bierze.

Odpoczywa zdyszana nieco i rozgrzana.

Przyziera się Mikołajowi z radością, że to tak zamiata jak się patrzy —;— aż mu wargi i policzki poczerwieniały i pokraśniały —;— coprawda gorące te ziemniaki, więc je przed połknięciem studzi w buzi łykiem kwaśnego mleka —;— swoją drogą, na każdy kęs wpierw dmucha, wydymając pocieszenie wargi —;— alboż to niema wiatru pod nosem —?!—

Karmienie i tuczenie było przyrodzoną Antoiny Brańkówny pasją, radością i obowiązkiem, który spełniała bogobojnie i z patryarchalną powagą.

— Niek se ta chłopok podji; potrza mu żywiołu, bo ta życie nikomu nie lekcie, ba, cięskie; nojgorzy się zamłodu zachudzić — to potem rozdwa cobąc zmoze; w kormie nowozniejse pierse lata.

Powtarzała prawdę wielu pokoleń ponikiewskich — raczej ich nieziszczoną tęsknotę (— raz dosyta się najeść!! —).

Mikołaj wypił ostatni łyk mleka; — talerz pusty —; — na górnej wardze pięknie narysowany łuk białych wąsów.

Już ma od stołu odchodzić, aż tu Antonina powiada napomliwie:

— A dy sie przezegnoj. —

Pilnowała bardzo, aby jedzenie, które przecież samo przez się jest — w jej mniemaniu — aktem religijnym, bogobojnie się też zakończyło.

Chłopiec wykonał co potrzeba; ale jak!!

— Lo Boga! — coż ty sie lewom zegnos? — teli chłopok; dy prawom trza; lewom grzych —; — którąz mos prawom?

— Te.

— No dy tak; to sie niom zegnoj; — za kozdy kasek Bogu podziękować trza; pamientoj se co ci Antonina godo —; — doś mos?

— Doś. —

— No to teroz póde dać świniom zryć, juz tam tela kwicom co strach.

— Póde z wami. —

— No to poć jak kces.

I poszli.

Antonina dźwigała koryto z tem „zarcie”; — Mikołaj niósł tłuczek — poprawdzie niepotrzebny już, a zwłaszcza w stajni; naco? — Ale on już taki był; zawsze chciał mieć „robotę”.

ROZDZIAŁ DRUGI

O STAJNI, OBRZĘDACH, PASZY, DOJENIU, PSOCIE
NIEUSŁUCHANEJ KROWY, — ZAKONCZONY NOWĄ
PODRÓŻĄ.

Stajnia znajdowała się w budynku obszernym i długim zamykającym podwórze od stron północnej.

Całe więc podwórze trzeba było przejść chcąc się do niej dostać.

Znał tę drogę doskonale!

Na prawo tuż przy domu furtka do ogrodu, potem murowane, nakryte płytami kamiennymi słupy, o których wiedział, których jednak bardzo widać nie było — przeświecały bowiem tylko z poza gęstych zarośli bzów, jaśninów i róż jerychońskich.

Za onym murkiem - płotem znów brama szeroka: wjazd do wozowni, której boczna ściana obramiała, włącznie z ogrodzeniem, podwórze aż po wjazd główny z drogi gminnej.

Na lewo gęszcze krzewów rozmaitych, pnących się już po wzniesieniu znacznem (pierwszym stopniu zbocza sadowego), — a potem — dalej — wzwyż — gramoliły się coraz sporsze pagórki i góry poprzecznego pasma Beskidu polskiego.

Z gąszcza strzelały wysokie akacje drobnolistne, klony gładkie i kasztany o gałęziach wygiętych jak ramiona świecznika — wiosną zakwitały na nich stożkowate świece sutych kwiatów.

W pośrodku podwórza rosła olbrzymia lipa. Tak to szło się wśród spojrzeń życzliwych drzew aż do stajni.

Cały budynek miał czworo drzwi: jedno do stajni końskiej wiodące, do krowskiej drugie, trzecie i czwarte, mniej znane więc i bardziej tajemnicze, do drewnutni.

Weszli do stajni krowskiej.

Zaraz od drzwi biegł naprzestrzał korytarz wyboisty i czarny — do wyjścia na oborę.

W głębi stały w przegrodach deskami i łatami rozdzielonych — krowy (już kwolić Boga śtyry stuki momy): Magda, Kwiatula, Łatka i jałówka bezimienna, do honoru nazwy jeszcze niedorosła.

A jeszcze się tam mroczy pobok jedna przegroda wkoło deskami oparkaniona: mieszkanie świń; nad niem olbrzymi kojec z grzędami: nocleg kur.

Krowy stały na spadzistych dylach; łańcuchami przywiązane do żłobu, w który zresztą nigdy pokarmu im nie sypano —; — zwyczaj nakazywał trawę podawać w koszach, buraki z osypką w szaflikach; siano i owsiankę rzucano za jaśła.

Żłoby były beczynne, względnie spełniały funkcje reprezentacyjne.

Dzieje stajenne mają cechę istotnej i osobliwej celebry.

Już to uczucie obrzędowości czyhało na progu, gdzie przybita była podkowa zamknięciem swem mierząca do stajni, a obok tego talizmanu niezawodnego szczęścia wyryte dwa krzyże strzegące skutecznie przed urokami.

Potem już i cała, rzetelnie mówiąc, sprawa szła bitym traktem rytualnego obrządku.

Wchodząc do stajni Antonina żegnała się i spluwała za siebie ze słowami: na psa urok! Sól w oko, nóż pod serce!

Rzeczenie to zachowywało swój zbawczy skutek na wszystkie godziny jej nieobecności w stajni, osobliwie na wypadek, gdyby ktoś „niepili” do niej wszedł, nie daj Boże, bez wiedzy gospodyni, chociaż, czy to możliwe — ? —

Poczynano się namaszczone, zasumowane obchodzenie wszystkich przegród; nazywało się to „ogłędziny”.

Przy każdej krowie gospodyni przystaje, pogłaszcze, obmaca i mówi:

— Przezroku!

Przy jałówce to samo z dodatkiem

— Na bezrok będzie śnij krowa.

I raz jeszcze:

— Przezroku!

Patrzył na to Mikołaj z zaciekawieniem tem większem, że znał ten porządek rzeczy stajennych nawylot; — czyhał więc na jakie takie, choćby naj-najmniejsze odstępstwo od prawideł — ; — napróżno.

Prócz niego dokumentnie i ważne penetrował obchody gospodyni pasterz Wojtek Moskwik.

Ten Wojtek Moskwik — wolowaty, przysadkowaty, krzywonogi, kołtuniasty jakaś — to był także (mogłoby być inaczej — ? — a zresztą wiemy już o tem) wynalazek Antoniny; — wynalazek świetny!

Idealny, skończony stwór stajenny!

Duch krowieńca poczęty z myśli i przeżuwań gadziny!

Mądrość jego zawodowa, acz siłą aktu szczupła i zamknięta, była jedyna, doskonała, ostateczna.

Lecz uwaga! Już się rozpoczyna!

— Wojtek, nastroiłeś trowe? —

Wojtek kiwnął głową i po dobrej chwili bełkoce:

— Nnnastroił.

— Kaś iom żon? pod lasem?

Najpierw przytaknięcie; potem:

— Jja.

— Ckoj! — jak w niej będzie czostek!

Zaprzeczenie głową i ramionami:

— Nnnie!

Czosnek dziki, osobliwie beskidzka roślina, rozpanoszona po przygórkach bujnie i niesłychanie żywotnie, był zmorą istną Antoniny; — wystarczy, żeby się kilka listków tego ziela zawie-ruszyło w kosz trawy, a już to cały podój zbeszczeszczony; — mleko czosnkiem śmierdzi, masło, ser — wszystko!

Nie uspokoiło jej więc zaprzeczenie Wojtki..

— Pokoz, popatrzem!

Podeszła do kupy zieleniny pod ścianą zeprowadnej —; — przejrzała —; — rękę po pachę w nią zanurzyła, czy aby nie „zagrzzone” —; — no dobrze! — na szczęście nie —; — czosnku też niema —; — no dobrze!

— Nojpierw świniom domy, kwicą jak łodmieńcy.

Poniesli tam społem koryto do tego chlewu.

To był rwetes!

Świnie chciały drzwi rozwalić.

Pchanie nachalne, kwik, rechtanie, harmider tłuczenie — ledwie się dały odegnąć od zapory, takie dopalone na żarcie —; — tylko jadło poczują!

Aż się Antonina zeźliła:

— Psiakrwie nienazarte! — Pódzies ty! — To ten mniejsy kender taki dopołony; maciorka wse spokojniejso.

Wreszcie dało się wsunąć naczynie z pokarmem; hałasy i gwary nacicły.

Jeno mlaskanie szło z tej jadłodajni nad podziw głośne, zażarte, żarłoczne, całym pyskiem chwytiliwe.

— Ale zreją przezroku!

— Nnno!

Więc toby tam już było.

Teraz krowy.

— Cegóz stois, Wojtek, niedojdo, skoranie borskie; — trowe do kosyków narzuc —; — roz-dwa, zwijoj sie!

Niecierpliwa — pomagała, a gderała, a kunierowała do stu odmieńców pierońskich (na psa urok!).

Kosze pełne.

Przeżegnała je krzyżem świętym.

— Podawoj!

Podzwaniają u żłobów łańcuchy niecierpliwe;
— krowy drepcą i przestępują, gwałtownie głowy ku stajni wyrzucają; mamrotnie porykują.

Wojtek od brzegu pierwszej kosz trawiasty stawia.

Soczysta, klączasta trawa chrupie w obrocie żwawych szczęk.

Bierze Antonina stołek z pod ściany, stołek niziutki, stołek czteronożny.

Przystawia z boku obok krowy.

Ze skopcem podchodzi, ze skopca wodę nabiera, zmywa dojki i wymię.

A tak wtedy przymrukuje:

— Ten cycek ku mnie,

— Ten cycek ode mnie.

— Ten cycek na mnie,

— Na psa urok!

Resztą wody chlusnęła na dyle — postrużyła się ku ściekowi gnojówką zabarwioną.

Antonina ujmuje dojki w garście, kciukiem powyż naciska: strzykło mleko — raz — drugi — trzeci.

Odsuwa się Antonina ze stołkiem; wstaje.

Wychodzi z tą kapką oddojonego mleka przed prog — strąca kilka kropel na podkowę i na

krzyże — ; — resztą w trzy świata strony sieje;
— w czwartą już nie!

Broń Boże za siebie mlekiem pryskać! — Tak czyni tylko czarownica celem odebrania pożytku krowom — przyczem, dla tem pewniejszego złego skutku, sierści krowiej przygarść pod progiem zakopuje — djabelskie plemię!

Teraz już można doić nadobnie i należycie.

Siura mleko z dojek do skopca — na przemiany, raz z tej, raz z tej — siur, siur.

Pełni się skopiec rześistą pianą.

Zapach surowizny ciepłego mleka miesza się z zapachem miazdżonej trawy, odorem krowieńca i potu żywinnego.

— Z tyj nie dostaniesz; od młódki ci dom; smaczniejsze i gęstsze; Kwiatula cosik z tym ćwieńkowaniem nieujdawo, a zaś Magda daje przezroku duzo, ale wodniate.

To było rzeczone do Mikołaja, który na luznym stołeczku przysiadł, baczenie ten proceder dojoy obserwując.

I to też wiedział: tylko z Łatki mleko jest nad wszelki wyraz smaczne i skuteczne.

Czekał cierpliwie; ani z chęcią, ani z niechęcią; ani smak, ani brak smaku; — poprostu: zwyczaj, nic więcej!

Rygor zwyczajowy we wsiowej krainie, to nie byle co! — To wszystko! — To miara cnót i przewin, dobrego i złego prowadzenia się, mądrości i głupoty.

Rygoru tego był już chłopiec świadom; w tem przecież wyrósł, tem się karmił, z tego był.

Wydoiła już i Łatkę w tych ceremonjach odpowiednich; tedy zdmuchnęła od kraju skopca pianę wysoko narosłą i przychyliła skopiec ku ustom dziecięcym.

Pił!

Gdy mu tchu zabrakło — przestał.

— Doś moś?

— Doś.

Przeżegnał się; nauka nie poszła w las; przypomniano mu ją zresztą tak niedawno!

Teraz nadchodził termin na wprowadzenie w życie pomysłu dawno i skrycie powziętego, chytrze i w cichości.

Antonina poszła trzecią krowę oddoić.

Kwiatulę.

Z tą to były osobliwe ceregiele.

Miała - ci bowiem ta krowa paskudny zwyczaj omiatania się ogonem ustawnie, żwawo i mocno; czyniła to zaś tak złośliwie i najwidoczniej umyślnie, że nijak — ani mowy! — doić nie można pod tym gradem mocno tnących uderzeń kitą, do której, nie bez tego, że i nawozu conieco przyrosło, przez co razy stawały się tem boleśniesz i nieznośniesz.

Lecz na wszystko jest rada; — znalazła się więc i na tę krowią przywarę — ; rada krowie zapewne niemiła, ale się jej już o to nikt nie pyta;

czyż bo — ostatecznie — ona pytała wywijając i tnąc ogonem? — wierę: nie!

Wszystko po sprawiedliwości.

Rada ta zresztą niewymyślna i prosta jak wszystkie wielkie i małe wynalazki: oto Wojtek musiał przez cały czas dojby trzymać Kwiatulę mocno za ogon.

Czynił to z powagą, sumiennie i z wielkiem poczuciem obowiązku.

Stał więc w pomiernem oddaleniu ten poskromiciel zacny i dzierżył chwost.

Krowa, ani jej mów, nie przestawała wykonywać sobie właściwych ruchów tym tak mało nam znanym organem — lecz już one dojącej nic a nic nie wadziły.

Wyginał się ogon w kabląk, raz wgórze, raz wdół i na boki oba.

Tym miarowym ruchem zataczał figurę jakoby soczewkowatą, której jednym końcem była nasada ogona, a drugim garść Wojtkowa.

W sumie było to setnie śmieszne — lecz nie dla krowy, rozumie się, no i nie dla Antoniny, a już zgoła nie dla Wojtka, broń Boże! — Więc dla kogo? — mniejsza z tem!

Ostatecznie uśmiechał się Mikołajek — lecz był to uśmiech, uśmiech przelotny, nie rozbawienie (niewczesne!).

Umysł jego był już czem innem zajęty.

Nadchodził moment decydujący.

Teraz albo nigdy!!

Gdy więc tak obie osoby parały się ważną czynnością odbierania wymionom psotnej i nie-usłuchanej krowy należnej daniny mleka — Mikołaj cichcem opuścił swój posterunek i poszedł do stajni końskiej — (małe „boczne” dźwierka łączyły obie stajnie).

ROZDZIAŁ TRZECI

O STAJNI KOŃSKIEJ, O OKNIE TĘCZOWEM
SPRZEŻY, SZORACH I OBROKU; PRZY KOŃCU OMAL-
ŻE SPRZECZKA NIE WYNIKA.

Tu radość innego gatunku!
Mniej zadumanej obserwacji!
Więcej bezpośredniości!
A przedewszystkiem, przedewszystkiem więcej
upodobania!

Stajnia końska była znacznie mniejsza od
krówskiej.

Miała cztery przegrody; dwie puste.

Żłób. Jaśla — ; — zwyczajnie.

Na ścianie poprzecznej koły drewniane na
chomonta i szory; pod niemi paka z gontów zło-
żona przemyślnie po sásiekowemu na owies
i sieczkę.

W przeciwnym kącie „wyro“ Jaśkowe;
z desek zbite wysokie podjum; siennik; pierzyna;
poduszka.

W tej (jak i w tamtej) stajni, światło dnia Bo-
żego dochodziło, o ile drzwi były zamknięte,
przez wąskie prostokątne okno złożone z małych
szybek.

Zakurzone, pajęczyną ciemną zasnucone, wypalone słońcem — przez co dziwnie tęczowe z przewagą barw czerwonych i zielonych — przepuszczały te okna światła niewiele i skąpo.

Mrok też panował w stajniach setny.

Tem bardziej właśnie urzekała ta niesamowitość hodowlanej dbałości o zwierzę, owo pasorczytnictwo niezawodnej, a wreszcie i symbioza, współzycie, nierozzerwalne człowieka z bydliną użytkowne bytowanie.

Tutaj dopiero po mrocznych kątach wyświeślała się ta mistyczna realność pracy na ziemi, pracy po nad wszystko wzniosłej, oraz hodowli przypomocnej, wyczerpującej właściwie docna żywobycie ziemskie człowieka.

W zakresie konieczności życiowych wszystko inne jest nieistotne.

Problem państw, czy rządów, skarbu i oświaty jest problemem uprawy ziemi.

Sztuka jest rytmem pracy — ; — wielka: rytmem ogarniającym ziemię (puls globu) — najwyższa: uzgadniająca ten rytm z rytmem wszechświata.

I takie też jest jej posłannictwo: regionalizm sferyczny, religijność niwelująca pojęcia życia i śmierci — ; — istnieje tylko trwanie — istota przemian bytowania.

Chłop i poeta tworzy legendę ziemi.

Okno to — mówimy o tem w stajni końskiej — było zbiorowiskiem licznych i dziwacznych

przedmiotów, które wiodły tu żywot zgodny, pogodny i rozpamiętywujący — ; — kontemplacja ustawiczna jest cechą r z e c z y.

Czego tu nie było!

Więc zgrzebla zużyte z wyszczerbionemi zębami i wyblakłemi, zatartemi dzierzakami ledwo odróżnić można barwę ich tak ongi żywo czerwoną — szczotki do czyszczenia koni z chwytką parcianą na rękę, już dziś niezdatne — raczej ci to deseczki wylenione gwałtownem łysieniem; starość! — więc podkowy wyświechtane po kamiennych drogach na cienką gładką blachę, puszki blaszane pogiete i zmięte, załamane i dziurawe, ze smarów, smoły i tłuszczów użytecznych; więc sprzączki z kawałkami na zawsze przyrośłych pasów skórzanych, więc okowki z biczysk nieużytecznych, oddawna już nie istniejących, gwoździe, hufnale, obcęgi, szczypce, młotki, stara zardzewiała „babka” do klepania kos, zabłąkany, nie-my dzwonek z uprzęży zimowej, zwitki drutów skręconych w znak nieskończoności, kawał powroza, sznurki, szpagaty, osnowy — wszystko to pośród kamyków i okruchów ceglanych wypadłych z muru — żyło w wyrozumiałej i pogodnej rezygnacji, świadome zwyczajnego biegu chwil.

W pośłnie bliskim bezmyśli i oszołomienia, z tej nieprzerwanej monotonii trwania płynącego gęstą strugą — pogrążone — ożywały te przedmioty godziną przypołudniową, gdy słońce z poza tęczowych szybek i pajęczynowych zasłon oświeciło je jakby poświętą zagubionej w gąszczu bajki

lampy czarodziejskiej i ogrzało, zziębnięte bezczynem, blaskiem rozmodrzonym.

Tedy budziły się na oknie stajennem myśli, czucia, tęsknoty, marzenia i pragnienia — lecz tak głębokie, tak ciche, że nie usłyszysz ich słuch człowieczy ogłuszony dźwiękami nieskładnej rowy i nawoływań zrzednych i zbędnych.

Władcą wielkim tego świata pomrocznego, wymykającego się niejako z rąk tem okienkiem zadumanem i zasumowanem — był Jasiek Zajac czarodziej.

Siedział oto na zydelku w przegrodzie pustej — dwa przecież konie tylko tu mieszkaly — przygarbiony i zamedytowany nad podartym podkładem chomątowym, z którego wydobyły się pogmatwane włosia, jak mech z popsowanego gniazda wroniego; — tkwiło w tym podkładzie zakrzywione szydło, a Jasiek z powolnością uważną, cechującą wszelką dokumentną robotę smarował dratew cegielką smolną.

Wbiegł Mikołajek.

Rozśmiał się Jasiek — zarechotał gardłowy głos w takt dziecięcego tupotu.

„Kurśmid“ lubiał chłopca niezmiernie.

— Przysedeś popatrzeć na konie, popatrzeć przysedeś, no, no — naprawiom podkład, bo popsuł i takie. —

Mikołajek przytaknął, lecz nie dosłyszał wszystkiego, bo się słowa pozapłatały w odgłosy stapań prędkich i tam się pomiędzy stopkami

a podłoga pogubiły; — więc przytakuje ważnie i pyta:

— No! Cóż ty, Jasiu, robisz?

— Naprawiom podkład, podkład naprawiom, bo podar cołkowicie i takie —

Przypatrzył się robocie rymarskiej chłopiec, palcem dotknął czarnej struny dratwy napiętej w tej chwili; zabrzączała ślicznie.

Pobiegł ku wieszadłom.

— Uwanowuj neby cie koń nie kopnył; uwanować nawdy potrza i takie —

Właśnie lejcowv przednią nogą pukał w dyle.

— Pić się mu chce — zauważył Mikołaj ze znawstwem.

— Wnet będą obiadować to napije, no, no wnet będą i takie —

Koniowi ta obiecanka nie wystarczała; grzebał nogą zawzięcie

Drugi mu zawtórzył.

Ogony długie i sute świstały raz po raz i uderzały po bokach; — odganiają konie muchy uprzykrzone, których tu coniemiera

Czarne kłęby zadów lśnią zacnie.

A koniki żwawe głowami ku sobie miotają, a wargę dolną prześmiesznie opuszczają, jakby ten ciemny gładki płat nie do nich należał; i tak wciąż ku sobie łbami godzą, niby, że się gryźć chcą — a to igry, a to figle — w rzeczy chwytają się delikatnie za skórę na karku; w końskim języku zabawa ta nazywa się „w kotki” — jako że koty właśnie tak delikatnie kocięta za skórę na

karku chwytają, gdy wypadnie maleństwa przemieścić w miejsce odpowiedniejsze.

Chomąta i szory specjalnem cieszyły się zainteresowaniem chłopca.

Bo też jest na co się popatrzeć i czemu się podziwiać!

Jakże życzliwie, choć z odcieniem ledwie dostrzegalnej zarozumiałości spoglądają lśnieniem czarnej skóry i błyskami mosiężnych ozdób — zgrabne szory lakierowane, nabijane kółkami i figlasami metalowemi; — ochędożne, gładkie, czyste ; — już to ten Jasiek dba, niema co mówić!

Pasy orczykowe zasupłane w luźne węzły — zwisają jak olbrzymie precle; — lejce wąskie. lśniące, gibkie wiszą bezwładnie, śpiącym, płaskim węzom podobne —; — a podpink! — a uzdy! — a podogonia; — a wędzidla! — dziwy, dziwy rzetelne w swych, do potrzeb właściwych, stosowanych kształtach.

Inaczej uprząż robocza!

Ta — była!

Była, jako dni powszednie w stosunku do tamtej: niedzielnej.

Utrzymana w porządku, jak się patrzy; owszem; lecz, jak zwyczajnie i tu nie ta szata zewnętrzna decyduje, lecz charakter.

Jest też ta uprząż spracowana wielce, znużona, odpoczywająca, połatana w miejscach nadwyrężonych łątami różnej wielkości i różnego kształtu; wedle potrzeby i nagłości.

Te kwadraty, prostokąty, koła i elipsy naszymi — znaczą się wyraziście, jak dziwaczne hieroglify, niedołącznie a dowodnie mówiące o twardej, odpornej orce, o wybojach stromych dróg, któremi drzewo smolne z lasu ściągać trzeba w zmudzie i mordędzie, w wiohaniach i hetaniach licznych i głośnych, o ciężkich wozach żniwnych, o olbrzymich budowach siennych pokosów, które ledwie, ledwie wcisnąć się mogą w drzwi stodoły, — a przecież niema większych, gościnniejszych drzwi nad te właśnie skrzydlate wrota stodołowe.

O ile szory były całe ze skóry lakierem lśniącem błyszczącej, sprzęża robocza miała i części powrozowe: pasy orczykowe zwłaszcza; — uzdy biedne, tylko potrzebne, bez ozdób skroniowych i bez kantar — rozumie się.

Pomimo tego wszystkiego, a może właśnie z tych wzwyż wzmiankowanych powodów — była ta uprzejmą powszednia — tak się chłopcu wydawała — bliższa, a może tylko — częstsza —?

Szory czuć było skórą, lakierem i smołą, chomała potem końskim i czteroporową pracą.

Wspinał się Mikołojek na palcach, dotykał tego sprzętu miłego, krył się za zwisającymi pasami i lejcami — jakąś tam historję wyjazdową wymyślał na poczekaniu.

Tymczasem Zajac Jan skończył naprawę; odłożył podkład; — resztę dratwy, szydło i pajdkę smoły wsunął do pudełka drewnianego; westchnął, odstawił wszystko gdzie potrzeba i orzekł:

— No i takie — tero bemy koniom stroić, bemy tero —

Tutaj ta czynność była cale odmienna.

Do dwóch dużych niecek nabierało się ze skrzyni sieczkę i odmierzało do niej po sześć litrów owsa; taki to obrok wsypywało się do żłobu, zlewało suto słoną wodą i mieszało nale-
życie.

— Nie pchoj, jaki to umulny i niedocekany — nie pchoj godom ci i takie —

To był zwyczajny, lotny, codzienny zwrot do łba końskiego, który przez ramię i popod ramię wyciągał się z długiem łakomstwem ku jadłu połu-
dniowemu.

Zanurzyły konie głowy w żłób głęboki.

Rozgarniały pyskiem karmę wyławiając sma-
czne kęsy suciej owsem okraszone.

Ogonami nie przestały się omiatać; — to swoją, a to swoją drogą.

Obrok chrupały dziarsko, aż miło posłuchać; — copochwila podnosiły łby, a przywarta do warg, nozdrzy i podbrodzia sieczka lśniła się zło-
ciście i przy lada ruchu opadała jak to gdańskie złoto właśnie.

Zmyślne zwierzęta forkały w pokarm raz po raz — boć wiadomo, lżejsza sieczka rozwiewała się na boki, a owies cięższy ostawał —; — lecz tu wilgotność obroku utrudniała, a nawet niweczyła ten ich zabieg chytry.

Tymczasem Jasiek i Mikołaj poprzez to ra-
dosne przyzianie się obiadowi końskiemu wy-

mieniali myśli, zda się, małe, lecz w rzeczy zgoła ważne, bo istotne i z momentem związane.

A moment niepośledni.

— Bo to jak se koń nieprzymierzający jak i człowiek nie podji, widzisz, to na nic, i takie, ani do roboty ani do lotu nieudatny, jak se podji całkowicie pożytek śniego — no, no.

Słusznie! — Mikołaj nie miał tu nic do powiedzenia.

Konie chrupią.

Więc po chwili znowu Jasiek:

— Wolisz konie, cy krowy wolisz —? —

— E, konie.

— Mos rekt, słusnie — koń jest koń — zwierze piękne, krowa co? — jakbyś na kijak skóre nawiesił — no i takie — i ronumu inksego — koniem pogodoss i un cie ronumi cie — krowa co? — słusnie całkowicie i takie, no, no.

Ale tu już, psiamać jedna, Antonina stanęła w drzwiach.

Jadaczkę na nic rozpuści:

— Dzis go, mondry, będzie chłopcu w głowie przewracał! — a mleko byś pił?, a masłem chleb byś se posmarował?, a syra pajdke byś se zjod? dzis go, mondracie! — Wydójjże se konia, kiesz taki krowom przeciwny.

— Je dyta konia dołł mie bede, a jun nase to gor nie — wałachy som, no, no, i takie —

Rozśmiał się szeroko pod tą sztukowaną wiechą wąsisków.

Cała twarz pomarszczyła mu się w grube krechy i fałdy, a z oczu zostały jeno wąziutkie szparki; nic ich nie widać.

Mikołajowi niebardzo nawet wiadomo, o co im chodzi —; — z ciekawionym zachwytem patrzy na szpareczki pod krzaczastymi brwiami, gdzie jeszcze przed chwilą oczy były.

Bardzo to dziwne!

Kurczył i przekrzywiał twarz i ślepka mrużył, żeby się upodobnić do tego śmiechu, przed którym oczy uciekają.

Ale to bardzo trudne! — bardzo!

A tamci byliby się owo z kretesem pokłócili przy tej sprawie: krowa, koń

Już się na to zanosilo.

Cóż — ? — i takby jedno drugiego nie przekonało, bo nikt nigdy nikogo nie przekonał — przekonywa jeno to własne widzenie wewnętrzne.

Zresztą w tym wypadku przecież i Antonina miała konie za cejneco i bardzo — i Jasiak krowom przygany istotnej nie dawał.

Jedno i drugie, wiadomo, potrzebne i ważne i cenne; każde po swojemu.

Tak też sprzeczka byłaby jeno stwierdzeniem uczuć osobistych — dotykałaby raczej słów upartych — poza którymi skrywa się istota rzeczy .—; — jak zwykle.

Lecz zaszedł wypadek, który odwrócił ich uwagę, a myśl w inną pokierował stronę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KTÓRY MÓWI O TEM, KTO TO TAM WSZEDŁ NA
PODWÓRZE; IDZIEMY Z JAŚKIEM I MIKOŁAJEM PO
WODĘ DLA KONI; POJENIE KARYCH; MIKOŁAJ
OSTAJE POD LIPĄ.

Na podwórzu rozległ się głos donośny:
— Gorki drutować, blaszane naprawiać!

Zaraz też wbiegł pomiędzy Antoninę i Jaśka
Wojtek Moskwik zdyszany — zatrzepotał ramio-
nami, jak wrona zrywająca się do lotu, machnął
ręką prawą, potem lewą, odwrócił się ku drzwiom,
wyciągnął ku nim ręce, zmrużył oczy, dobył głosu
z trudem i potrząsaniem głowy, aż wyrzucił
z siebie:

— Gggospodyni, bo, bo druciorz przy-przy-
sed —

— A dy słyse, nie drzyj sie.

Odwróciła się i wyszła.

Wojtek Jaśkowi raz jeszcze oznajmia:

— Dddruciorz przysed.

Jasiek rzekł:

— i takie —

Skierował się ku żłobom.

A Mikołajek już jest na progu stajni — przy-
patruje się pilnie tej nowej osobie.

Przy lipie, pod którą ławka nieheblowana na-
stręcza się znużeniu, stoi ten wędrownik wieczny.

Stary niestety — cóż tam lata!

Siwy, ale i niebardzo — owszem — raczej
czernią się długie kudły z pod krępki małego kło-
bucha.

Portki góralskie szaro-brudne, cyfrowane, na
kolanach wypuszczone i łatane, wpuszczone dołem
w buty o krótkich, przylegających cholewkach —;
— do półtydki te buty zaledwie sięgają.

Na drogi błotniste lepsze to niż kierpce.

Kabat brązowy, obszerny, długi, samodzia-
łowy zarzucony na ramiona.

Na plecach przypłaska skrzynka drewniana —;
— wysterczają z niej nieregularne obrzynki lśni-
ących arkuszy blaszanych.

Na lewym boku hojda się skorzana torba na-
bijana gwoździami mosiężnymi —; — z główek
płaskich ornament ułożony: linja falista spodem,
w każdej z półkolistych przystani tkwi gwiazda
naprzemiany raz od góry, raz od dołu.

Przy torbie i skrzynce naplecnej pobrzękuja
wieńce drutów rozmaitych grubości.

Tak sobie tam stoi na środku podwórza, wy-
patrujący po okrzyknięciu się, skąd tu i z czym
wyjdą do niego.

Wraz się też i gospodyni ze stajni przykwapia:

— Pokwolony Jezus Chrystus —

— Na wieki wieków Amen.

— Som, som do podrutowania gorki i miski
i blaszanka do zalutowania

— Ano kwolić Boga, kie ino robota jes —

— Siadojcie.

— No dy ta.

Siadł.

Patrzy Mikołajek, a już go aż w nogach podrywa, żeby tam podbiec ku tej lipie, ku temu wędrowcowi druciarskiemu.

A tu Jasiek z putniami po wodę już idzie.

Co teraz?

Zostać przy druciarzu? — troszkę się sam boi — —

Czy iść z Jaśkiem?

Aż tu Zajac, jakoby myślom jego w odpowiedzi rozstrzygająco tak przemawia:

— No, no, to nie pódzies ne mnom po wodę —?
— poć i takie —

Trzeba tedy iść.

Rozstrzygnęło się.

Chociaż to tam takie w latach tych małych sumienie lekkie, że łącne często dla nowego przyjaciela starego poświęcenie.

Tym razem tak się nie stało.

Przynajmniej narazie nie.

Druciarz tedy usiadł, Antonina idzie po garnki do kuchni, Wojtek krowom zieleniny przwrzuca — niekby która schudła, rajuści święte, byłoby tyz było teremtetowanie, no, —, a Mikołajek idzie z Jaśkiem do przykopy po wodę.

Radby Jaśkowi pomóc, ale jakże? — ani rusz putnię udzwignąć, ani jej ucho ręką objąć, — a to jeszcze tak trzeba: dwa palce (środkowy i ser-

deczny) za otwór założyć, a kciukiem z góry pomagać i równowagę odmierzać! — żeby to tak potrafić, co to za siły potrzeba!

Idą, a Zając mówi:

— No, no, jageś jun asystował przy łobroku to i napojmy ranem, no i takie, jageś jun asystował, prowda?

Wodę brało się koło mostu.

A to się odbywało tak:

staje nasz Jaś na płaskim, obszernym kamieniu, który wsparty na dwu palach, niczem płyta stołowa, zwisa nad wodą — stawia na nim jedną putnię, a — pochylony — dnem drugiej pustni rozważnie odgarnia wierzchnią warstwę wody martwej, bo zastałej w tem miejscu wodopojnem; ustały się też tam na niej liście i paprochy z pianą żółtą pomieszanę —; — po odgarnięciu śmiało już zanurza całą pustnię pod wodę —; — postępując trochę z ciężkości, trochę ze zwyczynu, że to każdej pracy oddać trzeba, co jej się słusznie należy — wyciąga mokre i pełne rozchybotanej wody naczynie i stawia je na kamiennej płycie.

Tenże proceder raz drugi się powtarza —; — historia i rytm ten sam.

Putnie już obie w szyku pochodowym ustawione uchami ku wnętrzu

Ruchem od przodków przykazany zakłada ponownie Jasiek palce jak potrzeba, podnosi ociężałe naczynie.

Idą.

— Ciężko ci?

— Sproguj.

— Az urosne.

— Jak urośniesz no, no — to będziesz ucony na ksiąskach i takie —

— Nie! — przekonuje go chłopiec z wiarą — nie, — bede wode nosił.

— Bodajta!

— Będziesz widział! — upiera się — bede konie miał, bede je odbywał, obrok przyrządził i wode nosił —

A Jasiak wciąż swoje:

— Książki nie dadzą; nie dopuszą do proce; no, no, wnetki na dobre ucyć nacies na elementorzu i takie — cytok cko na ciebie, no, no, i do-cko.

Tak rzekł Jan Zając.

To samo i ojciec czasem zdaje się mówić.

No, zobaczymy.

Narazie, co tam! —, narazie idą do stajni.

Ocierają się putnie o cholewy, szur, szur, — na mokro tak się ocierają.

Woda z putni małemi, krótkimi falami —: chlust, chlust — na ziemię się wylewa —; — w takt krokom.

I tak aż do stajni.

Droga, którą przeszli, znaczy się mokremi plamami parzyście wyznaczając trop stopom.

Zarżały konie.

Poczuły wodę.

Znowu się dwa łby niecierpliwe do jednej pułni pchają; — wypomina im tę niesforność Jasiek, ale cóż to pomaga? — Tyle co nic!

Ustatkowanie nastaje dopiero z chwilą, gdy każdy swoją poję dostanie.

Tedy piją —; — długimi haustami cedzą wodę przez ściśnięte wargi, jakby się obawiały, by zębów zbytńio nie zziębić.

— Koń śpilki nie połknie, taki jes, nie to co krowa, co to i gwóz — i takie —; — tłumaczy Jasiek.

Bulgoce woda, dudni w przętyku, przelewa się w brzuchu niczem głód po kiskach.

Wszystką wodę wypili, mało się na dnie ostało zmaconego szklenia — dla kota akurat — nie więcej!

A gdy już konie łby podniosą — cieknie im z pyska ciurkiem woda, a zębiska trą się o siebie w pozgrzycie, jakby je wyczyścić należało dokładnie po tem pijaństwie.

Tam już za jałłami pachnie siano zielone; — więc oba kare łby przekręcają pociesznie nabok, chwytają przykęs spory, szarpnięciem wyciągają z pomiędzy szczebli i żwawo, smacznie trotują.

— Wolom boskom odbyli my połednie — tero pódziemy obiadować — wolom boskom odbyli i takie.

— Mnie sie ta niechce jeść.

— Niekce ci? — nawdy trza jeś swojom porą, takie jes przykonanie i takie, nawdy trza, no, no —

Wyszli ze stajni.

Drzwi przymknęli na skobel

Idzie Jasiek przodem z głową schyloną nieco,
a ręce długie majdają mu się wzdłuż ciała.

Za nim kroczy Mikołaj — także taki niby spracowany, a każdą chwilą wolną odpoczywający, — więc głowę schyla, ręce luzem zwiesza.

Ale chyba już pora na tę małą zdradę uknutą w sercu i głowie!

Przy drzwiach Antonina.

Jasiek oddala się coraz bardziej.

Mikołaj rozmyślnie zwalnia kroków.

Przystaje pod lipą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O WIECZNYM WĘDROWCU, NAPRAWIE GARNKÓW,
MĄDROŚCI I PRZEJMOWANIU WIN ORAZ O PRZY-
OBIECANYM POWROCIE.

Mówi gospodyni do tego druciarza:
— Dzicie — macie haw gorceł jeden, dru-
gi; — ten większy Wojtek psiopara puścił na zie-
mie, — z masła ręce mo i mos! — niby sie to
nie rozlecił, ale zreśtą posłuchojcie sami uwoźcie —

Kolankiem wskazującego palca puka w gar-
czek: — Głucho oddaje — prowda? — a tu jes
miska, tyz tako samo plejzirowano, ale jesce be-
dzie snij pociecha — ; — no i ta blasanka, sami
spenetrujcie, coby ji trza, bezma w dnie śpara.

Obejrzał majster dokładnie jedno, drugie, trze-
cie, czwarte — pod światło patrzył, wyobracał,
poobstukiwał; już wie.

— No, ja; dno sie naprawi; nowe trza — be-
dzie trzymało jesce kiel lot; wszystko sie zrobi,
co kady potrzeza. —

— No to macie, a róbcie moiściewy, coby było
dobrze, do rzeczy; — przyniese wom zocierki
z mlekiem, bo to obiedno godzina — downo juz
południe oddzwonili; — chleba kąsek wom tyz
przyniese, a ino fajno zróbcie. —

— Bóg wom zapłać. —

— Nicego, nicego. —

I rozpoczęła się ta robota misterna i zacna.

Druciarz zdjął z siebie sprzęt fachowy, ustawił na ławie skrzynkę, wieńce drutów przy nogach na trawniku.

Porozdzielał, poukładał.

Usiadł.

Najpierw garczek pękaty.

Obraca go w dłoniach: — wzbrzuszenie, dno, kraniec, ucha — dobrze!

Przytrzymuje go kolanami — drutu kawał odmierzony myślą nożycami obcina — ciach! — upada wieniec w podzwięku długim.

Palcem koniec utrwala i poczyną snuć tę sieć swoją cechową wokoło glinianej skorupy.

Wysupla się z zawiązów drut długi, drży w wyprostowaniu chybotliwym — znów się podgina na zbiegu kwadratów.

Już węzeł mocno ściągnięty.

Dalej!

Pod garczek palce załazą nieomylnie widzące, co w którym miejscu najskuteczniej zrobić potrzeba.

Wokolusieńko — powoli — rozważnie — —

Do skutku.

Mikołaj przysiadł na kamieniu; pilnie baczy, ciekawie się przygląda, napamięć uczy każdego ruchu.

Przemówił druciarz:

— Cóż podoba ci sie robota? —

— Podoba.

— Ejze, to moze pódzies ze mnom? — weznie
cie do terminu, bemy se wroz chodzowali.

Zawstydził się chłopiec; — nie wie dlaczego;

— powieki mimowoli nakryły oczy.

Stary dogaduje:

— Poślibymy se na ten daleki wander —

— A gdzież wy idziecie — ? — Ośmielił się.

— Pytoj sie, kady nie ide! — Wszelijako droga
to moja droga jes! — Nima takich choćby nom-
niejszych od Orawy po Kraków, Zotór, Biołom,
Kielce — i dali, bok i we Lwowie i Lublinie był
i w Warsiawie był — cobyk ik mojimi nogami nie
wydeptoł — ; — kawoł świata, kawoł świata. —

Mignął drut na słońcu; — posłusznie pod palce
się garnie; — palce robią swoje, a należycie. —

Jak nić na motowidle snują się dalej słowa
wokół wspominek przyzwyczajonych do samotne-
go z sobą rozmawiania:

— Byłek hań ka góry som strasnie wysocyste
i takie wirchem bieluśkie, a świecące, jak śrybne
woto, co je kłtosik na kwałe Bożom pod niebem
zawiesił; byłek i w takik dolinach, nizinach, a po-
dolach, co to ka spojrzys, to sie niebo z ziemiom
żyni na tym skłonie niskim jedne wroz — štama
nieustająco.

Zreperowany już garczek jeden, drugi idzie na
ten warsztat kolanowy pod leczące palce.

Sama sobą krzepi się mowa warg niedołężnych.

Nagromadziło się, widać, w tych wędrówkach treści rozmaitej coniemiarą, zauważeń, myśli, uczuć.

— Hale nima jak góry — śleobodnij haw i tak sie zdo: Boga bliżej. — Choć to ludzie poprowadzie wszyscy i wszyndy jednacy: bieda ik ucy, uganiacka morzy; — kozdy tego chleba pragnie — lo niego sie w chałpie ściero do imentu, lo niego sie łozbijo po świecie; — a tak sie juz kozdy zwyrto i krząto, jakby miał wiecznie żyć; — a o te świentom ziemie to-ci sie juz nogorzy bijom — wnetby sie o niom pozarubywali — tez tak! — istnie sie zabijajom abo i po wsiak, abo i po miastak, abo i na wojnak; — a co ta z tego! — ino z tem zło wzrosto — coroz gorzy; — tele cłowiekowi ziemi potrza co ta na grób wydoli prawie; mało-nieduzo — więcy z sobom nie zabiere —;— rešta to ino dożywotnie gazdowanie, o które sprawiedliwie dbać trzeba, zeby ten co je weźnie miał dobre i lepsze.

Odstawił garczeka; — niewiele z nim było roboty; — blaszankę bierze.

Przymierza na arkuszu blachy; — kółko zgrabne wypisuje, zamierza, żeby równo — tnie.

— Patrze se na te uganiacke i tak se, patrzący, medytuje —: miboże! — cóz sie troskocie wszyścy? — ino duse w tem gubicie do znaku; — lęgną sie w wos myśli corne, jak kmury i. coby miał być jasny, słoneczny dzień, to jest zakmurzony całkowicie; — i cóz z tyk kmur! — ino łogień niebieski,

ino burze. ino pierony; — bez to sie niscy wszyśko i ciągiem — — pozary ziemskie, pozary wnątrzne, — łogień wiecnego zatracenio!

Pogubiły się te słowa w pojęku; — na sercu osadzone, jak koła na osi, z sercem się wznosiły, z sercem opadały; — a serce tej chwili nieukojne wielce, biło mocno — na alarm!

Pilnie na składność roboty baczy.

Domawia:

— cało ziemia, a jest ji wielgi kawoł. nieprzejrzany — dy ta cało ziemia nojpierw bosko, a potem ludzko — ino, ze sie tak porobiło, niedobrze porobiło, ze prawo boskie inkse, cłowiece inkse; — z tem źle! — A dy i drzewa se rosnom i trowy i cejnieco i zwierzyny huk przerozmajtyj i dzicyzny nieprzebranyj, a wszyśko mo placu doś! — A ludzie ino to za coś se wożą, co, pado, moje! — Ka sie rusys, ka weźrys, w chałpe cy w duse, to ino słysys: moje!

— Tak sie ta mojom i swojom w tym zaciornym życiu; z tem źle! — bez to jest źle! — i nie będzie lepi, jaze nie chytają dobrze te scypce, ino blache mno. —

Pogmerał w torbie, wyszukał inne.

Zagina brzeg w wyciętym krążku dna, przy mierza, zaklepuje.

— Prowda jes — życ trzeba — — ale to ta ino ten brzuch cemsik napelnic, chadre na plecy miec, wiela-tela mieszkania spokojnego, Bogiem przystrojonego, no i ogrzonio — ; — a co inkse? — dy ta wiela tela; co komu potrza bez nicyjej

krzywdy na odpowiedzialny warstat — ; — dość! — ale za wiele? — cóż z tego! cóż?! — Złość coraz większo, jeden drugiemu zozdrości, w łysce wodyby go utopił za tę odróbkę więcej — ; — tako już jes natura ludzko, ze wszyśkiem do nicego jak ino w ziemię patrzy, a ku niebu łebu nie podnosi; — — bywo posadzi se kwiatek: mój jest! — no co twój? — ten habaż, ta łodyzka? — o to ci idzie? — no to o niewielu; — tego bronis — ? — to ci ktosik zabrać pragnie w zozdrośności? — śmiech doprowady! — a miód tego kwiatu to już pscelego chrobocka, albo mentyla — prowdą? — a kolur kwietuskowy to tego, kto na niego spojrzy z radością — prowdą?

— No to widzicie piekni-mili cało rzec kwiatowo to radość, któryj sie do górci chycić niedo — ; — tak ze wszyśkim; tak ze wszyśkim — ino sie przyjrzyć dobrze, a nie ino po wierzchu; — łocy wszyśkiego nie widzom, usy wszyśkiego nie słysom, nie wszyśko sie tyz do dotknonć, abo powoniać, abo posmakować — ; — co tu jes nowoniejse sami se uwoźcie. —

Łśni się denko przymocowane należycie, odgłos dobry daje, zdrowy — ; — napięte bez fałdki i skazy; — jeszcze ino przyłutować wielu-tela.

Przez ten ogienek i topniejącą cynę prześwielają się słowa:

— Ide se drógą cy miedzą, kabąc, — zboza dokoła wysocyste, gojiki śwarne, góry sie modrzom, godają lasy ze sobą, bez te doliny ku sobie, rzyka przygwarzo na prądzie — no to se tyz

mogem pomyśleć, ady to moje wszystko! — słusnie! — bo i tak tyz to jes — moje, bez te ucieche, którym na nie patrze, bez te radoś, którym ze wszystkiego mom — nie? — — Poprowadzie to ino radoś i lankur są imentnie cłowiece to jego włosnoś prawowito, przyrodzono; — a inne? — wszystko inne jes jak wiater śleobodny, bezpański, roz jes, drugi roz go nima; ani go chycis, ani go zatrzymies, wymknie ci sie choćbyś, niewiedzieć jak gorść ściskoł — ; — ino se jedno cłowieku zboc: złe lo siebie chowoj, bogać sie nim jak potrefis, a jak nie to niek sie w tobie przegryzie jak okowita przez wode, — a dobrem to sie dziel z wszystkimi; ino tak: zło sobie, dobro ludziom! — ejze, byłoby lepij i dobrze i cołkowicie łodmienie, gdyby my sie tym porządkiem rządziłi.

Już się w tem zajęciu głośnemi myślami miska podrutowała napodorędziu.

Niesie Antonina obiecaną zacierkę i chleb i mleka garnuszek na skrzepienie.

— Mocie, moiściewy.

Kładzie mu to w ręce.

Zdjął kłobuk, przeżegnał się łyżką.

Poczyna jeść.

Powoli od kraja wybiera rozważnie i nabożnie; — łyżkę zacierki, łyżkę mleka.

Gospodyni, że to jest taka niedowierzająca — nalewa do naprawionych naczyń wodę — ale! — nie przecieka ani, ani. —

— Fajnieście zreperował — przychwala.



Połknął co tam w ustach rozważnie przeżuł,
a nabierając nową porcję mówi:

— Rzetelnie naprawione — nijak wody nie
puści — jak mo być.

Je dalej.

Doznaku się Mikołaj zaśluchał, nie zrozumie-
niem — pewnie, że nie! — tylko tem zadziwieniem
i zaniepokojeniem bezwolnem i przytaknięciem
ochotnem, które rosło samo jak kwiat na ugorze
— któż go tam posiał? — Wiatr nie wiatr — ! —
Też i te słowa druciarzowe wiatrem są, który
sercem chiboce czy chce, czy nie chce — bezra-
dnem!

Jakoś się tak sama odpowiedź stłumiona ro-
dzi — więc nasłuchuje teraz, co mu się tam w
myślach rozgaduje.

Tak się zagubił w tych dwugłosach — aż się
z tego zmęczenie na oczy kładzie.

Spać mu się chce.

Druciarz odłożył miskę i garnek do czysta i do
ostatniej kropli wymyte i tak tem pierwszym zda-
niem budzi:

— No cóż pódzies ze mnom? —

— Jak urosne.

— Jak urośniesz? — no dobra! — to jo tu za
kiela roków, do Bóg docekać, przyńde po ciebie
— ; — ale ty ta juz ze mnom nie pódzies, nie! —
Kozdy mo swojom dróge odmierzoną od małości;
kozdego dróga inakso — ino dójście to jes to sa-
mo! — a po dójściu — ? — no to jak se kto za-
robi; — zarobis se więcy, pódzies wyzy, zarobis

se mnij — to pódzies nizey, abo i zostanies na placu, skądes wysed: — tak se ta człowiek zarobio życiem na życie, życiem na życie... a kces wiedzieć, co mu nobarzej ten zorobek utraćo — kces wiedzieć — ? — no to ci powiem: — nobarzej ten zorobek utraćo — złość! — to jest mogorse, tego sie stryz — — znom jom, te złość! — dobrze znom, dobrze!

Uderzył się kilkakroć w piersi jak przy confiteor na mea culpa.

— Kozdy jes złości winien, winien kozdej złości, — co ka ino kto złego kono — to jakby jo kono! — kozdom złość w sobie mom, za kozdom cierpie! — Kozdy człowiek za wszyśkik obstoi i mo być winowaty za zło wszyśkik ludzi — a jak sie w sobie tego wyzbywo, za grzychy wszyśkie przed Bogiem spowiado — to sie tem to zło światowe umniejsa! — A złości tyk za duzo, za duzo — casem ani udźwignonć ni moze — — e! — tak se ta godom. — —

Nacichł.

— No bo i tak — dorzuca Antonina z groszami nadchodząca — tak se gwarzycie po próżnicy — i z kim — ? — z chłopakiem! — coż ta chłopok z tego wie — mało-nieduzo, ba — nic.

— Tak sie wom zdo! i tak godają wszyścy; — a jo zaś inacy mówie; — dziecko se to wszyśko bocy i pamięto, pamięto dobrze — ; — kto to wie, moiściewy, kto to wie — moze juz i dziecko prowde istnom zno? — kto to wie! — Tak mi sie coś widzi, ze uno, niby dziecko, mondre na ten

świat przychodzi, ino zapomliwe, przekrzycane! — no to se tym życiem swoim nielekiem przybacuje te zgube swojom — ; — zapatrzy sie, zasłucho, a furt przybacuje — ; — widzi, słysy cosik-kasik — pasuje mu, no to se do tyj prowdy swojij dorzuczo, dorzuczo, dorzuczo — nie pasuje mu, abo se rady z cemsik dać ni moze — prek z tem! — No i tak se z jednyj strony śmietnik zgarnio setny, a z drugij, widzicie, buduje swojom mondroś, jako mu ta akurat potrzebno i do jakij przyrós potrefi — bo ta, jak, moiściewy, do cego zmysłu nimo, to zeby sie na głowie stawioł, zeby se nogi nanic schodził, zeby ręce po pochy zapracnił, zeby sie niewiedno jak ucył — na nic wszyśko — nic z tego mioł nie bedzie — ; — powoli, strasnie powoli miłowanie sie cłowiek dochrapuje — ; — ale póde juz. —

— Ile sie wom patrzy — ?

— No, tak z tym poobiadowaniem, deicie trzy szóstki — widzi sie wom? —

Uzdała sie Antoninie cena; nie targuje sie —;— dwie szóstki w całości daje, trzecią miedziakami.

— Bóg zapłać.

— Wom Bóg zapłać.

Nakłada na siebie druciarz, wedle porządku udowodnionego odwieczną praktyką, sprzęt majsterski na siebie.

Poprawia się podrzutem ramion i grzbietu.

Zbyrkło na nim wszystko, zadzwięczało, ułożyło się jak należy i na plecach i po bokach.

— Łostańcie z Bogiem.

— Z Panem Jezusem! —

Nojlepszego wom i domowi; — chowoj sie chłopocku i miłościom Boską rós — pamiętoj, jo ta przyjńde po ciebie, jak ci bedzie cas; — a nie jo, to kto inny; z Panem Jezusem —!—

A Mikołajek zciszony jest i odurzony, że to ktoś po niego przyjdzie kiedyś — a niema w nim nic lęku, tylko jakby zawstydyzenie —; — mechanicznie żegna:

— Idźcie z Bogiem.

— Z Bogiem ide — z Bogiem przyjńde.

Poszedł.

Chłopiec powoli idzie za nim w odległości niejakej.

Zadziwniła się docna chwila — i tak mu się zdaje, że choć ten kawałek drogi ku bramie „w świat” idzie.

Tak doszedł do wjazdu.

Mur w obydwie strony, jak skrzydła rozwarte łączy się od siebie — a nowprost poza bramą szeroką — pola zieleniejące, rozkwitłe bukiety trześni, sady bieliste w kwadratach przypłotków zaplatanych — dalej las świeży, dopiero co zbudzony, rozsloneczniony śródpołudniem i aż tutaj pachnący żywicą nagrzaną; — za górą bieli się jak olbrzymi, śnieżny szczyt prostopadle wyrosła chmura wełnista, we wrębach siniata przełęczami, w głębi modra parującą przepaścią... przypomina się: — jak woto srebrzyste na niebie zawieszone.

Zapatrzył się Mikołaj.

A druciarz tą drogą ku górze poszedł.

Znikł za zaroślami — — jeno z wadołu gliniastego, nad którym z rozkwitłych sadków trzy chałpy białe i żółto-strzechate przechylają się ciekawie — wylatuje pogłos nawoływania:

— gorki drutować — blaszane naprawiać — a echo, wyprzedzając znużone wieczną włóczęgą nogi, rozlegało się tak daleko, jak daleko sięgała tęsknota dziecięca, i tak długo, jak długą była droga wyłożona papierami od kanapy po kraj nienazwany, tajemniczy, nęcący.

KSIĘGA SZÓSTA

STĄPNIĘCIE NOCY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O TAJEMNICACH OGRODU, ROZMOWACH, ŁZACH
AKACJOWYCH, Z DYGRESJĄ O MĄDROŚCI ROŚLIN
I BŁĘDNYCH DROGACH.

Takie to były pierwsze zaznane dziecięcym umysłem i czuciem osoby — takie było ich w pamięci odbicie pomieszane i na węzeł nierozdzielalny zasuplone z wyobrażeniem rzeczy, przedmiotów, sprzętów i zwierząt.

Wszystko na przestrzeni pomiędzy pokojem jednym a drugim, sienią, kuchnią i stajnią.

Inaczej nieco było po „stronie drugiej”.

Niemniej zresztą osobiwie.

O którejś godzinie, codziennie, jeśli tylko pogoda była zająca, zwykł ojciec mówić:

— Chodz — pójdziemy do ogrodu —

Wiadomo ogród bardzo duży.

Gdzie (i czy wogóle) był początek, a gdzie (i czy wogóle) był kres ogrodu — to zagadnienie niejasne, zawiłe i trudne.

Ogród b y ł.

Był przed domem, był z boku domu, był za domem, był wzdłuż szerokich i bardzo długich alej był wzdłuż wąskich a niemniej długich ścieżek.

Najpierw więc, jaśliby tak oczy zmrużyć i pamięci widzenie przerysować — przedstawia się ta zielona mapa jako zbiorowisko linii prostych, obłych i krągłych, nieprzerwanych i załamanych, płaskich i poziomych, stromych i wypukłych — wysypanych żwirem równym i zbitym.

Potem dopiero wrysowuje i wmalowuje się resztę: zieloną, kwitnącą, liściastą, wysoką.

Żwir to jest dużo małych kamyków.

Drobne te kamyki można potrącać nogą, brać w ręce i rzucać — lecz broń Boże na trawnik! — nigdy! — tylko zpowrotem na ścieżkę.

Takie bowiem jest prawo, że kamyk musi pozostać na ścieżce; — obojętna, czy mało znacznym zda się przedmiotem, czy leży bliżej, czy dalej. — Zresztą — o ile się doń podchodzi — będzie on zawsze bliżej i znów bardzo blisko; dlatego to może — nawet na pewno! — miejsce jego chwilowego czy stałego pobytu jest właśnie, jako się rzekło, obojętne i raczej mało znaczące.

Więc szli, ojciec ze synem, temi ścieżkami.

Ojciec laską ostro zakończoną żelaznem okuciem, usuwał zgrabnem podważaniem, bez schylania się, trawki zadziorne, wyrosłe niespodzianie z pośród żwiru.

Zwłaszcza jedna była bardzo uparta i nawet zuchwała; mała, niska, przywarta do ziemi — ostre króciutkie listeczki gęsto wokół łodyżki zmierzwiłone — tak się nosiła —; — wyrastała przez jedną noc, bo jakżeby inaczej —? — przecież wczoraj bytowała na tem samem miejscu; wy-

mówiono jej mieszkanie, a dzisiaj już się tu sprowadziła i zagospodarzyła.

Podważona końcem laski, zakreśliła łuk w powietrzu i padła na trawnik.

— Tam jej miejsce i — wygodniejsze; — jednakże upór! Nie gniewał się ogrodnik: bo czegoż? — zrzędził jeno.

Dookoła, pośród zielonych trawników, rabaty i klomby barwne niestychanie: miski czerwone, kubki białe, naparstki pstrę, talerze niebieskie, czapki żółte, słońca jaskrawe.

Za niemi, półkolem, krzewy koliste, stożkowate, pióropuszkowe zwisające, rosochate — rozkwitłe, pąkujące, przekwitające, lub barwą liści zacne i wyróżniające się.

A dalej: wysoki gąszcz drzew: dębów, jesionów, klonów, akacyj, buków, grabów, jarzębín, leszczyn, wiązów i lip.

Tu i tam olbrzymie, ciemno zielone obeliski i wieże sosen, smreków, jodeł i pomniejsze: cyprysów, tuj i jałowców.

To znów plamy rude, krwawe, miedziane czerwonych dębów, klonów i buków.

Tuż przy domu jak kłęb dymu — bieliściał wśród ciemnych sąsiedztw puszysty, miękki jesiono-klon szczepiony.

Cudaczyła się też w tem zbiegowisku — a pod słońce zwłaszcza — purpurowa brzoza, białym pniem w tę mgłę czerwonych refleksów, w półcień ciepły, naświetlony, wyraziście wpisana.

Najwyżej powiewał szumnie modrzew rozrosły, smukły pniem liljowym, szeroczysty i nisko nawisły dolnemi gałęziami — dziecięco wąły szczytem niczem boże drzewko, lub owe jedlinki, które cieślowie na ukończonej co dopiero więźbie wystawiają, w ozdobie szarf papierowych, na znak, że to już z dachem sprawa prędko doczeka się wyczekiwanego zakończenia.

Aż oto i różyniec.

Do gładkich, zgrabnych palików łykiem przywiązane — chyba uciec chciały? — stały pienne róże w koronie ciemnych liści, pysznym, wonnym kwieciami licznie głowiaste: — białe, jasno-żółte, prawie pomarańczowe, czerwone, krwawe, purpurowe, bordowe, aż-ci już niemal czarne — i różowe, olbrzymie jak czepce i pasiate różowo-białe.

Wzdłuż, wszerek i napoprzek szpalery bzów, jaśminów i tawuł.

W opiece i oddaniu serdecznem — nie w celu sobkowskiej uciechy, a w samejże życia radości, więc w celu właśnie — rosło to zielne czarnoksięstwo bujnie i suto, w oszalamiającym przepychu.

A już się tam z temi kwiatami rozpoczynała praca porą zimową, gdy trawniki były białe, a drzewa czarne, rozkwitające jeno porankami szronistemi modrą srebrzystością pod błogosławiącym przytakiwaniem olbrzymich jodłowych i świerkowych rąk zakutanych w pierzeniaste rękawice.

Już więc wtedy temi godowemi czasy — obok kominków i za piecami rozstawione na stołkach, stołach, ławach, zydlach paczki mniejsze i większe wylęgały rozsade: wiotką i bardzo delikatną — zieloną, pękatą, grubą, soczystą — różową.

Suto podkarmiane rosły w zakątach ciepłych szybko, jakto się mówi, w oczach!

W wieku odpowiednim przeprowadzały się do doniczek, które zagnęła wyrastały w wielkiej liczbie, panoszyły się wszędzie (niczem owe grzyby na podłodze, o których była mowa); prawdziwie: najazd doniczek na dom.

Rośliny odmienione w kształcie i barwie do niepoznania, przeprowadzały się po raz trzeci (niby na letnisko) do ogrodu — tu już czuły się jak u siebie: kwitły i pachniały — czynnościami temi miłosnemi wypełniając noce i dnie.

Później jednoczyły te dwa wysiłki w jeden: owocowanie.

Idzie pan Michał krokiem rozważnym, a obok niego Mikołaj drepta.

Poczyna się powszedni monolog myśli i zauważeń:

- Rosliny są mądre i pracowite —
- (znowuż ten chwast — skaranie boskie)
- najkrótszą i najpewniejszą obierają drogę —
- (skrzepiłeś się, biedaku, szczęść Boże)
- życie ich jest wzniosłe —
- (cóż ty tak listki tulisz)
- może najczystsze —? —

(czekaj, już ja cię uwolnię z mszyc)
 — jeno trudno skomunikować się z niemi —
 (o bracie! — tutaj kretowisk nie wyrzucaj)
 — trudniej, niż ze zwierzętami —
 (cóż za gąsienica! — to pawik nocny, uważaj,
 żebyś nie przydeptał, obejdz)
 — dawne czasy, parantela zamierzchła; — za-
 pomina się jednak; w tem sęk! — jednakowoż —
 (spójrzno na ten mieczyk purpurowy — cud!)
 — jakoś się jednak porozumiałem —
 (co mówisz? — dlaczego? — dopiero za mie-
 siąc zakwitnie; — wszystko ma swój czas)
 — dużo wam zawdzięczam, więcej niż księgom,
 prawie tyle co życiu —
 (zakwitłeś — no nareszcie).

Mikołaj słyszał tę rozmowę ogrodową i nieraz
 leczenie.

Niby się to z tych zarwanych zdań nic nie wie-
 działo, ale jedno było pewne: życie skupione,
 współżycie pełne i wielka, bezbrzeżna przyjaźń
 i miłość bliźniego, który z natury swojej miejsca
 nie zmieniał, rósł pionowo, myślał zielono, kochał
 barwnie i wonnie, owocował statecznie.

Samorzutnie wrastał szacunek dla życia kwiet-
 nego w serce chłopięce.

Łakę kochał zapamiętałe — lecz nigdy w my-
 śli mu nie powstała chęć biegania po niej; nigdy
 też nie zrywał liści ni kwiatów, nigdy nie łamał
 gałązek.

Nie z zakazu, z dobrowoli

Co więcej! — czynności takie wykonywane przez innych, sprawiały mu dużą przykrość i ów okliwy ból, jaki odczuwamy patrząc na czyjeś skaleczenie.

Raz zwłaszcza ból był dotkliwy bardzo.

Wypadek był tego rodzaju:

za wozownią rosła akacja wielkolistna, zakwitająca w czerwcu dużemi, zwisającemi, białemi kiatami samego prawie zapachu —; — kwiaty wątłe, prześwieczonej mgie alabastrowej bliźnie, były do prawdy zjawiskiem niematerjalnem, były kondensacją woni, woni słodkiej o barwie miodnistej.

Otóż — a było to właśnie podczas kwitnienia — ktoś odłamał nieopatrznie gałąź (— niezwykle kruche gałęzie ma ten gatunek akacji —), chciał, zobaczyć, zerwać kwiat — no, cóż?! — odłamała się gałąź.

Było to jakoś pod wieczór.

I oto dnia następnego z rany tej sączyły się duże, przezroczyste krople, jak łzy, jak łzy rzęsiszte.

Trawnik pod tą gałęzią był wilgotny, żdzbla traw i liście ziół lśniły, jak w sutej rosie skąpane.

Drzewo płakało.

Pobiegł Mikołaj w te pędy do ojca —

— Tato, akacja płacze, bardzo płacze —

Ojciec wysłuchał, wyrozumiał, jako fakt przyjął, nie widział w tem ani przesady, ani miłego paplania dziecięcego.

Rzekł nawet — a stali już właśnie pod drzewem płaczącem:

wodnie, a kto wie, może i o niebo błękitne zawadzi? —

O niebie marzą wszystkie rośliny.

Gorzej jeśli z jakichś przyczyn otworzyła się rana na korze do żywego ciała; to bardzo boli; drzewo cierpi i choruje.

Wtedy trzeba leczyć! — Np. rozmieszać glinę z krowieńcem, opatrzyć tą maścią ranę, związać, a najlepiej potem cały pień rzadkiem wapnem obelić.

Jeśli się dobrze i umiejętnie leczy drzewo, krzew, czy kwiat — zdrowie wraca im prędko.

Są to zresztą wszystko zabiegi tylko pomocnicze; samolecznictwo drzew jest decydujące.

Mądrość ich i pod tym względem jest niezawodna.

Lecz są wypadki nietylko nieprzewidziane, lecz zgoła nie dające się zbadać ni określić.

Jestże w tem coś dziwnego? — Cóż my zbadać czy określić potrafimy? — bardzo niewiele.

Z chwilą gdy całą siłą oddalamy się od przyrody, gdy zagubiliśmy kontakt bezpośredni z zrzeszeniami istot zwierzęcych i roślinnych, gdy tworzymy sztuczne skupiska wyeliminowane, zawieszone niejako w próżni, egocentryczne, pełne spraw niespokojnych, rzekomo pilnych, stworzyliśmy zło niewiedzy, które nas pierwszej czy później pochłonie.

Nie pomijajmy możliwości odrodzenia.

Lecz błąd jest srogi, a najgorszy ukryty w tym słowie: postęp, który jest usypiającem autookłamywaniem siebie.

Niema postępu! Istnieje tylko wzwyżenie!

Wzwyżenie — to znaczy stanięcie ponad egoizmem.

To cały trud wypracy.

Człowiek poczyną się w momencie wielkiego, powszechnego umiłowania.

Bez tego spada poniżej sfery zwierzęcej i roślinnej — w chaos — w piekło.

Raj to symbol nieświadomego współbywania z przyrodą (po wyjściu z chaosu) — żywot wypracowujący świadomość swą w stosunku do wszelkich zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych.

Z raju wyszedł Adam-pracownik, aby w pocie czoła i męce duchowej dotrzeć do nieba: miłości Boga, miłości człowieka, miłości przemian, miłości ogarniającej wszechświat.

Droga wieczna zagubiona w bezmiarze.

ROZDZIAŁ DRUGI

*ZAŁOSNY, O UMIERAJĄCEJ SOŚNIE, O ŚCIĘCIU JEJ
I UPADKU; NA JEJ STANOWISKU ROŚNIE JESION.*

Sosna turecka rosła sobie w alei w jednym rzędzie z parosetletnim wiązem, z klonem szerokolistnym, jarzębiną i jabłoniami dwiema.

Ani stara nie była zbyt, ani też nie zdradzała żadnych odznak ciężkiej choroby, trawiącej ją snąć oddawna.

Przeciwnie — była w sile wieku, a łośńskiego roku urosła jeszcze znacznie, stężała, — jej długie pendzle igieł były nad wyraz bujne.

Jesienią była szczęśliwą matką wielu pięknych, dorodnych, gronami zwisających szyszek.

Jeśli wiatr strącił szyszkę, można było za każdą przegrodą, na której osiadła kropla — chciałoby się rzec, zcukrowanej — żywicy — znaleźć nasionko rude z błoniastem skrzydełkiem; gdy się je podrzuciło — opadało, zataczając śliczne, prędko wirujące koła — zupełnie tak, jak nasiona klonu lub jaworu.

Z każdego takiego uskrzydłonego ziarnka mogła wyrósć sosna najpierw malutka i wątła jak trawka; z rokiem każdym przybierała na wadze i wzroście, aż z latami stawała się duża i rozległa,

jak matka, która przecież nie potrzebowała sta-
wać na palcach, żeby zobaczyć ponad koronami
sąsiednich drzew, co to się tam na szerokim świe-
cie dzieje.

Najwięcej tego „świata” mógł oczywiście oba-
czyć wiąz, z wieku mu i godności ten zaszczyt na-
leżny — lecz i sosna, na honor, nie była ułom-
kiem!

Otóż sosna ta, piękna, szumiasta, wysoka sosna
turecka — poczęła nagle tracić barwę ciemno-zie-
loną, puszystość jej igieł zmniejszała się widocznie
z dnia na dzień, gałęzie leniały gwałtownie tak,
że patrząc na drzewo zdołu i zbliżka, miało się
wrażenie wiotkiej, gazowej materji przetartej,
przeświecającej i dracej się za każdym porusze-
niem.

Wreszcie poczęła sosna wyraźnie żółknąć i ru-
dzieć ostatecznie.

Pień tracił z każdą chwilą ową węzową lśnią-
cość kory, pełnej podskórnych żywotnych soków
— stawał się suchy i popielaty.

Było rzeczą az nazbyt widoczną, że drzewo
choruje, ciężko choruje; jeno chęć, dość pospolita,
wzmówienia sobie i łudzenia się, budziła nieuza-
sadnione nadzieje, że „może będzie lepiej”.

Badał ją ojciec jak lekarz-przyjaciół troskliwy,
opukiwał, odłupywał kawałeczki nadwątlonej i łus-
zczącej się kory —: nic niewiadomo! nic! To
jedno tylko pewne.

Okopał dookoła, znawoził — nic nie pomogło.

Przez kilka tygodni zdawało się, że może,
może się skrzepi.

Radowała każda igielka zieleńsza.

Lecz i to było złudą.

Drzewo marniało z dnia na dzień.

Bezsilna była opieka królowej kwiatów Flory,
której terakotowy posąg stał pośród tuj.

Bezsilna i terakotowa mądrość Sofia z sową
przycupłą u bosych nóg.

Duch soseny był zdecydowany w dalszym po-
chodzie nowych szukać form.

Ciężkie to były tygodnie.

Cichość posępna zawisła nad ogrodem.

Cichość, melancholja i nieukojne oczekiwanie
czegoś, czego się uniknąć nieda.

Można śmiało rzec, że drzewa i kwiaty za-
milkły, że chodziły na palcach, rozmawiały szep-
tem i na migi.

Parność tych dni urzekała.

Wiatr ukrył się w borach, z poza pni jeno
milczkiem szpiegował i baczył.

Ucichły zabawy najmłodszych roślin.

Wszystko stało w bezruchu.

Aż wreszcie przyszedł ten dzień ostateczny,
w którym pan Michał raz jeszcze jak najdokładniej
rozważył symptomy zbyt zresztą jawne i nie-
dwuznaczne.

— Ano nie poradzimy — koniec; — trzeba ją
wyciąć, lękam się o inne drzewa.

Wyrok zapadł.

I wtedy przyszedł Jasiek i ktoś tam jeszcze z olbrzymią, zębata, groźną piłą i z lśniącym, wyostrzonym toporem.

Obejrżeli.

Dookoła obesзли.

Pokiwali głowami.

Tak poegzekwiowali:

— No, no, sknie na nic — jun snij susyca i takie —

— Musi być abo chrebok u korzenia zre, abo jakosik ziemia niezdatno —

— Niemia dobro jes, dobro niemia — cheba kto urok na nie rzucił.

— Moze i to być, bo i prawda, wszyscy sie cudowali, patrzyli, a godali: piekny goj, ślicny goj — tak i urzekli z kretezem — mocie rekt, bo to ta i nie kozdy bezuroku rzeknie, a niejeden i kiepskie spojrzenie mo, abo w złom godzinie trefi — mocie rekt —

— Mos tero piekny goj, ja, moiściowy — i takie —

— Ja, ja — przysło mu na koniec —

— Wszyśko tak, wszyśko, no, no —

— Ja, słuśnie, wszyśko mo swój bieg, miboże, i cas swój mo, cłowiek jak i goj nieprzymierzający —

— Co ta — kwila wszyśko — i takie —

— No biermy sie —

— Biermy —

— W imie Łojca i Syna

— I Ducha świętego — i takie —

— Amen —

Uklękli.

Garściami powyrywali bujną trawę pod pniem,
odsłoniłi go tuż nad ziemią

Przyłożyli piłę.

Oburącz poczęli ciągnąć ten rżący sprzęt ku
sobie — od siebie — ku sobie — od siebie — raz
ten, raz tamten.

Czy to piła była tępą, czy kora w tem miejscu
przykorzennem stwardniała —? — dość, że piła
zgrzytała, brzęczała, piszczała i zeskakiwała z drzewa.

Próbowali uparcie —; nic nie poradzą —; —
natrocili jeno płytkich rys, a żadną dobrać się nie
mogli do żywego.

— Nie do sie tak — zackojcie —

— Kwarde, psiasiers i takie —

Wtedy to ten drugi — nie Jasiek, — siekierą
zaciał pień, raz zgóry, potem zdołu — tak po
kilka razy, aż się wyłupał klinowaty otwór.

— Teroz to nom juz pódzie —

— No, no, piła bedzie miała halt i takie —

Przeżegnali się.

Piła założona w tę ranę nie ześlizgiwała się już.

W miarę wyciągających się i naprzemian wkur-
czanych rąk — zagłębiały się zęby ostre i złe
zjadliwie w pień drzewa.

Dobre półgodziny różnili.

Pot im skraplał czoło.

Żyły na rękach nabrzmiały.

Kolana bolały dokucznie.

A tu jeszcze do połowy pnia — hola! kęs.

spory.

Piłowanie ciężka rzecz.

Przerwali.

Starli pot rękawem.

Piłę wyjęli.

Palcami dotknęli —: gorąca.

Odłożyli ją w zimną trawę

Powstawali z klęczek

Popenetrowali po gałęziach, po czubie.

— Ale kwarde, powiedzcie ino, ktoby sie to
spodzioł — ? —

— No, no, a sosna przecie doś bywo płono —

— Hale to hamerykańsko —

— turecko —

— to jednoś —

— no, no — ryktyk i takie —

Poobchodzili dookoła drzewo.

I znowuż: zadzierają głowy, potwierdzeń jakichś czekają — czy co? — rozpatrują wierzchołek, jakby wronich gniazd szukali.

Zabrali się do roboty.

Powoli zasunęli piłę w wąską śmiertelną ranę.

Z oporem wchodziła.

Drzewo broni się do ostatka.

Piłują.

Pa jakimś czasie sosna poczęła drzeć — le-
dwie dostrzegalnie.

Posypało się nieco igliwa.

— Dobrali my sie do duse — orzekli

Drzenie powtarzało się odtąd rytmicznie
w miarę zagłębiania się złowieszczego żelaza —

coraz mocniejsze, wyraźniejsze, trwożliwsze —: aż już każda gałązka trzęsie się w tej febrze ostatniej.

Jakaś obstarna, zeschnięta, zeszloroczna szyszka opadła obijając się o gałęzie w trawę —: ostatni pusty owoc.

A już to drzenie niesamowite przeszło w głuche, ni to podziemne trzaskanie i chrzęst — jakby kto żywe włókna rozdzierał.

— Holt! —

Zatrzymali się!

Ostrożnie wyjęli piłę.

— Uwazować teraz potrza —

— No, no, niebezpieczno i takie —

Nacięli toporem pień, po przeciwnej stronie przepiłowania; — tym sposobem wyznaczili kierunek padania.

Wtedy to długi drąg wparli w pień.

Przysadzili się.

— He — ruk!

Pchają.

Nic.

Wyżej trzeba.

Drugi raz,

— He — ruk!

Trzeszczenie!

— He — ruk!

Razem, zgodnie, trzeci raz!

Drzewo chwieje się gwałtownie, trzepoce nieporadnemi gałęziami, jak ptak spętany wzlecieć chcący, — trzeszczy tępo i przeciągle.

Więc raz jeszcze:

— He — ruk!

Zachibotał wierzchoł, jak pijany szalejem, za-
tańczył, zakotłował.

Drzewo poczęło się przechylać — powoli,
znużenie, śmiertelnie.

— Uciekać!

— Bacność!

Odskokczyli.

A wtedy już drzewo nabrało w przechyleniu
skośnem pędu znacznego.

Zaszumiało gałęźmi jak na walnym wichrze.

Potem, jakby huk gwałtowny wodospadu

Trzask!

Łomot!

Zadrżała ziemia, stęknęła, zadudniała.

Drzewo z połamanemi gałęźmi leżało na ziemi
nad podziw wielkie i wspaniałe — większe i wspa-
nialsze po śmierci, niż za życia.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała
sosna — po nad bielistością odziomka osypanego
żywicznemi trocinami — wyrosła ponura pustka
wysoka i szeroka.

Obciupali gałęzie.

Pień na dwoje przecięli

Gałęzie i wierzch pójdą do pieca, pień do tar-
taku; będą z niego deski na powałę.

Niema już sosny.

Na jej stanowisku posadził pan Michał smu-
kłego jesionka.

Rósł żwawo.

ROZDZIAŁ TRZECI

O ŁĄCE, Z PODANIEM KRÓTKIEM I ZWIĘZŁEM
DZIEJÓW LWIEGO ZĘBA VEL WILCZOMLECZA,
O MOTYLACH, PSZCZOŁACH, TRZMIELACH, ŻABACH,
WODNYCH PANNACH, SIKORCE, WILDZE, SKOWRON-
KU, KUKUŁCE - K'VIECIE I SROCZCE PANNIE KASI.

Właśnie za tą aleją, na której umarła sosna
rozstępowały się nagle drzewa i okrężały
dużym prostokątem kwiecistą łąkę.

Łąka obszerna.

Rozległy widok zamykały, rozdrżane ciepłem
przymodrzałem, topole przecinające swą zjawą
dogasających pochodni górę granatową.

Wzdłuż łąki biegła miedza szeroka popod
lasem.

Olbrzymia mroczna wnęka pośród dębów była
bramą do tej zaczarowanej nawy o zielonym stro-
pie wspartym na kolumnach przelicznych drzew.

Na tle mrocznego sklepienia wejściowego zło-
ciły się przeświecone nawylot liście zabłąkanej
gałęzi lipowej — : złoto-zielone serca — emble-
mat żywy nad żywym portalem.

A łąka była zielona i żółta.

Zielona trawą, żółta jaskrami i lwim zębem.

Pod wieczór, gdy zasypiały kwiaty i mrużyły się żółte oczy — jawiły się po całej tej to przestrzeni — niby nagle, ale to się pewno tylko tak zdawało — puszyste kule lwiego właśnie zębu, zwanego też mleczem wilczym, znanego również pod przezwiskiem męskiej stałości.

Przy ziemi rozkładają się liście wąskie i długie — ostrozębate — usprawiedliwiają też nazwę należycie; — a że z nich i z łodyg po zerwaniu mleczna ciecz się sączy — więc i ta druga nazwa słuszna — ; — a co do przezwiska — mój Ty miły Boże! — zrywać i dmuchać i z tego wnioskować — ? — czy aby nie za pochopnie? — zresztą to nas tutaj i w tej chwili nie obchodzi wiele.

Z pośrodku tych promiennie rosnących liści wyrasta blado-zielona łodyżka pusta, prosta, wysoka, a na jej szczycie wspaniali się ten świat, gwiazda, planeta, kosmos cały, poemat rozsiewny o konstrukcji doskonałej, mądrej, wzniosłej.

Lecz najpierw jest kwiat słoneczny, żółty kwiat o wąziutkich, gęstych płatkach.

Zamyka on się na noc jaskrowym procederem.

Wtedy jest takie-sobie-niby-nic — : pendzelek zielonawy z brudną kitką włosów żółtawych.

Rano, o wschodzie słońca — zużywszy noc na sen krzepiący i obrót ku wschodniej nieba stronie — rozwija się żwawo i zwinnie.

Trwają te dzieje przewidziany i potrzebny okres czasu.

Któregoś wieczoru zamyka kwiat oczy na sen
— i nie budzi się w kształcie wczorajszym już
przezwyćzionym!

W samotnem i ciemnem skupieniu dokonują się
przemiany wielkie!

Rodzi się w nabożnej dostałości misja przekaza-
nia cudów osobistych — gromadzie!

Życiem jednostki pisze się niezmożna historia
gatunku - gminy!

A mądre są te przygotowania!

Wszystko przewidziane!

Strategja ścisła, jasna, zdecydowana.

Wszelkie możliwe okoliczności i warunki —
zrozumiane ciężkiem doświadczeniem odwiecz-
nego trwania — brane są pod czujną uwagę.

Uniknąć niebezpieczeństw zewsząd czyhają-
cych — a nie o własne bezpieczeństwo chodzi!
— o całość!

Wyzyskać korzyści miejsca i czasu!

Prześcignąć współzawodnicze plemiona!

Zdobyć świat!

Pierwszym i najważniejszym sojusznikiem
w tym okresie pracy życiowej — jest wiatr — , —
dla niego więc, by się sam nie trudził i nie mo-
zolił, by nawet myśleć nie potrzebował — ułat-
wienie trza stworzyć wielkie, tak wielkie, że od
niechcenia, — nie siląc się, samem istnieniem swo-
jem — spełni potrzebną, tak bardzo konieczną
przysługę.

W tej to zamierzonej myśli już się więc i lekki,
lotny puch dookoła postanowienia gwiaździcie

układa — obojętne z której strony wiatr zawieje: róża wiatrów przewycięzona.

A od tego punktu - spadochronu zwisa jak cienki drucik — łożyczka dźwigająca ziarenko: tę mądrość ostateczną

Ziarno, ciężkie przykazaniem, które spełnić musi za wszelką cenę — zwisa wdół, a ilekroć oczy w górę wzniesie widzi niezmierzone niebo prześwitujące przez białą gazę puchu-parasola-latawca i spadochronu właśnie.

Dmuchnij jeno, wietrze przyczajony, a cała rzesza latawców obarczonych ciężarem ziarna żywego uleci kawalkadą w przestrzeń — ponad tę łąkę kwiecistą.

Od ciebie już, wietrze wiejący, zależy, czy wyżej, czy niżej polecą w tej napowietrznej podróży, która jest chwilą triumfalnego odpoczynku, uroczystością, zachwytem, upojeniem, obchodem życia narodowego, świętem wielkiej konstytucji lwiego zęba.

Przestrzeń nadłączna skanduje epopeę mnogością latających ziarn.

Rozrzutną zasobnością przewycięża wola życia rzekomą, nieuważną sobiepańskości żywiołów.

A mądra wiedza gatunku utajona w ziarnie, przypomina ciężarem swym obowiązek wielki: przekazania legendy trwania swego rodzaju — przez gminę — po wieczność!

Wszakże cel ostateczny: zasianie wszechświata!

Wilczomlec na wszystkich planetach!

Złotym kwiatem płonące gwiazdy!

Bezczes zaludniony latającem ziarnem!

Tymczasem mierzą pionowo w ziemię — opadają i dotykają rozgrzanej, wilgotnej, czekającej gleby macierzyńskiej.

Pograżają się w niej.

Czepiają niewidocznymi chwytkami — — a już tam w pramądrym ruchu zgłębia duchowym poczytną się śpiewna praca kiełkowania — ; — odpada misterna budowla puchu-skrzydółka-łatawca —: zadanie spełnił nieomylnie!! — W tej chwili już na nic nie potrzebny!

Pozostaje wszakże pamięć konstrukcji udałego aparatu; święci inżynierowie bezimienni skonstruują go zawsze, gdy pora nadejdzie.

Idzie Mikołaj miedzą przyłączną, popodleśną — szlakiem raczej zarosłym — brodzi, trawa nogi zalewa — a te puchy, a te puchy po kolana — głowią się i tysiącnieją.

Zrywa baloniki zwiewne — wolno, bo to nasienie — rozsiewa się — będzie więcej kwiatów — — dmucha i patrzy, jak lecą — jak lecą — wysoko — — powoli opadają ku ziemi.

W ręce ostaje łodyga z śmiesznym białym guziczkiem na czubku — platformą lotniskową.

Z łodyg długich, giętkich i pustych pleść można — lecz właśnie ten guziczek trzeba odebrać — łańcuchy o ogniwach dużych i zielonych.

Kwieci się łąka chłodzista i pachnie i dźwięczy i gra i osi się, pszczeli, trzymieli i motyli górą.

Przelatują w podrzutach skrzydeł bielinki z czarną kropką na białych skrzydełkach, żółte cytrynki, nakrapiane ceiki, admirały - rusałki z wstęgą ognistą komandorstwa motylego, żałobniki ciemne z białą krezą, mieniaki cudne tą przemianą barw od czerni poprzez fiolet do stalowej błękitności, pawiki rudawe o dużych pawich oczach, po parze na każdym skrzydle, pазie królowej odosobnione, zarozumiałe — lecą, prawie nie poruszając skrzydłami, zakończonemi wydłużeniem cienkiem, jakby dwie po bokach szpady płaszczyk paziowski podnosiły.

Motyli moc!

A z kwiatu na kwiat, z wilczomlecza na jaskry, z liljowych dzwoneczków na błękitne sosienki dąbrówek, z firletki różowej, strzępiastej, zwanej krwią Panjezusową, na ciemnopurpurowy baldaszek, z rumianka na niezapominajki, przebrzękują złote pszczoły — powietrze ich przelotem żywe i promienne.

Obejmują kwiat łapkami, w kielich główki łaskome wsuwają — piją miód, lub naganiają w koszyczki tylnych nówek złoty pył.

Pobrzęk ich skrzypcowy.

Basem wtórują im kosmate trzmiiele, stale w futra puszyste odziane, a szata na nich czarna z żółtymi obramieniami — parady w tym upartym obyczaju narodowego stroju; — futro w taki skwar!

A, niech im tam będzie!

Jeno, że grubasy przez to opasłe i pękate — więc, gdy się tak w kwiat'wały, a wąski przez mocą pchają po tę odrobinę przynęty słodkiej — to go też i rozrywają i strzępią — nieostrożne gbury!

A że to stawek niedaleko — stąd ta niebywała bujność łąki — więc też i szklarek i owych przedziwnych panien wodnych zatrzesienie!

Wąskie i cienkie niezwykle ich ciała, głowina maleńka, a ślepia olbrzymie, wyłupiaste.

Unoszą się trzepotliwie na niebieskich błonkach skrzydeł, których nigdy nie składają, lecz ustawicznie wychwalają się i puszą niemi.

Podobne do nich w budowie ważki o skrzydłach przeźroczystych, żyłkowanych (— istny liść srebrnika judasza —) zwane przez lud żmijami — przewijają się ponad łąką gwałtownie, zrzadka przysiadając na czubkach łodyżek, które drżą pod tym szklanym ciężarem.

Raz po raz dwie żółte i zielone żaby skaczą na wysokość traw wielkim łukiem — hyc — hyc — ! — Odpoczywają, robią bokami, podgarle im się wydyma — hyc! hyc!

Całe bujne przyziemie pełne ruchu; bo to i małe, szare, piaskowe żabki, których po deszczu taka niebywała ilość się wyraża i pasikoniki i świerszcze rzępolące od ucha.

Ach! — podejść cicho, zobaczyć jak on to tam skrzypliwie wygrywa — ten świerszcz! —

A jest tuż — niedaleko! — Ba! — cóż z tego — ; — ledwoś doszedł na palcach, ostrożnie, z zapartym tchem do miejsca grającego — — cisza! — oniemiała przestrzeń! — lecz już, już rzępolenie słyszać, lecz gdzie indziej, w innej stronie, daleko — ; — nieda się podejść — szczwania!

Chodzi, brodzi Mikołaj w tym cudzie ciepła, barwy, woni i grania wielkiego.

Po drzewach przelatują ptaki w nawoływaniu, zaśpiewie, dzwonieniu wdzięcznem.

A najpierw sikorka kręcicka, ciekawska w czarnym kapturku i białych okularach, w reszcie swej szaty popielata i żółta — ; — kręci łebkiem, wierci się — cyk-cyk — cyk-cyk — cyk-cyk.

Na kamieniu przysiada pliszka — długim ruchliwym ogonkiem kiw-kiw-kiw-kiw nakiwuje bez przerwy, pocieszenie — śmiech!

Aż tu już z drzewa na drzewo wilga złota przerzuca się kulą wartką w siedmiotonie fanfary wygwizdanej gromko — za nią już druga — doganiają się — trzepocą wśród gęstych konarów — jeno ten poszust, niepokój i zamęt gałęzi słyszać, z pośród których raz po raz wystrzela bojowy hejnał zakończony swarliwym, wyśmiewnem rechotaniem.

Nagle — prawie z pod nóg — tuż! — aż się chłopiec wzdrygnął i rumieńcem oblał — wylatuje, jak szary kamyk ptaszek ubogi, niestrojny.

Prostopadłym prawie skosem leci w niebo,
a podrzucając się gwałtownie w górę, poczyną po-
nad drzewami już — śpiew długi, dzwoniący,
upojny, natchniony.

Coraz wyżej wzlatuje, a śpiew jego, jakby tem
oddaleniem wyraziścieje i mocy nabiera.

Napróżno, chłopcze, podnosisz głowę i oczy
przed słońcem dłonią małą zasłaniasz — już go
nie dojrzyysz!

Już jest jeno plamką nikłą!

Już znikł w błękicie!

A pieśń jego ze sfer niebieskich niesie się roz-
lewnie, koliście.

Opadają dźwięki jak srebrny deszcz, w którym
każda kropla jest małym dzwonkiem cudnie dzwo-
niącym, pachnącym koniczyną, niebem i gwiaz-
dami.

Nagle zarywa się śpiew.

Opadły dzwonki srebrne.

Ptak jak kamień spada prostopadle — mocno
stuliwszy skrzydełka — spada na łąkę, pomiędzy
kwiaty.

Od lasu odzywa się głos odmieńcowy, zgłoła
osobliwy: kukuk — kukuk —

Od boru za rzeką odpowiada echo dalekie: ku-
kuk — kukuk —

— Kukułka — myśli Mikołoj —, a wyobraże-
nie tego ptaka, którego trudno wyszpiegować
i obaczyc — zlewa się z obrazem kwiatów ulubio-

nych, kwitnących w maju, zwanych tu w Beskidzie, a pewno i gdzie indziej: kukułkami.

I tak też wydaje mu się, że to ten kwiat, którego przecież już niema w lecie, ukrył się niezawodnie w lesie, w gąszczu gałęzi, w czubach drzew i nawołuje i w chowanego się bawi: kukuk — kukuk —

Więc stula chłopiec piastki przy ustach i odkrzykuje przekornie i przedrzeźniająco — kukuk — kukuk —

A czeka i pilnie baczy, czy nie wzleci z lasu różowy kwiat wiosenny — a taki ciekaw, taki ciekaw, jakie to skrzydełka kwiat mieć może —? — jakiego kształtu, barwy jakiej — zielone? — własne — ? — pożyczone — ? —

— Kukuk — kukuk —

Wielki grajacy las odpowiada echem.

Tu dzieje się rzecz dziwna i osobliwa!

Z żwawym skrzekiem nadlatuje dość niezgrabnym, krótkim przelotem ptak duży —: — ogon ma jak ster śmigły, długi, zalotny —; — dziób mocny —; — upierzenie czarne z stalowym, to zielonym, to granatowym odcieniem — po bokach dwie duże białe plamy.

— Kasiu — woła chłopiec i klaska w rączki —: Kasiu — Kasiu —

A srocza Kasia zatacza koła i siada niestrachliwie Mikołajowi na ramieniu.

— Kasiu!

Przekrzywia panna Kasia łebek — zagłada
chłopcu dzióbem w oko — trzepoce skrzydłami
i skrzecze przeraźliwie z tej uciechy wielkiej.

Bo też kochają się bardzo.

— Srocza — panna z Krakowa —

— Srocza — Mikołajowa —

ROZDZIAŁ CZWARTY

O ZJAWIENIU SIĘ SROKI W POREBIAŃSKIM DOMU
O JEJ WSPÓŁŻYCIU Z MIESZKAŃCAMI; ROZDZIAŁ
KOŃCZY SIĘ ZWYCIĘSTWEM KAŚKI.

A było to tak.
Jeszcze wiosną zapukał któregoś odwie-
czerza do pokoju ojcowego Jasiek Zając.

— Entrez — taki miał zwyk ojciec; zwrotem
tym zapraszał do wnętrza izby.

Wszedł Jasiek na to „antrowanie“ — a w ka-
peluszu, którego kresę w garść zebrał, coś niesie.

— Cóż to niesiesz, Jasiu? —

— Chycilimy prose jegomości sroki my chycili-
no i takie —

— Jakże to chwyciliście? — gniazdoście wy-
brali — przyznajno się —

— No dy to i tak ne wsyśkim racyjo — ino nie
wybieraliśmy, tyła ino ne w gniodzie były — nie
wybieraliśmy i takie —

— To jakże? — w gniezdzie były, a nie wy-
bieraliście?

— No bo jak un dosed, niby Wojtek do gnioda,
co na tyj jedlinie przy stowku jes było, to une
pouciekały jak dosed do gnioda — to ik jus ni-
móg wybrać, bo jakos, ino je po gojak nebieroł
i takie, no, no —

— Ile razy wam mówiłem, żebyście ptaków nie płoszyli, gniazd nie plondrowali — ! — Tyś jednak Jasiu jest huncfot.

— No, no, prose jegomości — dy to Wojtek, to ros, a drugie nek ino był przy drabince, cok jom trzymał, dy to Wojtek, a wreszcie — —

— To wszystko jedno, taki sam złodziej ten co kradnie, jak i ten co drabinę trzyma, ale co ty mówisz: wreszcie?, jakie wreszcie? —

— To nie ptoki —

— A co?

— Sroki, škodniki —

— Gadaj tu z takim — škodnik nieszkodnik, co tobie do tego? — Pana Boga poprawiać chcesz? Wszystko sobie jakoś daje rady na świecie; po-
waśni się, pogodzi, a do kupy razem żyje.

— No dy ta skumoś i tak jes — ale — no, no —

To tak samo jak i z temi drzewami — tu mówicie: za gęsto — trzeba przeciąć, placu niema! — co placu niema? — pcha się mądrze jedno z drugim i jakoś sobie rady daje; — wam się wszystkim zdaje, że przechytrzycie rozumem drzewo, — bodajto!

— Cón tymi srokami robimy? — przerwał Jasiak, który miał zresztą w tem wszystkiem swoje zdanie, swoją myśl, — że on to lepiej wie na pewno! — a „jegomość“ jest od tego żeby gadał i „kunierował“, zwyczajnie na książkach uczony, wiadomo! —

— Z srokami? — ano zostaw je tutaj — wybyście je jeszcze pozabijali — już ja was znam —

— Przydałoby na przeproszeniem, jednom przybić do syrdki i na podwórku wystawić to by inne boły przylatować, a kurcynta momy, to sroki mogom podkrodać — przydałoby jednom przybić i takie —

— A ty kacie stokrotny, to ty mi szubienicę chcesz stawiać na podwórzu — ? — ptaki wie-szać — ? — Boga w sercu nie masz? — gruntowniebym cię naklął! — zaraz mi te sroki za okno wysypuj!

Co było robić?

Pan Michał zezłościł się rzeczywiście.

Wyspał tedy Jasiek cztery sroki za okno.

Zgniotły się w tem więzieniu kapeluszowem; — rozczochrane; — nasrożone —; dzióby miały rozwarte; — ziajały; — a dzióby z błoniastemi zajądami — olbrzymie! — olbrzymia też przepaść gardła żarłocznego.

Były wystraszone i przymdłałe, lecz, doprawdy, dorodne, zażywne, lśniące i dzikie.

— Piekne beskurcyje som, piękne i takie —

— Ano ładny ptak — dlatego go krzywdzicie — ha? —

Pogłodził się Jasiek po karku, wąsa pokręcił — roześmiał się — znowuż te szparki zamiast oczu! — skłonił się kapeluszem i wyszedł.

Ciężki jego chód człapał po ciemnej posadzce, a echo go przedrzeźniało.

Mikołaj ciekawie przypatrywał się srokom.

Wszystkie były jednakuteńkie, o rozróżnieniu „osób” ani mowy!

Rozdziawiały dzióby i dyszały szybko podnosząc języczek śpiczasty, różowszy od ciemnoczerwonej jamy dzioba i gardzieli.

Przystanął i pan Michał obok syna, obserwuje tę młódź srocą.

Mówi chłopiec:

— Pić się im chce —

— Ano! — lecz nie zechcą pić w tym zastrachu —

— A jeść też nie będą?

— Nie!

— Spróbuję.

— Spróbuj, ale to ma nic.

— A co?

— Chyba sera najlepiej; weź sobie z szafki

Śliczny biały ser; — ale gdzież tam!

Na widok palców niosących grudkę białego ja-dła, rozdzierały dziób jeszcze bardziej, lecz pokarm wkładany, — jakże niezgrabnie! —, wypływały z bojaźnią i złością.

— Nie chcą! — zmartwił się.

— Wiedziałem.

— No to co? — umrą?

— Tak źle nie będzie; ostaw je w spokoju — zobaczysz, że za jakiś czas przylecą stare sroki.

— Stare? — zdumiał się.

Lecz rzeczywiście tak się stało.

Młode zaczęły po chwili tłuc dzióbami w szyby i skrzeczeć głośno, niespokojnie, żałośnie.

Trwało to jakiś czas.

Ojciec odciągnął syna od okna —

— Stare i tak są spłoszone, nie trzeba ich trwożyć; odejdzmy stąd.

Wnet też z ogrodu odskrzeczała odpowiedź — Gdzie? — gdzie? —

— Strach — ! — Strach — ! — Odrzekły młode hurmem.

I znowuż:

— Gdzie? — gdzie? — gdzie? —

— Strach! — Ratujcie — tu! —

Aż już i na pobliskiem drzewie usiadły dwie sroki ostrożnie — na najwyższej gałęzi.

Kołyszą się zestrachane, niespokojne, a ratować pragnące bardzo.

Skrzeczą — wabią — wołają —

Wśród młodych ruch żwawy i wzmożony.

Coraz gwałtowniej atakują czarne dzioby brzęczące szyby.

Stare przelatują niespokojnie na niższe gałęzie, aż zachibotały się na wystającym konarze tuż przed oknem.

Dojrzały.

Skrzek.

Gwałt.

Krzyk.

Wtedy ojciec ostrożnie zdaleka pchnął laską okno — rozwarło się.

Ruch ramy okiennej spłoszył sroki.

Lecz nie na długo.

Już bo tam hałasują żarliwie na pobliskim miodrzewiu.

Młode w tem upartem, podtrzymującym duchu nawoływaniu znanych głosów — nabierają otuchy i odwagi.

Już rozwijają skrzydła, trzepocą, srożą się — na samym kraju ramy okiennej przystają w żołnierskim ordynku — nakiwują się rytualnie, nisko, bardzo nisko i bardzo niezgrabnie — omal — że nie pospadają, biciem skrzydeł równowagę utrzymują.

Odpowiadają pojedynczo i po dwie i gromadnie rodzicom — raz za razem — tyraljerska strzelanina skrzeków — to znów palba — razem!! Raz za razem!

Aż tu już z tych młodych pierwsza, a najważniejsza przycupła — do lotu się zamierza — frunęła.

Z trudem się unosi, nieumiejętnie w szybkim i męczącym biciu skrzydłami podgarnia powietrze pod siebie — — jeszcze! — no, dotarła do pierwszej gałęzi.

Stare w krzyk! — Tak odwagi dodają!

Tedy już i druga i trzecia polatuje.

Zaryzykowały podróż.

Stare dolatują, kołują, okrążają, wrzeszczą, wskazują drogę.

Aż też wyprowadziły młódź swoją w opiekunczą, bezpieczną głąb ogrodu.

Lecz nie wszystką.

Siedzą na brzozie rozłożystej — razem —
czernią się i białą swoim zwyczajem — przeliczają
się — raz i drugi i trzeci — brakuje jednej!

A oto co się stało:

Czwarta młódka wypadła przez okno — nie-
fortunna i słabsza widać — zanim się zebrała na-
leżycie do lotu — pała na kamienie.

Napróżno chce podlecieć!

Przefrunie kilka kroków niskim, nawistym lo-
tem — zaryje dzióbem w trawę.

Zrywa się przerażona — drugi raz próbuje —
znów to samo!

— Idź po nią, widać ma skrzydło zwichnięte
w każdym razie nadwyręzione, zginęłaby niechyb-
nie — stare tu nic nie pomogą.

Pewno, nie pomogą; — rade z odzyskanej dzie-
ciarni wyprowadzają ją coraz dalej.

Poskoczył Mikołaj do ogrodu —; — bez trudu
srokę schwycił — przyniósł.

Gdzież ją tu dać?! — Biedne nieznośne pta-
szysko!

Uchwalili, uradzili —: do dużej paczki dREW-
nianej; — ze słomy niby gniazdo sklecili, srokę
włożyli —; — zwisało jej skrzydełko, lecz je
copochwila podgarnia — więc niezłamane!

Rychło się uciszyła — mrok w kącie pokoju,
w którym paczkę ustawiono sprzyjał zaśnięciu —;
— ciężki to był dzień.

Przez kilka dni dziczyła się po ptaszemu.

Oswoiła się prędko.

Trzeba ją było. niemowlę, karmić —; — zapomniała o dziobie matczynym — uznała palce za właściwą karmicielkę.

Aż tu dnia któregoś — dwa tygodnie minęły od dnia wygnieżdżenia i niewoli — spacerowała podskokliwie po pokoju —: cóż to tam pod stołem leży? — okruch chleba! — przekrzywiła łeb, spojrzała, rozeznała, zamierzyła się, — dzióbnęła raz — ależ głuptas! — chybiła! — o rozkrok palców za okruczem dziób w podłogę dziabnął —; — więc drugi raz próbuje — ciuka — cóż za licho! — stuknął dziób przed okruczem; — aż i za trzecim razem — trafiła.

Od tego czasu karmiła się sama, chociaż, co prawda, rada nadstawiała dzioba i rozdziawiała go setnie i skrzydłami rozstawionemi trzepotała i przeraźliwie skrzeczała — wszystko niby na to, żeby jej kęs w dziób wsunąć —; — nie wolno! niech je sama! — I tak już rozpuszczona jak dzia-dowski bicz!

Trudno! — Istnieją konsekwencje bezwzględne lat dorastających.

Nadwyreżone skrzydło zagoiło się rychło.

Niewoli, krom tych tygodni leczenia i rekonwalescencji, po prawdzie, — nie zaznała.

Od zarania jej współlokatorstwa pozwolono jej z okna penetrować uważnie i zapamiętliwie przestrzeń zieloną i wielgaśną pełną grzęd gałęzistych — tak bardzo dogodnych i użytecznych szponom długim i czarnym.

A okno otwarte!

Już też i odtąd radziej i częściej przebywała w ogrodzie niż w pokoju — naturalnie!

Trzeba jednak przyznać, że w porach, które wydały się jej właśnie najwłaściwsze — wlatywała buńczucznie i z hałasem do mieszkania i dopominała się — dawajcie! — skrzeczała — dawajcie — sera, ziemniaków, chleba, co tylko macie zdatnego — dawajcie!

Rozumie się — dostawała!

Masz! — najedz się, niecnoto!

Również i porą wieczorną wracała z przelotów do swej sypialni w sieni na szafie.

Przed uciszonym pogrążeniem się w sen — taki już miała zwyczaj dobranocny — skrzeczała nieznośnie, wypełniała swoją osobą wszystkie kąty i obdziobywała z lubością złośliwą nogi współmieszkańcom.

Pan Michał i Mikołaj mniej brali do serca te gwałtowne i, powiedzmy, nieprzystojne karesy —; — bowiem nogi ich były pokryte obcą, grubą skórą.

Inaczej Toruś.

Sroka i pies żyli z sobą, o dziwo, w zgodzie przyjaznej.

Jakie uczucia ich wiązały — ? hm! — ze strony psa był to stosunek wyrozumiałej tolerancji, ze strony ptaka przyzwyczajenie i łatwość nawiązywania znajomości i — dosłownie — przelotnych przyjaźni — łatwość, mająca swe źródło niezawodnie w lekkomyślności, która jest jedną z cech charakteru srok, zwłaszcza oswojonych,

więc, bądź co bądź spaczonych nieco i wykolejonych.

Jednem słowem, pies z sroką żyli w zgodzie i często z jednej miski jadali.

Dla ścisłości kronikarskiej należy dodać, że to jadać wspólne było raczej wykradaniem przez srokę z psiej michy kęsów osobliwie pociągających domniemaną lub doświadczoną ich smakowitością.

Pies warczał dobrotliwie i obnażał zęby — lecz czynił to raczej dla stwierdzenia prawa własności niż dla przestachu.

Chodziło o niestwarzanie precedensu na przyszłość.

Lecz wieczorem! — O! — gorzej!

Nóg obdziobywanie nie w smak było psu —; — nic w tem dziwnego —; — odpowiadał też na krnąbrne zaczepki warczeniem, szczerzeniem zębów i niedwuznaczną chęcią schwycenia naprzykrzeńca za skrzydła i ogon.

Ho-ho! — nie tak to łatwo!

Sroka zgrabnie i zwinnie wymijała ciosy, a przy natarczywszej i mającej szanse powodzenia chęci odwetu (sprawiedliwego) wzlatywała na stół lub szafę — skąd, bezpieczna, zarozumiała i pyszną, miotła na psa srogie przekleństwa i żarzucała go wyzwiskami i obelgami na jakie jej wyobraźnię, dość zresztą pospolitą i małostkową, stać było.

Taki to sroczy i nieznośny wiodła żywot, pomyłona doznaku temi przygodami i żywobyciem

niewłaściwem i obcem wolnemu stanowi ptasiemu.

Nazwano ją Kaśką.

Zgodziła się (wszystko jedno!) — i zapamiętała. Wiedziała o co chodzi — na ten dźwięk zasłyszany odskrzekiwała raźnie z liściastych schronień.

Zdarzało się jednak, że — z sobie jeno znanych przyczyn — udawała głuchą; głuchą jak pień; — wtedy wołano na próżno —; — nie miała ochoty — nie odpowiadała.

Nie było to, rozumie się, nieposłuszeństwem, z tego choćby powodu, że nie wiedziała nic o posłuszeństwie.

Taki był jej żywot w pierwszych paru miesiącach jej porębiańskiej egzystencji.

Przychylność stała na straży jej dni młodych i niedoświadczonych.

Nikt, prócz okoliczności dziwacznych — nie paczył jej charakteru.

Okoliczności niewrogie, lecz obce i niepotrzebne.

Przyzwyczaiła się — i to było najgorsze!

Później, gdy z lunatyczną upartością zaczęła kraść świecidełka... lecz pocóż to o tem mówić?... Bezużyteczność i maniactwo tego procederu zapędziłoby w kozi róg wszystkich prawników —; — problem raczej psychiatryczny.

Teraz właśnie zauważyła w tym dniu jaśnistym Mikołaja na łące.

Lubiła tę istotę małą a przyjazną.

Z krzykiem rehotliwym zleciała z wiazu i zatorczywszy półkole bardzo już sprawne i dojrzałe — usiadła na ramieniu chłopca

Podnoszeniem i opuszczaniem szczupłego, figlarnego ogonka utrzymywała równowagę znakomicie.

— Kaśka! — Kaśka — — ucieszył się Mikołaj.

Zaskrzeczała radośnie.

Szli tak czas jakiś w zgodzie wielkiej, w radosnem odnalezieniu się i w żwawej wymianie słów skąpych wprawdzie, lecz wystarczających najzupełniej.

Rozumieli się.

A dziś — ? — słońce dogrzewa walnie, łąka pachnie i kwieci się, dzień taki radosny — wszystko jest w porządku! —

Łypała śmiesznie oczami, zasuważąc je szybko bielmem na kształt migawki.

Po czasie snąć znudziło się jej to spacerowanie na cudzych nogach.

Sfrunęła na ścieżkę.

Podskakiwała swawolnie, staczając zabawne a gniewne, naperzone walki z kwiatami i żdźbłami, które się jakoś tak niepotrzebnie i zaczepnie chwiały nad jej głową.

Brzęczenie owadów dodawało jej animuszu — zda się tysiące oczu patrzy na nią i domaga się dowodów należnego mistrzostwa.

Nic też dziwnego, że zwycięstwo szło przed
nią i za nią.

Rum się czynił wokoło!

Przechylały się miękko w wieczny mrok. łamane z pasją łodygi.

Sroka triumfowała

ROZDZIAŁ PIĄTY

O SERCU DZIECIĘCEM ZAGUBIONEM W MROKACH,
Z POZA KTÓRYCH WYŚWIETLA SIĘ PRZECZUWANA
ZALEDWIE DROGA ŻYCIA.

O jabłonie kwieciste do buków przyparte,
o oczy białe kwiatów na wieczność otwarte —
(— i na sad —).

Płaci się, pręci kwiecie i słupi w bezmiarze,
mądrość wiosny mądremu latu niosąc w darze —
(— wieczny ład —).

A tam, woniata miodem, z woszczyzny alkierza,
leci pszczoła z zamiarem świętego przymierza —
(— płonie mak —)

A tu chwila się w chwilę zapatruje do dna —
— dobrze ci, senna myśli — godna czy niegodna?
(— ano: tak! —)

— — — — —
A potem. . . .

Czy to godzina minęła, czy dwie. . . .

Łąki już niema. . . .

Sroka skrzekce na murze — nie widać jej
wcale. . . .

Wieczór zapadał na dobre.

Ogród rozłożony szeroko wzdłuż i wszerz
w cieniu góry nasyczał się każdą chwilą wzmożen-
iej wilgotną, gęstą mgłą.

Przewijały się leniwe zjawy wśród pni.

W alejach dłużyły się pasma ciężkich oparów

Żwir przetapiał się na metal lśniący.

Wiatr przycichł zupełnie.

Cisza przestronna, olbrzymia cisza w całej kot-
linie obramionej górami, z poza których od za-
chodniej nieba strony wyblyskał pożar słońca.

Ku zaniłowi podniosły się prostopadle cielska
chmur rozkwitłe ognistemi językami.

Z wyrwy pośródobłocznej, jak z olbrzymiego,
wypartego z ram okna, wypromienia się sześćo-
ramienna gwiazda promieni.

Reflektor słońca sześć dróg, gościńców swiet-
lanych buduje ku ziemi.

Kędy Sebastjanowe strzały konającego dnia
uderzą w żywe ciało ziemi — tam wyrastają z po-
mrokliwości rozslonecznione, jaskrawe wyspy —
sześć czar nalanych światłem po brzegi.

Ogród mroczył.

W nadstawnych krzaczach wiklinowych i kalino-
wych rozdzwiewał się nagły gwałtowny śpiew.

Dzwonienie rozdrżane, ostre, mocne.

Jedno... drugie... dziesiąte...

Dysputa pieśni i namów.

Ostrza dźwięków, jak szklane włócznie prze-
bijały się przez gąszcz, przez mgły, przez
zmierzch — ku prześwieconym kręgom, ku cza-
rom pełnym krwi słonecznej.

I rósł ten szklany posiew włóczni jak zboże
wysokie i pełne.

Mikołaj siedział na ławie murawianej pod wy-
sokim rozłożystym świerkiem.

Siedział o sobie niewiedzący, zatracony i roz-
prószony po wszystkich zapomnianych drogach.
ścieżkach, drzewach i chwilach.

Oniemiał, jak zastygłe w bezwicherze liście

Jeno w nieznanej przestrzeni — dalekiej —
jakaż to jawi się, nieistniejąca dotychczas dolina
olbrzymia, bezkresna — ? —

Jeno w nieznanej przestrzeni — bliskiej —
nad dziecinnie, szybko bijącym sercem, myśl nie-
wypowiedziana, uczucie nienazwane — boleściwie
drży sposobem liścia osikowego, zmożonego wiecz-
nym niepokojem.

Chwila to osobliwa: kształtowania się prze-
czucia życia idącego dniem każdym przez zgon
chwil bezpowrotnych.

Przeto na początku dni jest radość — tuż za
nią podąża wczesna żalność.

Az i bezpowrotność o świcie któregoś roku zda
się tem czem jest istotnie —: mizerną złudą.

Nie bezpowrotnością bowiem, nie mijaniem są
chwile przeszłe, czemś zgoła innem —: są ceg-

łami z których buduje się postument pod posąg
świadości

Poza krzewami ciemnymi, rozwarło się z ci-
chym brzękiem i załśnieniem ślepem — okno.

Załopotał akord próbny.

Zamilkł.

Cisza.

Rozszerzone w pomroce źrenice chłopięce —
dojrzały postać stojącą przy parapecie — i ten
znany instrument wtłoczony pod brodę — wycią-
gniętą rękę z zagiętymi nad szyjką palcami i dru-
gą mglisto prześwieconą przesuwającą smyk ru-
chami miarowemi.

Ojciec grał. . . .

Odrywały się dźwięki od strun i padały w
ogród jak dźwięczne jagody ze złotej gałęzi.

Toczyły się szybko, szelestliwie po żwirze.

Bezsłowna, bezmelodyjna — pieśń sama — —

Jak smęt, jak ból, jak zmierzch nieprześwie-
tłony, jak opuszczenie ostateczne.

Dźwięk padał za dźwiękiem. . . .

Wzmagą się gorzkość w ustach i suchość
w gardle.

Z dziecięcych oczu spłynęły łzy.

Zatraciła się docna rzeczywistość.

Zagubiły się formy widzialne.

Niepodzielna władza dźwięków.

Sprawowanie celebry tajemnej.

Wszystko zniknęło z przed oczu.

Ostało się jedynie to okno grające

I tak już pozostało!
Przeżyło wieki!
Trwa wiecznie!

Ojczy!

Za daleką, głucho szumiącą pod czarnym lasem rzeką spienioną, rozbitą o wykroty i skały — zadźwięczał dzwonek loretański —: wieczorne, spracowane Ave!

W sadzie — stąpięcie nocy! — spadło jabłko — rozżaliły się gałęzie.

Zalęk.

Szumi rzeka — dzwon podzwania —

Cisza.

Jak strzępy zagnała spłoszonego mroku przemknęły pod nawisem drzew bezszelestnym lotem nietoperze.

Na dalekich moczarach zamigotały błędne ogniki.

Falami zbóż nadpłynął wiatr — ciepłą dłonią pogłaskał wilgotne, chłodne policzki zagubionego w mrokach chłopca.

Poza lasem zamigotał ponówek.

Stąpił po srebrnych czubach drzew.

Na wschodzie rozbłyśły pierwsze gwiazdy.

* * *

Na ponowku i rozbłyśłych gwiazdach kończy się — i słusznie — pierwszy okres bytowania Mikołaja Srebrempisanego na ziemi wogóle, a w szczególności w Porębie Murowanej.

Okres ten w ludzkim, czy kalendarzowym obliczeniu lat sześć obejmujący — ma zgola odmienny wymiar wiecznościowy.

Rzeczy, sprzęty i dzieci liczą czas według natężenia uderzających w nie zdarzeń i doznań.

Latopisowi przysługiwało prawo — takby się przynajmniej zdawało — aby — zanim rozewrą się wrota komnat pełnych zamętu liter i nabytej z nich wiedzy — zaznajomić czytelników wpierw (i osobno) z tą częścią kroniki.

Może wypadnie wam zapoznać się z „dalszym ciągiem“ dni Mikołajowych — tedy konieczną jest rzeczą dowiedzieć się o tem, co możnaby nazwać „sprzętarstwem globowem“ albo inaczej....

PRYWATNE
~~Seminaria Pedagogiczne Żywieckie~~
 W WIELCACH



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

Prolog

I NIC MI JUŻ NIE OPOWIESZ...

Rozdział pierwszy

z którego dowiadujemy się, jak to Mikołaj Sre-
brempisany dreptał pewnego popołudnia majo-
wego obok wuja drogą z Wołkowic do Poręby
Murowanej 1

Rozdział drugi

o murze osobliwym zarosłym perzem i zakwitają-
cym kwieciami rozmaitem, o bramie, kasztanie
i lipie. Weszli na podwórze 6

Rozdział trzeci

o wróblim wiecu, kurze, zapachu jaśminu, płytach
kamiennych i starym psie 10

Rozdział czwarty

owiany zapachem kwiatów i lekarstw. Poznajemy
pana Michała Feliksa Srebrempisanego 15

Rozdział piąty

o ostatniej rozmowie i uderzeniu pięścią w stół.. 19

Rozdział szósty

o świetlistości zewnętrznej i mroku wewnętrznym.
Poznajemy Jaśka i Antoninę... 26

Godzina przed Jutrznia.

24

Rozdział siódmy

- o powrocie, przedmieściu, klasach, pliku, garbatym mędrczyku, sprzęcie i pracy powroźnika oraz o słowie straszliwym 31

Rozdział ósmy

- o kropielnicy dla dorosłych, o sznurze koralu, modlitwie, niewczesnem spotkaniu i zrozumieniu ostatecznem 38

Rozdział dziewiąty

- o kuchni i trzech pokojach, o sarenkach na kloszu lampy, wątlwym stoliku, fotografiach i t. p. 41

Rozdział dziesiąty

- o zapuszczonych storach, rozkwitłej ponownie cydonji, wujence i płaczu 48

Księga pierwsza**ZAPACH JABŁEK****Rozdział pierwszy**

- o pierwszej wyprawie, kogucie, motylach - bielinach i rybkach, o koniczynie kwitnącej na ziemi i na gwiazdach, o słońcu, słoneczniku, i pożegnaniu się z wieloma Mikołajami 61

Rozdział drugi

- o pokoju mikołajowym, o kwiatach, o zapachu ziemi wilgotnej, żółtej rzece i pantoflu, który omal nie spadł z nogi 73

Rozdział trzeci

- o oknie, kratkach, a zwłaszcza o piecu, przyczem krótka a pouczająca historia pieców wogóle, o ich sposobie życia, o ich opętaniu i jakie tego są skutki 77

Rozdział czwarty

o stoliku i jego nogach, o szufladzie, krówkach
i niepewnym byku; niewiadomo dla kogo owocuje
plon doświadczeń 84

Rozdział piąty

o pedłodze i owalach czarnych plam, osiedlach
grzybowych wieczyscie triumfujących oraz kilka
słów o wspólnej tajemnicy 88

Rozdział szósty

o łóżku, kołdrze, deseniach, o poduszce i jaśku,
o zażyłości, przyjaźni i podróżach dalekich oraz
o potrzebie kochania 93

Rozdział siódmy

o różnych rodzajach snów, o snach stukotkach
i o tratwie najpierw umniejszającej się a potem
przybierającej 100

Rozdział ósmy

o snach umykających, chrzcie kwiatów i słowach
witających dzień i darzących zapachem jabłek . 104

Księga druga**W KRĘGU LAMPY NAFTOWEJ****Rozdział pierwszy**

o nowym świecie, przedmiocie dziwnego kształtu,
o dwóch duszach, o budowaniu dróg przez kraje
bliskie i dalekie 111

Rozdział drugi

o rozpoczęciu pracowitego dnia, śniadaniu, powa-
dze kawy i jej słodyczy, oraz o dachówce i gą-
siorze 116

Rozdział trzeci

o zwężonym świetle, wymiarze odległości rozmaitych, o dromaderze i przerzynaniu połana współ z kocurem 120

Rozdział czwarty

o skrzypkach, łowach, kozakach, żeńcach, kaczo-
rze, czarnej sukience, zachodzie słońca, rozmia-
nych pokojach i wspominkach zapamiętanych . 127

Rozdział piąty

o ciepłe i zimnie ukrytem w kręgu światła lampy
naftowej 137

Rozdział szósty

o musze, skoczku, powodzi, porwaniu i innych
wielkich sprawach usłyszanych oczami . . . 143

Rozdział siódmy

o ogniu, świetle i postanowieniach 151

Rozdział ósmy

o zakonniku, który zabił smoka i co z tego wy-
nikło 156

Rozdział dziewiąty

o dziwach rozmaitych i o kosmografji liter i liczb 167

Rozdział dziesiąty

który jest dalszym ciągiem ósmego; mowa w nim
o jeżu i zającu oraz o muchach, lecz innych niż
zwyczajne 171

Księga trzecia

DZIADÓWKA

Rozdział pierwszy

przeznaczony sprawom kuchennym, oświetlonym
 łuczywem 163

Rozdział drugi

mówiący nieco o Antoninie i jej młodości po-
 nikwiańskiej; o niepilim ogrodzie i co o tem są-
 dził kłusownik niejaki 193

Rozdział trzeci

o Czerniczkowej parcelacji, Efrajmowym szynk-
 wasie, Forysiowem pisaniu i malowaniu oraz
 o Dziadówce 198

Rozdział czwarty

jeszcze o Dziadówce, o nowym jej miłośniku,
 o drogach: starej i nowej, karnodziejstwie, koma-
 sacji, wierzbach, drzewach owocowych i innych
 ważnych sprawach 203

Rozdział piąty

powraca do przerwanej kwestji i snuje wątek
 dalej 211

Rozdział szósty

streszczający dzieje nowej gospodarki, ukorono-
 wany wielką wagą sprawy końskiej 218

Rozdział siódmy

o Jaśku Zającu „kurśmidzie” i sprawach z tem
 nowem zjawiskiem związanych 223

Rozdział ósmy

o wyzłoconym napisie: „Najdroższej Matce” 233

Rozdział dziewiąty

dziwne omawiający zdarzenia: podsłuchujemy rozmowy Antoniny z Jaśkiem przy blasku chwiejnym łuczywa; dowiadujemy się o pani, która miała krótkie włosy 235

Księga czwarta**PANI O KRÓTKICH SREBRNYCH WŁOSACH****Rozdział pierwszy**

w którym poznajemy nową a ważną dramatu personę 241

Rozdział drugi

o drodze podgórskiej, pięknie opisanej przez poetę, o wielkiej burzy jesiennej i o ważnej nocy 245

Rozdział trzeci

o poranku uśmiechniętym i wonnym wrzosowiskiem i żółtymi różami, poczem o przybyśzu nowym 253

Rozdział czwarty

o przyjeździe, pokoju-kaplicy kwiecistej, zabawkach, piwnicy, flaszki, i o tem, że starsi są bardziej dziećmi niż dzieci 259

Rozdział piąty

o stromej drodze, widnokregu rozległym, grodzisku, o zieleni wysokiej i głębokiej, o storczykach i ręce samowolnej, oraz o malarzu niezapominajek 266

Księga piąta

POD STRAŻĄ LIPY

Rozdział pierwszy

o sieni i echu, o śniadaniu Mikołajowem w kuchni z nauką moralną; warza dla świń; idą do stajni 275

Rozdział drugi

o stajni, obrzędach, paszy, dojeniu, psocie nieusłuchanej krowy — zakończony nową podróżą . 280

Rozdział trzeci

o stajni końskiej, o oknie tęczowem, sprzęży, szorach i obroku; przy końcu omalże sprzeczka nie wynika 290

Rozdział czwarty

który mówi o tem, kto to tam wszedł na podwórze; idziemy z Jaśkiem i Mikołajem po wodę dla koni; pojenie karych; Mikołaj ostaje pod lipą 300

Rozdział piąty

o wiecznym wędrowcu, naprawie garnków, mądrości i przejmowaniu win, oraz o przyobiecany powrocie 307

Księga szósta

STĄPNIECIE NOCY

Rozdział pierwszy

o tajemnicach ogrodu, rozmowach, łzach akacyjnych, z dygresją o mądrości roślin i błędnych drogach 321

Rozdział drugi

żałosny, o umierającej sośnie, o ścięciu jej i upadku; na jej stanowisku rośnie jesion 331

Rozdział trzeci

o łące, z podaniem krótkim i zwięzłym dziejów lwiego zęba vel wilczomlecza, o motylach, pszczołach, trzmielach, żabach, wodnych pannach, sikorce. wilcze, skowronku, kukułce - kwiecie i srocze pannie Kasi 339

Rozdział czwarty

o zjawieniu się sroki w porębiańskim domu; o jej współżyciu z mieszkańcami; rozdział kończy się zwycięstwem Kaśki 350

Rozdział piąty

o sercu dziecięcem, zagubionem w mrokach, z poza których wyświetla się przeczuwana zaledwie droga życia 363

*Fragmety wierszowe z rozdziału drugiego księgi
czwartej wyjęte są z „Wymarszu Świerszczów”,
Edwarda Kozikowskiego.*

UTWORY EMILA ZEGADŁOWICZA

POEZJE I POEMATY:

- DROGĄ ŻYCIA — poezje; 1908
NAD RZEKĄ — poemat; 1910
POWRÓT — poezje i poematy; 1911
IMAGINES — poezje; 1918
ODEJŚCIE RAŁFA MOORA — poemat; 1919
BALLADY — 1920
BALLADY WTÓRE — 1921
UDNIA, KTÓREGO NIE ZNAM, STOJĘ BRAM — poemat; 1921
KOŁĘDZIOŁKI BESKIDZKIE — poezje; 1923
ZIELONE ŚWIĘTA — poezje; 1923
POWSINOGI BESKIDZKIE — 1923 (wydanie drugie 1925)
BALLADA O WOWRZE — 1924
PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE — 1924
WIELKA NOWINA — 1924
KANTYCZKA ROSISTA — 1924
GODY PASTERSKIE — 1925
GODZINKI — poezje; 1925
KRAĞ — 1926
DOM JAŁOWCOWY — 1927
GODZINA PRZED JUTRZNIĄ — 1927
DZIEWANNY — 1927

DRAMATY:

NOC ŚWIĘTEGO JANA EWANGELISTY — misterjum balladowe; 1923;

NAWIEDZENI — misterjum balladowe; 1923

LAMPKA OLIWNA — tragedia; 1924

ŁYŻKI I KSIĘŻYC — groteska jarmarczna; 1924

GŁAZ GRANICZNY — dramat; 1924

ALCESTA — dramat; 1925

BETSABA — dramat; 1926

PRZEKŁADY:

TEMATY CHIŃSKIE — 1918

ANTYGONA — Walter Hasenclever — tragedia; 1924

FAUST — J. W. Goethe — tragedji część pierwsza; 1925

FAUST — J. W. Goethe — tragedji część druga; 1926

PRYWATNE
 Szkoła Katolickie Żeńskie
 KIELCACH.



